

NORA ROBERTS

Pomyślne wiatry

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Megan O'Riley nie lubiła ryzyka. Zawsze starała się dokończyć jedną rzecz, zanim przystępowała do kolejnej. Taką już miała naturę, może nie od urodzenia, ale na pewno od dziewięciu, dziesięciu lat. Była rozsądna, praktyczna, ostrożna. Należała do osób, które dwa razy obchodzą dom, sprawdzając, czy na pewno zamknęły na noc okna i drzwi.

Na podróż z Oklahomy do Maine zapakowała dwie podręczne torby, jedną dla siebie, drugą dla syna; resztę bagażu nadała koleją. Szkoda jej było tracić czas na lotnisku, czekając, aż na taśmie pojawią się walizki.

Decyzję o wyjeździe na wschód podjęła po długim namyśle. Było to mądre posunięcie, korzystne nie tylko dla niej, ale również dla Kevina. Powtarzała to sobie mniej więcej raz na tydzień przez ostatnie pół roku. Oboje powinni się szybko przystosować do nowych warunków, pomyślała, spoglądając czule na syna, który drzemał w fotelu przy oknie. Mały nie posiadał się z radości, kiedy powiedziała mu, że zastanawia się nad przeprowadzką do Bar Harbor. Mieszkał tam jego ukochany wujek Sloan oraz przyrodnie rodzeństwo. A także kilkoro kuzynów i kuzynek. Odkąd byli w Maine na

ślubie jej brata z Amandą Calhoun, rodzina powiększyła się o czwórkę nowych dzieci.

Ponownie spojrzała na śpiącego syna. Boże, jak ten czas szybko leci! Wkrótce Kevin będzie obchodził dziewiąte urodziny. A towarzystwo licznej rodziny dobrze mu zrobi, pomyślała. Tym bardziej że Calhounowie odnosili się do niego niezwykle serdecznie.

Megan zadumała się. Nigdy nie zapomni tego, jak przed dwoma laty powitała ją Suzanna Calhoun Dumont, obecnie Bradford. Chociaż przed ślubem Suzanny z Baxterem Dumontem Megan była kochanką Baxtera i urodziła mu syna, Suzanna przyjęła ją z otwartymi ramionami.

Oczywiście trudno było uznać Megan za typową burzycielkę domowego ogniska. Kiedy zakochała się w Baxterze Dumencie, nie wiedziała o istnieniu Suzanny. Miała siedemnaście lat i wierzyła w zapewnienia o dozgonnej miłości. Rzecz jasna Baxter ani słowem nie wspomniał jej o swojej narzeczonej, Suzannie Calhoun.

Kiedy Kevin pojawił się na świecie, jego ojciec odbywał podróż poślubną. Baxter nie uznał syna, którego Megan mu urodziła; ani razu go nawet nie widział. Cała sprawa wyszła na jaw dopiero po latach, kiedy brat Megan, Sloan, zakochał się w siostrze Suzanny, Amandzie.

Dziwne bywają koleje losu. Teraz ona, Megan, miała zamieszkać z synem w domu, w którym wychowywała się Suzanna z siostrami. Kevin, który dotąd wiódł życie jedynaka, będzie dorastał z przyrodnim rodzeństwem, wśród gromady kuzynów, ciotek i wujków.

Towers. Wieże. Tak nazywał się dom Calhounów - wielka, wspaniała kamienna budowla, którą Kevin określał mianem zamku. W zeszłym roku dom poddano gruntownej renowacji, połowę przerobiono na hotel. Pomysł hotelu wyszedł od Trentona St. Jamesa III, który poślubił najmłodszą z sióstr, Catherine.

Hotele St. Jamesów były znane ze swej elegancji i cenione na całym świecie. Siostry Calhoun zaproponowały Megan posadę dyrektora do spraw finansowych. Długo wahała się, co robić, ale propozycja była zbyt kusząca, aby mogła ją odrzucić.

Owszem, trochę się denerwowała, ale przecież niepotrzebnie. Przeprowadzka do Maine była rozsądnym posunięciem. Posada dyrektora do spraw finansowych zaspokajała jej ambicje zawodowe, a nowa pensja przyprawiała o zawrót głowy. Najważniejsze jednak było to, że więcej czasu będzie mogła spędzać z Kevinem.

Kiedy stewardesa ogłosiła, że samolot schodzi do lądowania, Megan pogłaskała syna po włosach. Chłopiec natychmiast otworzył oczy.

- Jesteśmy na miejscu?

- Prawie. Spójrz, widać już wodę.

- Będziemy pływać na statkach, prawda, mamusiu? I oglądać wieloryby? - Gdyby był w pełni obudzony, wstydziłby się skakać w fotelu; wiedziałby, że tak zachowują się tylko małe dzieci. - Nowy tata Aleksa ma jakieś kutry i motorówkę.

- Będziemy. Na pewno. - Megan uśmiechnęła się dzielnie, choć na myśl o pływaniu strach ścisnął ją za gardło.

- I zamieszkamy w zamku? - Chłopiec popatrzył na nią z nadzieją w oczach.

- Tak. Dostaniesz dawny pokój Aleksa.

- Wiesz, mamusiu, że na zamku są duchy?

- Podobno. Ale nie straszą. To są przyjazne duchy.

- Wszystkie? - W jego głosie zabrzmiała nuta zawodu. - Aleks mówi, że jest ich dużo, że czasem krzyczą i jęczą. A w zeszłym roku jakiś pan wypadł z okna w wieży i połamiał sobie kości na skałach w dole.

Megan wzdrygnęła się. Akurat to ostatnie było prawdą. Znalezione dwa lata temu szmaragdy przyciągnęły nie tylko dziennikarzy. Również złodzieja i mordercę.

- To stare dzieje, kochanie. Teraz Wieże są całkiem bezpieczne.

- Wiem - powiedział smutno Kevin, bo jako chłopiec marzył o przygodach i dreszczyku emocji.

W tym samym czasie inny chłopiec obmyślał różne zabawy i atrakcje. Z niecierpliwością czekał na lotnisku na swojego przyrodniego brata. Trzymał za rękę Jenny, swoją młodszą siostrę, ponieważ mama, która stała obok z niemowlęciem w ramionach, kazała mu jej pilnować.

- Dlaczego ich jeszcze nie ma?

- Dlatego, że to chwilę trwa, zanim ludzie wysiądą z samolotu i...

- Zobacz, mamusiu! Idą! -przerwał jej Aleks.

Zanim zdołała cokolwiek powiedzieć, chłopiec rzucił się pędem w stronę Kevina; Jenny za nim. Nie zważali

na nikogo, tylko gnali przed siebie. Kręcąc z rezygnacją głową, Suzanna podniosła rękę i pomachała do Megan.

- Cześć. - Aleks, poinstruowany przez mamę, jak należy postępować, kiedy odbiera się gościa z lotniska, chwycił torbę Kevina. - Daj, ja poniosę.

Chociaż mama ciągle mu powtarzała, że rośnie jak na drożdżach, zauważył ze smutkiem, że Kevin jest od niego wyższy.

- Jak podróż? - Schyliwszy się, Suzanna pocałowała Kevina, po czym uściśnęła Megan. - Bardzo jesteście zmęczeni?

- Nawet nie - odparła Megan. Wciąż nie umiała sobie poradzić z serdecznością okazywaną jej przez Suzanne. Czasem miała ochotę potrząsnąć ją za ramiona, zawołać: Dziewczyno, spałam z twoim mężem! Wprawdzie wtedy nie byliście jeszcze małżeństwem, a ja nie wiedziałam, że Baxter ma narzeczoną, ale...
- Trochę się samolot spóźnił. Mam nadzieję, że nie czekacie zbyt długo?

- Z pięć godzin - oznajmił Aleks.

- Pół godziny - sprostowała ze śmiechem jego mama. - Idziemy po wasz bagaż?

- Nie, resztę rzeczy nadałam koleją.

Nie potrafiąc oprzeć się pokusie, Megan uniosła rąbek kocyka i spojrzała na niemowlę, które Suzanna trzymała w ramionach. Zobaczyła gładkie różowe policzki, wielkie niebieskie ślepia oraz chmurę lśniących czarnych włosów. Maleństwo wymachiwało pod nosem rączką zaciśniętą w piąstkę.

- Och, Boże, jaki on maleńki. I jaki śliczniutki.

- Urodził się trzy tygodnie temu - poinformował z dumą Aleks. - Na imię dostał Christian.

- Po pradziadku - dodała Jenny. - A tak w ogóle to mamy w rodzinie więcej nowych dzieci. Biankę i Cordelię, na którą mówimy Delia, i Ethana...

- Fajny bobas - stwierdził Kevin, przyjrzawszy się niemowlęciu. - Czy on też jest moim bratem?

- No pewnie - odparła Suzanna, zanim Megan zdołała otworzyć usta. - Obawiam się, że będziesz miał teraz strasznie liczną rodzinę.

Kevin uśmiechnął się nieśmiało; po chwili delikatnie pogładził maleńką piastkę.

- Zamienimy się na tobołki? - spytała Suzanna.

- Z rozkoszą. - Megan podała Suzannie torbę podróżną, a sama wzięła od niej niemowlę. Nie mogąc się powstrzymać, wtuliła twarz w miękki kocyk. - Jaka to drobinka. I jak cudownie pachnie. A ty... - dodała, spoglądając na Suzanne- wyglądasz wspaniale. Wprost nie do wiary, że zaledwie trzy tygodnie temu urodziłaś dziecko.

- Dzięki za dobre słowo. Prawdę mówiąc, ostatnio nie czułam się zbyt atrakcyjnie... Aleks, tu się nie biega!

- Kevin, proszę zwolnić! - zawołała Megan. Nagle coś sobie przypomniała. - Powiedz mi, Suzanno, jak się mój brat spisuje w roli ojca? Chciałam przyjechać zaraz po wyjściu Mandy ze szpitala, ale nie dałam rady. Sprzedaż domu, pakowanie rzeczy, szykowanie się do przeprowadzki...

- Wiem, kochanie. A Sloan jest fantastycznym tatu-siem. Gdyby Amanda mu pozwoliła, nosiłby Delię dwa-

dzieścia cztery godziny na dobę. Zaprojektował dla ma-
luchów niesamowitą świetlicę. Kolorowe krzeselka, za-
bawne stoliki, szafeczki, mnóstwo zabawek. Głównie
urzędują w niej Delia z Bianką, ale kiedy CC. z Tren-
tem przyjeżdżają do miasta, do dziewczynek dołącza
Ethan.

- Miło, jak dzieciaki razem się chowają i razem do-
rastają - rzekła Megan, patrząc na Kevina, Aleksa i Jen-
ny, którzy szli przodem, prowadząc ożywioną dyskusję.

- To prawda - przyznała Suzanna. - Cieszę się, że
przyjechałaś, Meg. Mam wrażenie, jakbym zyskała no-
wą siostrę. - Widząc, że ta się rumieni, postanowiła
zmienić temat. - No i nie ukrywam, że przyda nam się
twoja fachowa wiedza. Prowadzenie księgowości, za-
rządzanie finansami zarówno hotelu, jak i należącej do
Holta firmy wycieczkowej... to straszna robota.

- Jak dla kogo. Ja nie mogę się doczekać.

Suzanna zatrzymała się przy mikrobusie.

- Wskakujcie - powiedziała, otwierając drzwi.
Wrzuciła do środka torbę Megan, po czym wyciągnęła
ręce po Christiana, którego ułożyła w specjalnym foteli-
ku. - Oby ci się nie odechciało, kiedy zobaczysz te
walające się stosy rachunków. Bo Holt jest koszmar-
nym bałaganiarzem, a Nathaniel...

- Faktycznie. — Megan przypomniała sobie, że od
niedawna Holt ma współnika. - Sloan coś mi o tym
wspominał. Że to jakiś kolega Holta z dzieciństwa?

- Tak, dorastali razem na wyspie. Parę miesięcy te-
mu Nathaniel wrócił na stare śmieci. Przedtem pływał
na statkach handlowych. - Upewniwszy się, że wszyst-

kie dzieci siedzą zapięte pasami, Suzanna zamknęła tylne drzwi i zajęła miejsce za kierownicą. - To niesamowicie barwna postać - dodała, spoglądając na Megan. - Przekonasz się.

Nathaniel Fury skończył właśnie lunch złożony z półówki pieczonego kurczaka, ogromnej sałatki ziemniaczanej oraz placka cytrynowego. Z błogim westchnieniem odsunął się od stołu i rozmarzonym wzrokiem popatrzył na swą gospodynię.

- Powiedz, słoneczko, co mam zrobić, abyś zechciała mnie poślubić?

Cordelia Calhoun McPike oblała się rumieńcem.

- Żartowniś z ciebie, Nate.

- Myślisz, że żartuję? - Poderwawszy się na nogi, podniósł do ust jej rękę. - Ależ Coco! Przecież wiesz, że szaleję za tobą.

Cordelia roześmiała się wesoło, po czym poklepała Nate'a po policzku.

- Szalejesz za moją kuchnią.

- To też - przyznał bez bicia, patrząc, jak Cordelia krząta się po kuchni. Była niezwykłą kobietą. Wysoka, zadbana, atrakcyjna. Nie mógł się nadziwić, że tyle lat po śmierci Arthura McPike'a żaden mężczyzna się jej nie oświadczył. - Z kim mam walczyć o twe względy, piękna pani?

- Och, teraz gdy hotel już działa, nie mam czasu na romanse - odparła.

Westchnęłaby głośno, gdyby tak bardzo nie była zadowolona z życia. Wszystkie jej bratanice powychodzi-

ły za męża za wspaniałych facetów, miały cudowne dzieci. Ona, Coco, cieszyła się ich szczęściem, w wolnych chwilach opiekowała się wnukami, ale największą frajdę sprawiała jej praca - była szefem hotelowej kuchni.

Nalała Nathanielowi kubek kawy i widząc, jak głodnym wzrokiem łypie na ciasto, ukroiła kolejny kawałek placka.

- Czytasz w moich myślach - oświadczył.

Uśmiechnęła się pod nosem. Uwielbiała patrzeć, jak mężczyźni jedzą, zwłaszcza przygotowany przez nią posiłek. A ten konkretny mężczyzna... Dość powiedzieć, że kiedy Nate Fury wrócił do miasteczka, wszyscy to zauważyli. Zresztą trudno się dziwić. Wysoki, przystojny szatyn o szarych oczach, śniadej cerze, wystających kościach policzkowych, z dołeczkiem w brodzie i ogromnej charyzmie... któż mógłby się oprzeć jego wdziękowi? Cordelia nie potrafiła.

Czarna koszulka, którą miał na sobie, i dżinsy podkreślały jego idealnie umięśnioną sylwetkę. Cordelia rozmarzyła się. Gdyby była dwadzieścia lat młodsza... Ale nie była, dlatego traktowała Nate'a jak syna, którego nigdy nie miała. I dlatego postanowiła znaleźć mu żonę. Kogoś, z kim byłby tak szczęśliwy, jak jej bratanci z mężami.

Ponieważ wyswatała wszystkie cztery, wierzyła, że uda jej się również wyswatać Nate'a.

- Postawiłam ci wczoraj horoskop - powiedziała, zaglądając do garnka, w którym przyrządzała na wieczór duszoną rybę.

- Tak? I co wyszło? - Podniósł do ust widelec z kawałkiem ciasta. Boże, ależ z tej kobiety genialna kucharka!

- Że wkraczasz w nowy etap życia.

Uśmiechnął się.

- Masz rację, Coco. Przystąpiłem do spółki z Holtem, zamieniłem kajutę na dom, więcej czasu spędzam na ładzie niż na wodzie...

- Nowy etap, o którym mówię, dotyczy sfery uczuciowej, nie zawodowej.

- Aha! Czyli zostaniesz moją żoną?

Pogroziła mu palcem.

- Śmiej się, śmiej. Ale nim lato dobiegnie końca, zadasz to pytanie całkiem innej osobie. Właściwie z horoskopu wyszło, że zakochasz się dwukrotnie. - Zmarszczyła czoło. - Nie bardzo to rozumiem.

- Jak się facet zakochuje w dwóch kobietach naraz, to znaczy, że szuka kłopotów. - Jemu zaś nie zależało ani na kłopotach, ani na poważnym związku. Kobiety, z którymi dotychczas się spotykał, miały zbyt duże oczekiwania. - Poza tym moje serce jest już zajęte. - Wstał od stołu i cmoknął Cordelię w policzek. - Przez ciebie, moja miła.

Nagle drzwi otworzyły się na oścież i do kuchni wpadło tornado. A raczej trzy małe tornada.

- Ciociu Coco! Przyjechali!

- Dobry Boże! - Cordelia przycisnęła rękę do serca. - Aleś mnie wystraszył! - Przeniosła spojrzenie z Aleksa na stojącego obok ciemnookiego chłopca. - A ty pewnie jesteś Kevin, prawda? Niesamowite! Odkąd wi-

działam cię po raz ostatni, urosłeś o ponad pół głowy. No chodź, pocałuj ciocię Coco.

Chłopiec, nie bardzo wiedząc, co ma zrobić, postąpił parę kroków naprzód i raptem znalazł się objęciach swej przyszywanej ciotki. A raczej babki.

- Tak się cieszę, że przyjechaliście. - Głos Coco zadrżał ze wzruszenia, oczy zaszczyły łzami. - Nareszcie cała rodzina jest w komplecie. Kevinie, poznaj pana Nate'a Fury. Nate, przedstawiam ci mojego wnuka.

Nathaniel znał historię tego padalca, Baxtera Dumonta, który zawrócił w głowie jakiejś młodej, łatwowernej dziewczynie z Oklahomy. Dziewczyna zaszła w ciążę, a Baxter znikł, by wziąć od dawna planowany ślub z Suzanną Calhoun. Kevin, który był owocem tego krótkotrwałego związku, przyglądał mu się z zaciekawieniem.

- Witaj w Bar Harbor, chłopcze. - Wyciągnął na powitanie dłoń.

- Nate prowadzi z moim tatą sklep żeglarski i razem organizują rejsy - wyjaśnił Aleks, po czym zwracając się do Nate'a, dodał: - Kevin marzy o tym, żeby zobaczyć wieloryby. Bo w Oklahomie, skąd pochodzi, nie tylko nie mają wielorybów, ale prawie wcale nie mają wody.

- Trochę mamy - oburzył się Kevin. - A poza tym mamy kowbojów, których wy tu nie macie.

- A ja mam strój kowboja - pochwaliła się Jenny.

- Kowbojki — poprawił ją brat.

- Kowboja!

- Kowbojki!

- Widzę, że przyjazd Kevina niczego nie zmienił

- oznajmiła Suzanna, posyłając swojej dwójce ostrzegawcze spojrzenie. - Cześć, Nate. Nie spodziewałam się dziś ciebie.

- Wiem, dopisało mi szczęście. - Przytulił do siebie Coco. - Spędziłem godzinę z najwspanialszą kobietą świata.

- Znów flirtujesz z ciocią Coco? - spytała Suzanna. Nagle zauważyła, że Nate uważnie mierzy wzrokiem Megan. - Poznajcie się. Megan O'Riley, Nathaniel Furry. Nate jest współnikiem Holta oraz najnowszym podbojem cioci Coco.

- Bardzo mi miło - rzekła Megan i ignorując dreszczyk podniecenia, który przebiegł jej po krzyżu, uśmiechnęła się do Cordelii. - Wyglądasz wspaniale, Coco.

- Co, w tym fartuchu? Nawet nie miałam czasu się uczesać. - Starsza kobieta uściśnęła Megan z całej siły. - Przyrządzę ci coś do jedzenia. Pewnie jesteś skonana po podróży?

- Troszkę.

Nathaniel nie spuszczał wzroku z Megan. Hm, brzoskwiniowa cera i długie, truskawkowoblond włosy. Na ogół wolał tajemnicze ciemnowłose piękności, ale ta owocowa kombinacja miała pewien niezaprzeczalny urok. Oczy błękitne, w kolorze spokojnego morza o świcie. Usta zacięte, wyraz twarzy poważny. Uśmiech pojawiał się, gdy patrzyła na syna.

Za chuda, pomyślał, dopijając kawę. Dobrze jej zrobi tutejsza kuchnia. Ze trzy, cztery kilo i będzie w sam raz.

Mimo że czuła na sobie spojrzenie Nathaniela, prowadziła rozmowę jak gdyby nigdy nic. Przywykła do

niechcianych spojrzeń, gdy jako młoda niezamężna dziewczyna oczekiwała narodzin dziecka.

Wiedziała, że niektórzy mężczyźni w każdej samotnej matce widzą kobietę łatwą. Potrafiła jednak szybko wyprowadzić ich z błędu.

Napotkała wzrok Nathaniela. W przeciwieństwie do większości mężczyzn nie odwrócił oczu. Dalej przyglądał się jej z zainteresowaniem. Westchnęła zrezygnowana.

Uśmiechając się, uniósł kubek, jakby wznosił kawą toast za jej zdrowie, po czym zwrócił się do Coco.

- No, czas na mnie. Za godzinę wypływam z wybieżką. Dzięki za lunch, Coco.

- Nie zapomnij o kolacji. Cała rodzina się zjedzie.

Nate popatrzył na Megan.

- Jak bym mógł zapomnieć?

- No dobrze. Gdzie jest ten nicpoń? - Coco rzuciła okiem na zegarek. - Znów się spóźnia.

- Kto? Holender?

- A któż by inny? Wysłałam go do rzeźnika. Dwie godziny temu.

Nate wzruszył ramionami. Jego dawny towarzysz morskich podróży, a obecnie drugi kucharz hotelu, nie lubił słuchać niczych poleceń.

- Jak go spotkam w porcie, powiem, że się niecierpliwisz.

- Chcę buzi na do widzenia - zażądała Jenny i zapiszczała z radości, kiedy Nate porwał ją w ramiona.

- Jesteś najładniejszym kowbojem na całej wyspie - szepnął dziewczynce do ucha. - A ty, chłopcze -

18 POMIŚNIE WAIRY

zwrócił się do Kevina - daj znać, kiedy będziesz gotów wypłynąć w morze...

- Nate jest marynarzem - oznajmiła Jenny, kiedy Nathaniel, skinąwszy Megan na pożegnanie, ruszył do samochodu. - Był wszędzie, wszystko widział, wszystko robił i wszystko wie.

Megan nie miała co do tego cienia wątpliwości.

Mnóstwo się w Wieżach zmieniło; niezmienione pozostały tylko pokoje prywatne na parterze i piętrze oraz wschodnie skrzydło. Trent St. James wraz ze Sloanem O'Rileyem, który służył mu radą jako architekt, skupili się głównie na dziesięciu apartamentach w zachodnim skrzydle, na nowej jadalni dla gości i na zachodniej wieży. Właśnie tę część przerobiono na hotel.

Czas i wysiłek, jaki poświęcono pracy, nie poszedł na marne. Starano się zachować możliwie jak najwięcej elementów oryginalnej budowli: kręte schody, wspaniałe kominki, okna łukowe, z kolumnkami, okrągłe, z maswerkiem, grube drewniane parapety, drzwi balkonowe prowadzące na taras. Na dole mieścił się wypełniony antykami przestronny hol, w którym goście mogli odpoczywać podczas mroźnych lub deszczowych dni. Z okien rozciągały się zapierające dech widoki na ukwiecony ogród, na zatokę lub na przybrzeżne skały.

Megan z przyjemnością słuchała Amandy, która jako dyrektor hotelu dumnie oprowadzała ją po pokojach. Każdy urządzony był inaczej, każdy pięknymi stylowymi meblami. Część apartamentów mieściła się na dwóch poziomach, w jednych ściany pokryte były boazerią,

w innych delikatną jedwabną tapetą. We wszystkich znajdował się jakiś drobiazg odwołujący się do szmaragdów i kobiety, która była ich właścicielką.

Kamienie, odkryte po długich i trudnych poszukiwaniach - jak twierdzą niektórzy, w miejscu wskazanym przez duchy Bianki Calhoun i Christiana Bradforda, artysty, który kochał ją do szaleństwa - leżały teraz w holu w specjalnej szklanej kasecie. Nad kasetą wisiał portret Bianki namalowany przez Christiana ponad osiemdziesiąt lat temu.

- Nie wiem, co powiedzieć - szepnęła Megan. - Są przepiękne.

- Czasem przychodzę tu i po prostu na nie patrzę - rzekła Amanda. - Przypomina mi się wtedy, ile trudu nas kosztowało, aby je odnaleźć. Oraz opowieść o tym, jak Bianca próbowała się nimi posłużyć, żeby uciec z dziećmi do Christiana. Tu jest ich miejsce, prawda? Pod jej portretem.

- Chyba tak - przyznała Megan. - Ale czy to nie ryzykowne? Żeby leżały tak na widoku?

- Szkło jest kulo odporne i podłączone do jakichś specjalnych czujników - wyjaśniła Amanda. - Holt się tym zajął. Jako były gliniarz zna się na takich rzeczach. - Spojrzała na zegarek; mniej więcej za kwadrans powinna wrócić do swoich obowiązków. - Jak twój apartament? Może być? Obawiam się, że renowacja dotyczyła głównie części hotelowej.

- Nie przejmuj się, mieszkanko jest świetne. - Prawdę mówiąc, lekko popękany tynk czy gdzieś tam porysowana podłoga sprawiały, że czuła się mniej onie-

śmielona. - Kevin jest zachwycony. I miejscem, i towarzystwem Aleksa oraz Jenny. Właśnie bawią się nowym szczeniakiem.

- Tak, nasz Fred i Sadie Holta spisali się na medal. - Amanda odgarnęła z czoła włosy. - Dorobili się ósemki potomstwa.

- Widocznie wzięli przykład ze swoich państwa - zauważyła ze śmiechem Megan. - Twoja Delia jest rozkoszna.

- Też tak sędzę. - Z oczu Amandy biła matczyzna duma. - Nie mogę uwierzyć, jak szybko to maleństwo rośnie. I pomyśleć, że jeszcze pół roku temu wszystkie cztery chodziłyśmy z wielkimi brzuchami! A raczej człapałyśmy! A jacy zadowoleni byli nasi mężowie! Wyobraź sobie, że robili zakłady, która z nas urodzi pierwsza, Lilah czy ja. Paskuda wyprzedziła mnie o dwa dni. - Ponieważ sama na siebie postawiła dwadzieścia dolarów, wciąż miała do siostry pretensje. - Zawsze rusza się jak mucha w smole, a tu nagle się pospieszyła.

- Jej Bianca też jest śliczna. Kiedy byłam w świetlicy, właśnie wyła wniebogłoso, domagając się uwagi. Niania ma ręce pełne roboty.

- Pani Billows ze wszystkim doskonale daje sobie radę.

- Akurat Bianką zajął się Maks. - Megan uśmiechnęła się na wspomnienie Maksa, który porzuciwszy swoją nową powieść, wybiegł z gabinetu i delikatnie wyjął płaczącą córkę z kołyski. - On ma zupełnego bzi-ka jej punkcie.

- Kto ma bzika? - Sloan, który niespodziewanie wszedł do holu, pochwycił siostrę w ramiona.

- Nie ty, 0'Riley - odparła Amanda, z przyjemnością obserwując, jak oczy jej męża lśnią z radości.

- Tak się cieszę, że jesteś z nami - powiedział, miążdząc Megan w uścisku.

- Ja też. - Odwzajemniła uścisk. - Wprost nie do wiary, że mój braciszek jest ojcem.

Roześmiewszy się, Sloan jedną ręką objął w pasie siostrę, drugą żonę.

- Widziałaś ją?

- Kogo? - spytała Megan, udając, że nie rozumie.

- Moją małą. Delię.

- Ach, ją. - Po chwili zlitowała się nad bratem. - Nie tylko widziałam, ale trzymałam na rękach, wachałam, tuliłam, całowałam. I postanowiłam, że będę dla niej najwspanialszą cicią pod słońcem. Jest prześliczna, Sloan. Podobna do Amandy.

- To prawda. - Cmoknął żonę w policzek. - Tyle że ma moją brodę.

- To broda Calhounów - sprzeciwiła się Amanda.

- Nie. 0'Rileyów. A skoro mowa o 0'Rileyach - kontynuował szybko, nie dając Amandzie dojść do głosu - to gdzie Kevin?

- W ogrodzie. Powinam go zawołać. Nawet się jeszcze nie rozpakowaliśmy.

- Pójdziemy z tobą - zaproponował Sloan.

- Ty idź - powiedziała Amanda. - Ktoś musi zostać na posterunku. - Nagle zadzwonił telefon w recepcji. - A nie mówiłam? Do zobaczenia wieczorem, Meg.

A z tobą, kochanie - popatrzyła na męża - zobaczymy się... wcześniej.

- Znacznie wcześniej. - Z błogim westchnieniem Sloan odprowadził żonę wzrokiem. - Ależ ona cudownie kręci biodrami.

- Patrzysz na nią z takim samym pożądaniem, jak rok temu na ślubie. - Wziąwszy go za rękę, Megan skierowała się na zewnątrz. - To miłe.

- Amanda... - zawahał się, szukając właściwego słowa - jest dla mnie wszystkim. Chciałbym, myszko, żebyś była tak szczęśliwa jak ja.

- Jestem szczęśliwa. - Umilkła, wsłuchując się w niesione wiatrem głosy dzieci. - Cieszę się, kiedy słyszę ich śmiech. I cieszę z decyzji o przeprowadzce. - Zeszli po kamiennych schodach i skręcili w lewo. - Chociaż czuję lekki niepokój. Bądź co bądź to duża zmiana. - Zobaczyła, jak Kevin wdrapuje się na fort, po czym w zwycięskim geście unosi ramiona. - Ale jemu pobyt tu na pewno dobrze zrobi.

- A tobie?

- Chyba też. - Przytuliła się do brata. - Będę tęsknić za rodzicami, ale sami powiedzieli, że teraz, kiedy mają dwoje dzieci w Bar Harbor, będą przyjeżdżać w odwiedziny dwa razy częściej i na dwa razy dłużej niż dotąd.

Odgarnęła włosy z czoła i przez chwilę w milczeniu obserwowała syna, który bronił fortu przed atakiem wroga.

- Chcę, żeby Kevin poznał resztę rodziny. Mnie też potrzebna jest zmiana otoczenia. A propos zmiany, prosiłam Amandę, żeby pokazała mi mój nowy gabinet...

- I dowiedziałaś się, że masz tam zakaz wstępu przez tydzień?

- Jakbyś zgadł.

- Tak uzgodniliśmy w gronie rodzinnym. Że dajemy ci tydzień na aklimatyzację.

- To za długo. Wystarczy mi tylko...

- Wiem. Chcesz rywalizować z Amandą o tytuł Miss Pracowitości. Nic z tego. Masz słuchać rozkazów, a rozkaz brzmi: przez tydzień wara od biurka.

Uniosła pytająco brwi.

- Zdradź mi, proszę, kto tu wydaje rozkazy?

- Wszyscy. - Sloan wyszczerzył zęby. - Dlatego nie sposób się tu nudzić.

Popatrzyła z zadumą na morze. Pośród błękitnej wody, która zlewała się z błękitem nieba, majaczyły w oddali malutkie wysepki. Był to zupełnie inny świat niż ten, który dotąd znała, świat w niczym nie przypominający rozległych oklahomskich prerii. I może, pomyślała, w tym innym świecie czeka ją inne życie.

Tydzień. Tydzień na odpoczynek, na aklimatyzację, na zwiedzanie. Kuszące. Ale była osobą odpowiedzialną, poważnie traktującą nowe obowiązki.

- Chciałabym się wykazać, wyrzucić dobre wrażenie.

- Zdążysz. - Na dźwięk syreny Sloan O'Riley obejrzał się za siebie. - Zobacz. To „Żeglarz”, łajba Holta i Nate'a - powiedział, wskazując na przepływający dole długi, trzypokładowy statek. - Wożą nim turystów na oglądanie wielorybów.

Aleks, Kevin i Jenny podskakiwali radośnie, machaniem i krzykiem pozdrawiając załogę.

- Poznasz Nate'a wieczorem na kolacji - ciągnął Sloan.

- Już miałam tę przyjemność.

- Co, znów przyszedł do Coco, żeby sobie z nią poflirtować, a przy okazji najeść się do syta?

- Chyba tak.

Sloan pokręcił głową.

- Nie mieści się w głowie, ile ten facet potrafi wtrząsnąć! Ale powiedz, jak ci się podobał?

- Tak sobie - mruknęła. - Wydał mi się trochę nieokrzesany.

- Przyzwyczaisz się. Wszyscy go tu uwielbiają.

Może uwielbiają, pomyślała Megan. Ale tonie znaczy, że ja też muszę.

ROZDZIAŁ DRUGI

Zdaniem Coco, Niels Van Horne był paskudnym typem. Nie przyjmował krytyki, nawet gdy oferowano ją w dobrej wierze czy w formie najdelikatniej sformułowanych rad. Najchętniej wskazałaby mu drzwi, ale nie mogła. Przeciwnie, musiała być dla niego miła, i to z dwóch powodów: dlatego, że należał do personelu i dlatego, że był serdecznym przyjacielem Nate'a.

Denerwował ją. Był jak drzazga w palcu. Jak kamień w bucie. A co ją w nim irytowało? Po pierwsze, jego wielkość. Ledwo mieścił się w jej kuchni, którą zaprojektowała sama, z niewielką pomocą Sloana. W kuchni, którą sobie wymarzyła. Ubóstwiała to miejsce, ten wielki kafłowy piec, lśniące stalowe drzwiczki i uchwyty, białe blaty, pracującą bezgłośnie zmywarkę, kochała zapach gotujących się potraw, jednostajny szum wentylatorów, połysk płytek podłogowych.

Niestety pośród tych blatów, drzwiczek i zapachów kręcił się Van Horne - Holender, jak go wszyscy w Wieżach nazywali. Barczysty, potężnie zbudowany, o ramionach pokrytych tatuażami, był jak słoń w składzie porcelany. Niby nic nie tłukł, ale... Odmówił choćby noszenia białego fartucha z elegancko wyhaftowaną nazwą hotelu; wolał pracować w koszuli z podwiniętymi

rękawami i w postrzępionych dżinsach wiązanych w pasie kawałkiem sznurka.

Miał długie, przetykane siwizną włosy, które nosił związane w kucyk, zielone oczy, twarz pociętą bruzdami, czoło gniewnie zmarszczone, nos krzywy, złamany kilka razy w bójkach, skórę spieczoną od słońca.

Co jeszcze ją irytowało? Język, jakim się posługiwał. Nigdy nie uważała się za purytankę, ale na miłość boską, przecież jest kobietą! Więc dlaczego znosiła obecność Van Horne'a? Dlatego, że potrafił świetnie gotować.

Podczas gdy on mieszał w garnku, ona wydawała polecenia dwóm innym kucharzom. Na dzisiejszy wieczór postanowiła przygotować duszoną rybę i faszerowanego pstrąga *a la francaise*.

- Panie Van Horne - powiedziała tonem, który zawsze działał mu na nerwy. - Proszę mieć wszystko na oku, dobrze? Nie przewiduję żadnych kłopotów, ale gdyby się jakieś pojawiły, będę na dole w rodzinnej jadalni.

Posłał jej ironiczne spojrzenie. Kobiety, psiakość. Cordelia Calhoun McPike wystroiła się, jakby szła do opery albo na wielki bal. Miała na sobie suknię z czerwonego jedwabiu, a na szyi sznur pereł. W dodatku perfumy, którymi się skropiła, mieszały się z zapachem przypraw, które wsypał do ryżu.

- Gotowałem dla trzystu głodnych facetów - burknął ochrypłym głosem. - Poradzę sobie z nakarmieniem kilkunastu turystów.

- Podejrzewam, panie Van Horne, że nasi goście są

nieco bardziej wymagający od pańskich marynarzy - rzekła przez zaciśnięte zęby Coco.

W drzwiach pojawił się kelner z brudnymi naczyniami. Holender natychmiast zauważył talerz z nie dojeżdżoną przystawką. Na jego statku marynarze zawsze opróżniali talerze do czysta.

- Widać komuś apetyt nie dopisał.

- Panie Van Horne. - Coco wzięła głęboki oddech. - Zabraniam panu opuszczać kuchnię. Nie życzę sobie, aby wchodził pan do jadalni i czynił gościom wymówki. Goście jedzą tyle, ile chcą, i zostawiają na talerzu to, czego nie zjedzą... A pan - zwróciła się do jednego z kucharzy pomocniczych - niech przybierze sałatkę plasterkami rzodkiewki.

Po chwili wybyła z kuchni.

- Nienawidzę eleganckich damulek - mruknął pod nosem Holender.

Gdyby nie Nate, na pewno nie słuchałby jej poleceń.

W przeciwieństwie do swojego starego kompana z licznych wypraw morskich Nathaniel nie odnosił się do kobiet z pogardą lub lekceważeniem. On je kochał, wszystkie bez wyjątku. Uwielbiał ich uśmiech, spojrzenie, zapach, głos, toteż z radością pojawił się wieczorem w rezydencji Calhounów i napawał się widokiem sześciu najpiękniejszych dam, jakie zdarzyło mu się spotkać w życiu.

Kobiety z rodu Calhounów... ubóstwiał je. Suzanne o dużych, łagodnie patrzących oczach, promieniującą zmysłowym wdziękiem Lilah, energiczną, twardo sta-

pającą po ziemi Amandę, C.C. o zabawnym, szelmo-wskim uśmiechu, nie mówiąc o eleganckiej Coco.

Ciotka i jej cztery bratanice. Szósta kobieta na razie pozostawała dla niego zagadką. Popijając whisky z wodą, przyglądał się Megan O'Riley. Urodą nie ustępowała pięknym mieszkankom Wież. Mówiła z typowym oklahomskim akcentem, co miało niezaprzeczalny urok. Od swoich współtowarzyszek różniła się tylko jednym: wszystkich traktowała z rezerwą.

Nie wiedział, czy taka jest w rzeczywistości, chłodna i na dystans, czy może jej sztywność i rezerwa są wynikiem nieśmiałości. Przemknęło mu przez myśl, że trudno być nieśmiałą czy chłodną w pokoju pełnym roześmianych ludzi, gaworzących maluchów i rozbrykanej młodzieży.

Trzymał na kolanach jedną ze swych ulubionych kobietek - małą Jenny, która zasypywała go pytaniami.

- Ożenisz się z cicią Coco?
- Myślę, że nie przyjmie moich oświadczyń.
- Ja przyjmę! - Dziewczynka uraczyła go pięknym, szczerbatym uśmiechem. - Możemy wziąć ślub w ogrodzie, tak jak mama z tatusiem. A potem będziesz mógł mieszkać z nami.

- To najlepsza propozycja, jaką miałem od dawna.
- Pokrytym odciskami palcem pogładził małą po policzku.

- Ale musisz poczekać, aż urosnę.
- Mądrze mówisz, dziecino - poparła ją Lilah, która siedziała na kanapie przytulona do męża, z niemowlęciem na ręku. - Nie należy się samemu spieszyć

ani nikogo ponaglać. Lepiej powoli dojść do celu, niż gnać na oślep.

- Lilah wie, co mówi - stwierdziła Amanda. - Pośpiech jest jej całkowicie obcy.

- Nie oddam mojej córeczki byle majtkowi! - zaprotestował Holt, porywając Jenny w ramiona.

- Byle majtkowi? Z zamkniętymi oczami potrafię wprowadzić statek do portu. W przeciwieństwie do ciebie, Bradford!

- A właśnie że nie - oburzył się Aleks, broniąc honoru rodziny. - Tatuś jest najlepszym marynarzem na świecie. Umie kierować łodzią nawet wtedy, gdy strzelają do niego bandyci. - Otoczył ramieniem nogę Holta. - Raz nawet został postrzelony. Lekarze wyjęli z niego kulę.

Holt uśmiechnął się do przyjaciela.

- No widzisz, stary? Lepiej mi tu nie podskakuj.

- A czy do ciebie kiedykolwiek strzelano? - ciągnął Aleks.

- Nie. - Nate odstawił szklanę. - Ale pewien Grek na Korfu chciał mi poderżnąć gardło.

Oczy Aleksa zrobiły się wielkie. Kevina również.

- Serio? - spytał Aleks, szukając na szyi Nate'a podłużnych blizn. Wiedział, że przyjaciel jego ojca ma na ramieniu tatuaż przedstawiający zięjącego ogniem smoka, ale gdyby miał rany po nożu, to dopiero byłoby coś! -I co? Odebrałeś mu sztylet i zadźgałeś go na śmierć?

- Nie. - Nathaniel dojrzał wyraz niedowierzania i potępienia w oczach Megan. - Facet źle wycelował; zamiast w szyję, trafił mnie w ramię, a wtedy Holender dzielił go w łeb butelką ouzo.

Kevin, przejęty opowieścią, przysunął się bliżej.

- Masz bliznę?

- No pewnie.

Amanda powstrzymała Nathaniela, zanim zdążył rozpiąć koszulę.

- Przestań, bo zaraz wszyscy zaczną się rozbierać. Sloan, na przykład, uwielbia pokazywać szramę, jaka mu została po upadku na drut kolczasty.

- Bo jest imponująca - powiedział ze śmiechem jej mąż. - Ale Megan ma jeszcze piękniejszą.

- Sloan, proszę cię. - Siostra posłała mu ostrzegawcze spojrzenie.

Zignorował je.

- Daj mi się tobą pochwalić, myszko. - Otoczył Meg ramieniem i po chwili dodał: - Miała dwanaście lat i wredny charakter. Któregoś dnia ojciec kupił konia, ogiera o równie wrednym charakterze. Meg oczywiście uznała, że sobie z nim poradzi. Ujechała prawie kilometr, zanim koń ją zrzucił.

- Nie zrzucił - zaoponowała. - Spadłam, bo urwała się wodza.

- To jej wersja. - Roześmiał się. - Tak czy inaczej wylądowała pupą na kolczastym drucie. Przez półtora miesiąca nie mogła siedzieć.

- Przez dwa tygodnie - sprostowała Megan; kącki ust jej drgały.

- Aż jej zazdroszczę takiej blizny. - Sloan poklepał siostrę po pupie.

- Chętnie bym obejrzał. - mruknął Nathaniel.

Suzanna uniosła ze zdziwieniem brwi.

- Chyba położę Christiana spać.
- Dobry pomysł - poparła ją C C , widząc, że jej Ethan też zaczyna się wiercić. - Niektórzy nie mogą doczekać się kolacji.

Lilah dołączyła do siostr. Odprowadzając je wzrokiem, Megan nagle poczuła ukłucie zazdrości. Zdumiała się. Zanim znalazła się w otoczeniu młodych matek i pachnących mlekiem niemowląt, nie myślała o tym, że chciałyby mieć więcej dzieci.

- Przepraszam za spóźnienie. - Coco wkroczyła do salonu, poprawiając ręką fryzurę. - Mieliśmy drobny problem w kuchni.

Nate ujrzał na jej twarzy znajomy wyraz zniecierpliwienia; starał się nie parsknąć śmiechem.

- Czy Holender znów ci się czymś naraził? - spytał.
- On... - Nie lubiła się skarżyć. - Po prostu mamy inne podejście do wielu spraw. Dzięki, kochanie - podziękowała Trentowi za kieliszek wina. - Ojej, ale ze mnie sklerotyczka! Zapomniałam wziąć kanapki.
- Przyniosę je - zaoferował Maks, wstając z fotela.
- Doskonale. - Zacisnęła rękę na dłoni Megan. - Nawet nie miałyśmy czasu z sobą porozmawiać. Powiedz, kochanie, jak ci się podoba nasz hotel?
- Jest wspaniały. Podobno wszystkie apartamenty są już zarezerwowane?
- Tak, to niesamowite. - Coco uśmiechnęła się do Trenta. - Mniej więcej rok temu byłam strasznie przygnębiona. Bałam się, że moje kochane dziewczynki stracą dom. Wprawdzie karty wskazywały co innego, ale... Mówiłam ci, że zanim Trent się pojawił, zobaczy-

łam go w tarocie? Któregoś dnia muszę ci postawić horoskop. Przekonamy się, jaka czeka cię przyszłość.

- Boja wiem...

- A może dziś mogłabym powróżyć ci z ręki?

Megan odetchnęła z ulgą, kiedy do pokoju wrócił Maks z tacą kanapek. Ich widok sprawił, że Coco zapomniała o wróżeniu.

- Nie interesuje cię przyszłość? - szepnął Nate.

Megan obejrzała się przez ramię. Nie zauważyła, kiedy podszedł.

- Interesuje mnie teraźniejszość. Chwila obecna.

- Cyniczka. - Ujął jej dłoń i obrócił spodem do góry. - Dawno temu, na zachodnim wybrzeżu Irlandii, spotkałem pewną staruszkę, Molly Duggin, która powiedziała mi, że mam wyjątkowy dar percepcji. Że dotykiem potrafię odczytać charakter człowieka. - Przez moment stał bez ruchu, wpatrując się w jej oczy. Kiedy opuścił wzrok, dreszcz przebiegł Meg po plecach. - Jesteś osobą upartą. Bardzo samodzielna.

Czubkiem palca obrysował jej kciuk. Znowu poczuła dreszcz. Silniejszy niż za pierwszym razem.

- Nie wierzę w chiromancję.

- Wcale tego nie wymagam. Hm, jesteś nieśmiała - ciągnął. - Wcześniej nie byłem tego pewien, ale teraz już wiem. Płonie w tobie ogień, lecz trochę się go lękasz. - Ponownie przesunął palcem po jej dłoni. - Nie, może się nie lękasz, ale wolisz go ignorować. Realistka; lubisz stawiać sobie cele i dążyć do ich spełnienia. Podejmując decyzje, kierujesz się rozumem. Nie zwracasz

uwagi na to, co mówi ci serce. - Podniósł wzrok. -I co? Coś się zgadza?

Zgadzało się bardzo wiele, nie zamierzała mu jednak tego mówić. Cofnęła rękę.

- To miła rozrywka, nic poza tym - rzekła.

- Tak sądzisz? - spytał cicho, chowając ręce do kieszeni.

Nazajutrz zaczęła jej doskwierać beczynność. Nie miała serca zabronić Kevinowi pojechania na całodniową wycieczkę z Bradfordami, ale ledwo znikł jej z oczu, poczuła się straszliwie samotna. Nie była przyzwyczajona do tego, że nikt niczego od niej nie chce.

Postanowiła namówić Amandę, by jednak zaprowadziła ją do jej gabinetu. Zrezygnowała z pomysłu, kiedy uśmiechnięta dziewczyna w recepcji hotelowej poinformowała ją, że pani O'Riley znajduje się w zachodnim skrzydle i właśnie usiłuje rozwiązać pewien drobny problem.

Do Coco nie mogła się zwrócić o pomoc. Akurat przystanęła za kuchennymi drzwiami, kiedy ze środka doleciał ją łoskot patelni oraz podniesione głosy.

Ponieważ Lilah, z zawodu botanik, wróciła do pracy w parku, a CC. od rana przebywała w swym sklepie motoryzacyjnym w mieście, Megan była zdana na własne towarzystwo.

Krążąc po ogromnym pustym domu, miała wrażenie, jakby była jedyną żywą istotą w promieniu wielu kilometrów.

Pomyślała sobie, że mogłaby poczytać albo usiąść na

jednym z tarasów, wystawić twarz do słońca, podziwiać widoki. Mogłaby zejść na dół i zobaczyć, jak postępuje remont w części domu zajmowanej przez rodzinę. Mogłaby poszukać Sloana i Trenta, poprzekadzać im w pracy.

Maksowi nie chciała przeszkadzać; wiedziała, że siedzi zamknięty w swoim gabinecie i pisze książkę. Do świetlicy dziecięcej też nie chciała zaglądać, bądź co bądź niedawno ją opuściła.

Wróciła do siebie do pokoju, wygładziła narzutę na łóżku i rozejrzała się wkoło. Reszta jej rzeczy dotarła z samego rana; jak to miała w zwyczaju, natychmiast wszystko rozpakowała. Sukienki i żakiety wisiały w pięknej palisandrowej szafie, bluzki, sweterki i bielizna leżały starannie złożone w osiemnastowiecznej komodzie. Zdjęcia w ramach przedstawiające członków jej rodziny stały na stoliku pod oknem.

Buty, biżuteria, książki - wszystko znajdowało się na swoim miejscu.

Wiedziała, że musi się czymś zająć, bo inaczej oszałeje z nudów. Powziąwszy decyzję, chwyciła teczkę, jeszcze raz sprawdziła, czy niczego nie zapomniała, po czym wyszła na dwór i wsiadła do samochodu, który Sloan jej pożyczył.

Dzięki C.C. i jej niezwykłym zdolnościom motoryzacyjnym wóz chodził jak marzenie. Megan ruszyła krętą szosą, kierując się w stronę miasteczka.

Podobała jej się migocząca woda w zatoce oraz stro-
mo opadające uliczki pełne turystów. Nie podobały się natomiast zastawione towarami wystawy sklepowe.

Nie, nie porażały brzydota, to była raczej kwestia jej nastawienia. Po prostu nienawidziła zakupów. Robiła je, z musu, a nie dla przyjemności.

Kiedyś, dawno temu, lubiła zaglądać do butików, patrzeć na wystawy, przymierzać stroje. Lubiła długie leniwe popołudnia, kiedy nie miała nic do roboty i mogła godzinami obserwować chmury albo słuchać szumu wiatru. Ale to było przed wieloma laty, zanim straciła niewinność - zanim zaczęła ciążyć na niej odpowiedzialność za syna.

Kilkanaście metrów dalej, na przystani, dojrzała szyld z napisem BRYZA. Na brzegu stało parę małych łajb, ale ani „Żeglarza”, ani „Królowej Wysp” nie było nigdzie widać.

Megan zmarszczyła gniewnie czoło. Liczyła na to, że złapie Holta, zanim ten wypłynie w morze z grupą turystów. Po chwili uznała, że chyba może wejść do środka. Bądź co bądź ma zajmować się działalnością finansową firmy.

Zaparkowała samochód za długim kabrioletem o lśniące czarnej karoserii i białym wnętrzu. Przysłoniwszy ręką oczy, przez moment wpatrywała się w przepływający nieopodal dwumasztowy szkuner, na którego pokładzie stało kilkanaście osób. Chociaż całe życie mieszkała z dala od wody, kusiła ją morska wyprawa. Zamyśliła się. Chyba tu, w Bar Harbor, będzie szczęśliwa. Nie chyba, a na pewno, poprawiła się.

Zastukała do drzwi.

- Otwarte!

Nathaniel siedział z nogami wspartymi o stare, meta-

lowe biurko ze słuchawką przytkniętą do ucha. Dżinsy miał przetarte na kolanach i ubrudzone smarem, włosy potargane, przypuszczalnie przez wiatr. Nie przerywając rozmowy, skinął na Megan, żeby weszła głębiej do pokoju.

- Radziłbym drewno tekowe. Mam go wystarczająco dużo na składzie, więc zrobiłbym pokład w ciągu dwóch dni. Nie, silnik jest w porządku. Tak, oczyściłem go. Moim zdaniem, powinien jeszcze długo służyć. Co takiego? Oczywiście, nie ma sprawy. - Podniósł z popielniczki cygaro. - Zadzwoń, jak tylko skończymy.

Odłożywszy słuchawkę, zaciągnął się cygarem. Dziwne, pomyślał. Dziś rano stanął mu przed oczami obraz Megan O'Riley. Wyglądała identycznie jak teraz: zaczesane do góry rudawoblond włosy, spokojny wyraz twarzy, chłodne spojrzenie.

- Wybrałaś się na zwiedzanie miasteczka?

- Nie. Szukam Holta.

- Jest na „Królowce”. Spodziewam się go... - od niechcienia zerknął na zegarek - mniej więcej za półtorej godziny. Jesteś skazana na moje towarzystwo.

Miała ochotę odwrócić się na pięcie i skierować ku drzwiom. W ostatniej chwili się powstrzymała.

- Chciałabym obejrzeć rachunki.

Ponownie zaciągnął się cygarem.

- Myślałem, że zaczniesz pracę w przyszłym tygodniu.

- A co, boisz się? - spytała z lekką pogardą w głosie. - Bilans wam się nie zgadza?

- Mnie tam wszystko się zgadza. - Schyliwszy się,

wysunął szufladę, z której wyjął grubą księgę oprawną w czarną skórę. - Ale to ty jesteś ekspertem. Usiądź. Będzie ci wygodniej.

- Słusznie. - Spoczęła na składanym krześle po drugiej stronie biurka, po czym wyjęła z torby okulary w ciemnych oprawkach. Włożywszy je na nos, otworzyła księgę. Na widok niechlujnych rzędów cyfr, zapiszków na marginesach oraz doklejonych karteczek z nabazgranymi uwagami serce zabiło jej mocniej. - To jest wasza księga rachunkowa?

- Tak - odparł, przyglądając się siostrze Sloana. Wyglądała uroczo z tą swoją srogą minką i włosami upiętymi na czubku głowy. Miał ochotę ją schrupać, - Prowadzimy ją z Holtem na zmianę, odkąd Suzanna nawymyślała nam od kretynów. - Uśmiechnął się czarująco. - Była wtedy w ciąży, uznaliśmy więc, że nie wolno jej stresować.

- Hmm. - Megan przewróciła jedną kartkę, drugą. Dla niej prowadzenie ksiąg rachunkowych stanowiło nie źródło stresu, lecz wyzwanie. - Gdzie...

- W szafie. - Skinął za siebie. Nie wiedzieć czemu, miał ochotę się z nią podrażnić.

- Trzymacie faktury?

- Oczywiście.

- Wszystkie rachunki, kwity?

- No jasne. - Wysunąwszy szufladę, wydobył duże pudełko po cygarach. - Do wyboru, do koloru.

Megan uniosła pokrywkę i westchnęła głośno.

- I na tym polega wasza działalność handlowa?

- Na pewno nie na gromadzeniu papierków. Robimy co innego. Organizujemy rejsy, naprawiamy łodzie, cza-

sem dostajemy zlecenie na budowę łajby. - Pochylił się nad biurkiem, głównie po to, by lepiej poczuć delikatny zapach jej skóry. - Robota papierkowa nigdy mnie specjalnie nie interesowała, Holt też za nią nie przepada. - Nie spuszczał oczu z Megan. Korciło go, aby zrzucić jej z nosa okulary, wyciągnąć klamerkę ze starannie upiętych włosów, rozpiąć bluzkę. - Może dlatego gość, którego zatrudniliśmy w tym roku do podliczenia naszych podatków, nabawił się nerwowego tik. - Zamrugał lewym okiem, demonstrując, na czym ów tik polegał. - Podobno biedak postanowił wyjechać na Jamajkę i zająć się sprzedażą słomkowych koszy.

Roześmiała się.

- Ręczę ci, że mnie się tak łatwo nie pozbędziesz.
- I bardzo dobrze. - Odchylił się; fotel zaskrzypiał.
- Masz ładny uśmiech, Megan. Powinnaś go częściej demonstrować.

Czyżby z nią flirtował? Natychmiast stała się ostrożna i podejrzliwa.

- Płacisz mi za moją wiedzę, a nie uśmiech.
- Mogłabyś go dorzucić za darmo. Powiedz, dlaczego wybrałaś zawód księgowej?
- Zawsze mnie bawiły cyfry. - Rozłożyła księgę na biurku, po czym wyjęła z torby kalkulator.
- Bukmachera też bawia. Ale ty zostałaś księgową. Dlaczego?
- Bo to porządny, konkretny zawód - odparła, modląc się, aby Nathaniel dał jej święty spokój.
- Innymi słowy, nie lubisz niespodzianek. Lubisz, kiedy dwa plus dwa równa się cztery.

Zezłościło ją rozbawienie, jakie wyczuła w jego głosie.

- Owszem, lubię - oznajmiła chłodno. - Ale to, że matematyka jest nauką ścisłą i logiczną, nie znaczy, że jest nudna.

- Oho! Sopelek lodu. Czy to ja tak na ciebie działałam, czy mężczyźni w ogóle?

Uważała się za osobę obdarzoną dużą dawką cierpliwości, ale ta dawka raptownie malała.

- Przyjechałam tu do pracy. Nie interesują mnie...

- Przygodne znajomości? To dobrze. Ale czy nigdy nie zaprzyjaźniłaś się z żadnym ze swoich klientów? - Zgasił w popielniczce cygaro. - Masz o nas aż tak złe zdanie? Bo zapewniam cię, że nie musisz się mnie obawiać. Rozmawiając z kobietą, potrafię hamować swoje prymitywne instynkty. Zwłaszcza kiedy ona wysyła zniechęcające sygnały.

Zrobiło się jej głupio. Od pierwszej chwili zachowywała się wobec niego nieuprzejmie. Wiedziała dlaczego. Bo w towarzystwie Nate'a czuła się niezręcznie. Ale

sam był sobie winien. Czy musiał pożerać ją wzrokiem?

- Przepraszam - powiedziała. - Po prostu zmiana otoczenia... Nie jestem sobą. A sposób, w jaki na mnie patrzysz, tylko pogarsza sprawę.

- W porządku. Uważam jednak, że patrzeć wolno. Cokolwiek innego wymaga zgody. Zaproszenia.

- Rozumiem. Żeby nie było wątpliwości... - uśmiechnęła się - zaproszenia nie będzie. A teraz czy mógłbyś mi pokazać wasze ostatnie zeznania podatkowe?

- Gdzieś tu są.

Odepchnął się na fotelu. Nagle ciszę przeszył głośny pisk. Megan podskoczyła; papiery wypadły jej z rąk.

- O cholera! Tu jesteś? - Mówiąc to, Nate pochylił się i podniósł z podłogi czarnego szczeniaka. - Śpi całymi godzinami, więc zapominam o jego obecności i potem przydeptuję mu ogon albo najeżdżam na niego fotelem - wyjaśnił, zwracając się do Megan. Szczeniak wiercił się podniecony, usiłował polizać swojego pana po twarzy. - Nie mam serca zostawić go samego w domu. Zaczyna skomleć, ledwo zamykam drzwi.

- Jaki cudny. - Miała ochotę przytulić psinę. - Jest dość podobny do pieska Coco, prawda?

- Są z jednego miotu. - Podał jej małą, wierzącą się kulkę.

- Czarnulku mój. Ślicznotko moja.

Zmieniła się nie do poznania. W jednej chwili z jej twarzy znikł chłód, srogość i powaga. Miejsce skupionej, rzeczowej kobiety zajęła ciepła, przyjazna istota o łagodnym uśmiechu i rozmarzonym spojrzeniu.

Jaka szkoda, że nie jestem nim, pomyślał Nate, obserwując jej ręce głaszczące lśniąca sierść.

- Jak ma na imię?

- Pies.

Podniosła oczy.

- Pies? Tak po prostu?

- Tak. Jemu się to podoba. Hej, Piesku! - Na dźwięk głosu Nate'a psina przekrzywiła łeb i zaszczekała radośnie. - Widzisz?

- Rzeczywiście - przyznała ze śmiechem Megan. - Ale mogłeś wykazać się większą inwencją.

- Czyżby? Ile znasz psów o imieniu Pies?
- Ani jednego. No, Piesku, wracamy do pracy. - Zestawiła psinę na podłogę. - Tylko na nic mi tu nie nasiuśiaj.

Nathaniel rzucił przed siebie piłkę, za którą Pies pognął w radosnych podskokach, sam zaś obszedł biurko i schylił się, by pomóc Megan zebrać z podłogi papiery.

- Nie wyglądasz na psiarza - rzekła po chwili.
- Pozory mylą. Całe życie marzyłem o własnym psie. Ale trudno mieć psa, kiedy wypływa się w kilku-miesięczne rejsy. Kupiłem sobie za to ptaka.

- Ptaka?
- Papugę. Przywiozłem ją z Karaibów jakieś pięć lat temu. To kolejny powód, dlaczego wolę nie zostawiać Psa w domu. Ptak mógłby go zjeść.

- Ależ... -urwała.

Zawsze był bliżej, niż się go spodziewała. A jego spojrzenie przejmowało ją dreszczem.

Przyglądał się jej uważnie. Wzruszały go jej zażenowanie i nieśmiałość, które tak nieudolnie starała się ukryć. Wyciągnął rękę i delikatnie wsunął jej za ucho luźny kosmyk włosów.

Poderwała się na równe nogi.

- Chryste, ale jesteś nerwowa. - Zamknawszy pudełko od cygar, wstał z klęczek. - Aż tak się boisz mojego dotyku?

- Niczego się nie boję - odparła, unikając jego wzroku. Nigdy nie potrafiła dobrze kłamać. - Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wezmę z sobą te wszystkie papiery. Kiedy je przejrzę, skontaktuję się z tobą. Albo z Holtem.

- Dobrze. Wiesz, gdzie nas szukać - dodał, ignorując dzwoniący telefon.

- A potem trzeba będzie stworzyć jakiś system przechowywania dokumentów.

Przysiadł na brzegu biurka.

- W porządku, złotko. Ty tu jesteś szefem.

Zamknęła torebkę.

- Szefem jesteś ty. A mnie, z łaski swojej, nie nazywaj złotkiem.

Odwróciła się na pięcie i wymaszerowała z pokoju. Po chwili wsiadła do samochodu. Przejechawszy przez miasteczko, skierowała się w stronę Wież. Kiedy dotarła do długiej, krętej drogi prowadzącej pod dom, przystanąła na poboczu. Potrzebowała paru minut samotności. Zamknawszy oczy, oparła głowę o siedzenie. Czuła się spięta. Zwykłą siłą woli nie potrafiła opanować drżenia.

Wściekała ją własna niemoc i słabość. Wściekał też Nathaniel Fury. Sądziła, że dawno uporała się z problemami natury męsko-damskiej. Jedno spotkanie z Nate'em uzmysłowiło jej, jak bardzo się myliła.

Wystarczyło, że na nią spojrział, a ona...

Co gorsza, podejrzewała, że Nate świadomie roztacza nad nią swe wdzięki i doskonale wie, jaki to wywołuje skutek.

Już raz zaufała przystojnemu mężczyźnie, który szeptał jej do ucha czułe słówka. Była wtedy młoda i naiwna, słuchała głosu serca, wierzyła w miłość do grobowej deski. Ale to było dawno temu. Teraz już wiedziała, że nie ma rycerzy w lśniących zbrojach, którzy przybywają na ratunek. Liczyć można wyłącznie na

siebie. I samej należy zadbać o przyszłość swoją i swojego dziecka.

Nie chciała, aby kiedykolwiek więcej serce biło jej jak szalone. Nie chciała czuć tego dziwnego ssania w żołądku, tej bolesnej pustki, tego przytłaczającego ciężaru samotności; nie chciała znów przeżywać rozczarowania.

Pragnęła być dobrą matką dla Kevina, zapewnić synowi szczęśliwe dzieciństwo, pogodny dom, poczucie bezpieczeństwa. Pragnęła iść przez życie z dumnie uniesioną głową, być silna, mądra, niezależna od nikogo, o nic nie prosić, polegać tylko na sobie.

Westchnąwszy głośno, uśmiechnęła się do samej siebie.

Niby niewiele, a jednak... Miała jasno wytyczony cel. Może nie uda się jej w pełni go zrealizować, ale zamierzała spróbować. Od paru lat stąpała twardo po ziemi; nie bujała w obłokach, nie marzyła o niebieskich migdałach. Wiedziała, czego się wystrzegać: fałszywych obietnic i mężczyzn, którzy mogą wywrócić jej uporządkowany świat na nice.

Uspokoiwszy się, otworzyła oczy i przekręciła klucz w stacyjce. Czeka ją sporo pracy.

ROZDZIAŁ TRZECI

Natychmiast po powrocie do Wież Megan odszukała bratową.

- Mandy, zlituj się. Chcę zobaczyć swój gabinet, zorientować się, co i jak...

Amanda podniosła głowę znad sterty papierów.

- To straszne, kiedy wszyscy są czymś zajęci, a człowiek obija się z kąta w kąt, prawda?

Megan westchnęła głośno. No, nareszcie trafiła się bratnia dusza.

- Jakbyś zgadła.

- Sloan uparł się, żebyś odpoczęła... - Widząc, jak Megan przewraca oczami, Amanda parsknęła śmiechem. - Ale co on tam wie? Chodź. - Odsunęła fotel od biurka. - Jesteśmy prawie sąsiadkami.

Wyszła na korytarz i skręciła w lewo. Po chwili zatrzymała się przed solidnymi, bogato rzeźbionymi drzwiami.

- To tutaj. Myślę, że zaopatrzyliśmy cię we wszystko, co może być potrzebne. W razie czego, daj znać.

Niektóre kobiety czuły miły dreszczyk podniecenia, kiedy przekraczały próg luksusowego sklepu. Inne - na widok flakonika perfum, migoczącego blasku świecy czy nalewanego do kieliszków szampana.

Po plecach Megan przebiegało mrowie, kiedy wchodziła do czystego, doskonale wyposażonego gabinetu.

Miała tu wszystko, o czym mogła marzyć.

Przepiękne osiemnastowieczne biurko, wielkie i lśniące, na nim telefon, komputer, przybory do pisania. Obok, pod ścianą, drewniane segregatory o mosiężnych uchwytach połyskujących w promieniach słońca, które wpadało przez okna. Na podłodze miękki turecki dywan, którego wzór idealnie współgrał z różowo-szarym obiciem foteli i dwuosobowej kanapy. Na lewo od biurka półka na teczki i książki rachunkowe, na prawo niski, półokrągły stolik z ekspresem do kawy, faksem i kserokopiarką.

Stare meble harmonizowały ze współczesną techniką, nadając wnętrzu specyficzny urok.

- Och, Mandy! Jestem wniebowzięta.

- Miałam nadzieję, że ci się spodoba. - Amanda przesunęła spinacz, wygładziła bloczek. - Nawet nie wiesz, z jaką radością przekazuję ci to wszystko. I bez tego pracy mam aż nadto. Zobacz... - Podeszła do segregatora i wyciągnęła szufladę. - Poukładałam papiery, żeby łatwiej się było w nich połapać. Oddzielnie rachunki płacone gotówką, oddzielnie te płacone kartą, faktury, zamówienia zrealizowane i do realizacji. Zresztą, sama się zorientujesz.

Na widok kolorowych przegródek i starannie porozdzielanych dokumentów Megan rozpromieniła się.

- Wspaniale. Nie ma porównania z pudełkiem po cygarach!

Amanda wybuchnęła śmiechem.

- Rozumiem z tego, że widziałas sposób prowadzenia księgowości przez Holta i Nate'a?

Megan poklepała swoją torebkę.

- Owszem, i całą tę ich księgowość mam przy sobie.
- Nie mogąc się powstrzymać, usiadła w fotelu obrotowym.- Bosko!

Podniosła zatemperowany ołówek, po chwili odłożyła go na miejsce.

- Nie wiem, jak ci dziękować za tę pracę.

- Nie bądź śmieszna, przecież należysz do rodziny. Zresztą zobaczymy, czy po dwóch tygodniach wciąż będziesz zachwycona. Panuje tu taki rwetes i rozgardiasz, że...

Urwała, słysząc głos wołającego ją męża, i popatrzyła znacząco na bratową.

- Widzisz? Człowiek nie ma ani chwili spokoju.

- Wystawiła głowę za drzwi. - Tu jestem, O'Riley!

Po chwili w gabinecie pojawił się Sloan z Trentem, obaj pokryci warstwą kurzu.

- Mielicie rozwalić ścianę...

- Tak, ale najpierw musieliśmy przesunąć meble. I zobacz, co znaleźliśmy.

Amanda spojrzała na przedmiot, który mąż trzymał w ręku.

- Starą, przesiąkniętą wilgocią książkę? Fantastycznie, kochanie. A teraz może zajęlibyście się z Trentem tą ścianą, co?

- Ale to nie jest zwykła książka - oburzył się Trent.

- To księga rachunkowa prowadzona przez Fergusa. W 1913 roku.

- Naprawdę? - Z bijącym sercem Amanda wyciągnęła rękę.

Zaintrygowana Megan dołączyła do nich.

- Myślicie, że zawiera coś ważnego? - spytała.

- Akurat w tym roku zmarła Bianca - odparł Sloan, kładąc dłoń na ramieniu siostry. - Znasz tę historię, Meg. Bianca tkwiła w małżeństwie, w którym było więcej niechęci i wrogości niż uczucia. Któregoś dnia poznała Christiana Bradforda. Zakochali się w sobie. Bianca postanowiła zabrać dzieci i odejść od Fergususa. On odkrył jej plany. Stali w wieży, kłócili się. W pewnym momencie Bianca wypadła przez okno.

- Fergus zniszczył wszystko, co do niej należało - podjęła drżącym głosem Amanda. - Ubranie, bibeloty, obrazy, zdjęcia. Wszystko prócz szmaragdów, które ukryła. Jedyne, co nam po Biance zostało, to właśnie te szmaragdy i portret, który Christian namalował. - Wzięła głęboki oddech. - A teraz doszło to: księga zysków i strat.

- Gdzieś Fergus pisał coś na marginesach - wtrącił Trent, przewracając stronę. - Jakby prowadził dziennik...

Marszcząc czoło, Amanda przeczytała na głos fragment zapisków:

- Za dużo się w kuchni marnuje. Zwolniłem kucharkę. B. zbyt wyrozumiała dla służby. Kupiłem nowe spinki do mankietów. Z brylantem. W sam raz na dzisiejsze wyjście do opery. Boże! Co za okropny człowiek!

- Gdybym wiedział, że tak się tym zdenerwujesz, w ogóle bym tej księgi nie ruszał - oznajmił Sloan.

Amanda potrząsnęła głową.

- Nie, rodzina na pewno ucieszy się z odkrycia. - Odłożyła księgę na bok; nie chciała brudzić nią sobie rąk. - Właśnie oprowadzałam Megan po jej nowym królestwie.

- Widzę. - Sloan zmrużył oczy. - Miałem nadzieję, że odpoczniesz kilka dni...

- Przy pracy najlepiej wypoczywam - stwierdziła Megan. - Wracaj do swojej roboty i nie zwracaj mi głowy.

- Słusznie. - Amanda cmoknęła męża w policzek i wypchnęła go na korytarz, - Jazda stąd!

W sąsiednim pokoju, w którym mieścił się jej gabinet, zadzwonił telefon.

- Daj znać, gdybyś czegoś potrzebowała - powiedziała do Megan, po czym ruszyła pośpiesznie do siebie.

Megan, zadowolona z nowego miejsca pracy, zamknęła drzwi. Pocierając dłonie, skierowała się do biurka, na którym zostawiła torebkę z rachunkami.

Nathanielowi oczy wyjdą na wierzch, kiedy zobaczy, jak prowadzi się księgowość.

Trzy godziny później usłyszała głośny tupot nóg. Domyśliła się, że ktoś wyjaśnił Kevinowi, jak trafić do jej gabinetu.

- Cześć, mamuś!

Wbiegł do pokoju, prosto w jej rozwarte ramiona. Pocałowała syna w czubek nosa. Zapomniała o rachunkach, o pracy, do której tak bardzo się rwała.

- Ale było super! Najpierw bawiliśmy się z Sadie i Fredem, potem stoczyliśmy wojnę w nowym forcie. A jeszcze potem pojechaliśmy do szklarni Suzanny i podlaliśmy miliony kwiatów.

Megan spojrzała znacząco na mokre tenisówki syna.

- Zdaje się, że nie tylko kwiaty podlewaliście.

- No. - Chłopiec wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Wiesz, kto wygrał wodną bitwę? Ja!

- Mój ty mały bohaterze!

- Na lunch zjedliśmy pizzę. Carolanne, która pracuje u Suzanny, stwierdziła, że aż mi się uszy trzęsły. Jutro Suzanna przycina krzewy, więc nie możemy do niej jechać, możemy za to wybrać się razem na przejażdżkę statkiem. Co, mamuś? Możemy? Powiedziałem Aleksowi i Jenny, że na pewno się zgodzisz.

Oczy lśniły mu z podniecenia. Dawno nie widziała go tak szczęśliwym. W tym momencie zgodziłaby się na wszystko. Gdyby poprosił ją, aby poleciała z nim do Nairobi, bo chciałby zapolować na lwy, chyba też nie umiałaby mu odmówić.

- No pewnie, że możemy. - Roześmiała się, kiedy uradowany zarzucił jej ręce na szyję. - To o której wypływamy?

Nazajutrz, punktualnie o dziesiątej rano, Megan pojawiła się na przystani z trójką swoich podopiecznych. Chociaż był ciepły czerwcowy dzień, posłuchała rady Suzanny i zapakowała do torby ciepłe kurtki i czapki. A także lornetkę, aparat fotograficzny i dodatkową rolkę filmu.

Przed wyruszeniem z domu łyknęła kilka tabletek przeciwko chorobie morskiej. Ledwo jednak weszła na pokład, natychmiast ogarnęły ją mdłości. Jestem typowym szczurem lądowym, pomyślała, rozglądając się wkoło.

Statek wyglądał solidnie. Biała farba lśniła w słońcu. Na głównym pokładzie znajdowała się duża kabina z oknami. W niej mieścił się sklepik z drobnymi przekąskami, automaty z wodą i colą, kilka stolików, ławy oraz krzesła. Miejsce w sam raz dla szczurów lądowych.

Nie dane jej było nacieszyć się tym miłym, przytulnym pomieszczeniem. Dzieci miały inne plany.

- Idziemy na mostek - oznajmił Aleks, dumnym krokiem prowadząc wszystkich na górę. - „Żeglarz” należy do nas. Do nas i do Nate'a.

- Tatuś twierdzi, że statek jest własnością banku - trajkotała Jenny, drałując po metalowych schodkach. Czerwona kokarda powiewała jej we włosach. - Ale to oczywiście żart. A Holender powtarza, że do jasnej cholery prawdziwy wilk morski nie powinien wozić żadnych pieprzonych turystów, że to dla niego wstyd i hańba. Ale Nate nic sobie z tego nie robi. Po prostu śmieje się i tyle.

Megan nie miała jeszcze okazji spotkać słynnego Holendra, podejrzewała jednak, że Jenny niczym papuga cytuje go słowo w słowo. Niestety, często słowa Holendra, barwne i dosadne, nie nadawały się dla uszu małych dzieci.

- Już jesteśmy! - oznajmił Aleks, wpadając na mostek. - Razem z Kevinem.

- Witajcie na pokładzie. - Nathaniel podniósł oczy znad mapy, którą studiował, i utkwiał spojrzenie w twarzy Megan.

- Spodziewałam się Holta.

- Pływa dziś na „Królówce”. - Wsunął cygaro do ust i uśmiechnął się. - Nie martw się, Meg. Nie ugrzęzniesz ze mną na mieliźnie.

Wcale się tego nie obawiała. W czarnych dżinsach, swetrze i czarnej wełnianej czapce sprawiał wrażenie człowieka, który zna się na swojej robocie.

- Zaczęłam przeglądać wasze finanse...

- Podejrzewałem, że się nie oprzesz.

- Dawno nie widziałam takiego bałaganu.

- No tak. Hej, Kevin. Podejdź tu bliżej. Pokażę ci naszą trasę.

Chłopiec spojrział niepewnie na matkę. Po chwili puścił jej rękę. Barwne mapy stanowiły zbyt wielką pokusę. Podbiegł do stołu. Dziesiątki pytań cisnęły mu się do ust.

- Zobaczymy wieloryby? A jeśli któryś się zderzy ze statkiem? Czy z tej dziury na plecach zawsze wypuszczają fontannę wody? Gdzie stoisz, kiedy sterujesz statkiem? Tutaj? A...

Megan zamierzała delikatnie zwrócić synowi uwagę, by nie zameczał Nathaniela, ale zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, ten wziął Jenny na ręce, poczochnął Aleksa po włosach i przystąpił do udzielania wyczerpujących odpowiedzi.

Wyraźnie lubił towarzystwo dzieci.

- Jesteśmy gotowi, kapitanie.

Nate skinął głową do swojego zastępcy.

- W porządku, dzięki. - Z Jenny na ręku podszedł do steru. - A teraz, moja panno - powiedział, stawiając ją przed kołem - wyprowadź nas na pełne morze.

Dziewczynka aż zapiszczała z radości.

Megan nie potrafiła dłużej poskromić ciekawości. Zbliżywszy się, zaczęła oglądać przyrządy. Sonda akustyczna, sonar, radar nawigacyjny, radio, dziesiątki tarcz i pokręteł. Nie miała pojęcia, do czego co służy. Była kobietą, które całe życie spędziła na lądzie, z dala od mórz i oceanów. Tu, na mostku kapitańskim, czuła się jak na statku kosmicznym.

Statek powoli oddalał się od brzegu. A ją ogarniały coraz większe mdłości. Wściekła na siebie, starała się nad nimi zapanować. Przecież nie kołysze, tłumaczyła sobie. Wystarczy odrobina skupienia i silnej woli, aby pokonać wymagowaną chorobę morską.

Poza tym przecież łyknęła tabletki. Tabletki stworzone specjalnie dla takich ludzi jak ona.

Dzieciaki skakały z radości, patrząc, jak statek wpływa do zatoki. Megan nie skakała. Stała bez ruchu, czując, jak żołądek podchodzi jej do gardła.

Aleks wspaniałomyślnie pozwolił, aby to Kevin włączył syrenę. Megan spoglądała przez szybę na spokojne niebieskie morze. Prawda, jak tu pięknie? - przekonywała siebie samą. Żadnych fal, po prostu idealnie gładka tafla.

- Za chwilę z prawej będzie widać Wieże - oznajmił Nathaniel.

Megan skierowała wzrok na strome zbocze.

- Zobacz, Kevin! - Zacisnęła ręce na biegnącej pod oknem poręczy. - Zupełnie jakby wyrastały ze skał!

Z tej perspektywy rezydencja Calhounów przypominała autentyczny średniowieczny zamek. Grube mury, wysokie wieże... Nawet rusztowania, po których uwijały się postaci wielkości mrówek, pasowały do bajkowego charakteru całości. Nic dziwnego, że Sloan, którego od dziecka fascynowała architektura, uwielbiał to miejsce.

Nagle usłyszała za sobą głos Nate'a:

- Coś takiego człowiek spodziewa się ujrzeć na pustym, surowym wybrzeżu Irlandii. Albo na skalistym, przysłoniętym mgłą wybrzeżu Szkocji.

- To prawda - przyznała cicho Megan. - Od strony morza Wieże robią niesamowite wrażenie.

Utkwiwszy wzrok w oknie, z którego wypadła Bianca, poczuła, jak przenika ją dreszcz.

- Radzę włożyć kurtkę. Kiedy wypłyniemy na pełne morze, będzie jeszcze chłodniej.

- Nie, nie jest mi zimno. Po prostu zamyśliłam się. Słyszałam tyle opowieści o Biance, że... Biedna kobieta.

- Przesiadywała w wieży, wypatrując ukochanego. To znaczy Christiana. Marzyła o życiu z nim. Ponieważ pochodziła z dobrego domu, na pewno gryzły ją wyrzuty sumienia. Ale w zderzeniu z miłością żadne nakazy przyzwoitości czy *savoir-vivre'u* nie mają szansy.

Ponownie przeszył ją dreszcz. Prawdziwość tych słów mogłaby potwierdzić na własnym przykładzie. Kiedyś ona też kochała do szaleństwa; nie zważała na

nic, na żadne prośby czy ostrzeżenia. I jak bardzo się sparzyła!

- Drogo ją to kosztowało - oznajmiła cicho i próbując rozproszyć smętny nastrój, ponownie utkwiała wzrok w mapach. Zupełnie nie potrafiła się w nich połapać.

- Płyniemy na północny wschód - wyjaśnił Nate, wskazując palcem trasę statku. - Dzień jest bezchmurny, widoczność dobra, ale wieje silny wiatr. Trochę będzie kołysało.

Świetnie, pomyślała; tylko tego mi potrzeba.

- Jeśli nie trafimy na wieloryby, dzieciaki będą strasznie zawiedzione.

- Trafimy. Spokojna głowa.

Wypłynęli z zatoki na pełne morze. Megan chwyciła się poręczy, żeby nie stracić równowagi, ale i tak wpadła na Nate'a. Otoczył ją ramieniem. Kołysanie nie robiło na nim najmniejszego wrażenia.

- Musisz stanąć w rozkroku. Ciężar ciała lepiej się wtedy rozkłada. Zobaczysz, zaraz się przyzwyczaisz.

Nie bardzo w to wierzyła. Powoli ubranie lepiło się jej do ciała, żołądek podchodził do gardła, pot ściekał po plecach. Wiedziała, że musi wziąć się w garść. Nie chciała zepsuć synowi wycieczki, a tym bardziej nie chciała wystawić siebie na pośmiewisko.

- Ile czasu będziemy płynąć? Mniej więcej godzinę w jedną stronę? - Głos miała słaby, drżący.

- Mniej więcej.

Zamierzała przejść kilka kroków. Nie dała jednak rady; czując, jak kręci się jej w głowie, oparła się bezsilnie o Nate'a.

Obrócił ją twarzą do siebie. Zmarszczywszy brwi, przyglądał się jej w milczeniu. Była trupioblada, lecz spod tej bladości wyzierał interesujący, lekko zielonkawo odcień skóry. Natychmiast domyślił się, co jej dolega, i pokręcił współczująco głową. Ledwo odpłynęli od brzegu; a co będzie później?

- Trzeba było coś łyknać...

Nie miała siły udawać chojraka ani robić dobrej miny do złej gry.

- Łyknęłam, ale nic mi to nie pomogło. Mnie nawet w kajaku ogarniają mdłości.

- A mimo to postanowiłaś wypłynąć w trzygodzinny rejs po Atlantyku?

- Kevinowi tak bardzo zależało... - Urwała, gdy Nathaniel objął ją w pasie i zaczął prowadzić do ławy.

- Usiądź.

Posłuchała go, a gdy zobaczyła, że dzieci zajęte są obserwacją morza, zwiesiła głowę między kolana.

Trzy godziny? Nie wytrzyma. Wykorkuje dużo wcześniej. Pogrzeb na morzu? Czemu nie? Boże, co jej strzeliło do łba? Czy naprawdę sądziła, że kilka pastylek rozwiąże problem? Nagle poczuła, jak ktoś unosi jej rękę.

- Co się stało? - spytała. - Przyjechało pogotowie?

- Spokojnie, złotko. To tylko ja - odparł Nate, wsuwając jej na nadgarstki wąskie paski z frotte ozdobione metalowymi bolcami.

- Co robisz?

Zacisnął jeden pasek, potem drugi. Bolce zaczęły ją nieprzyjemnie uwierać.

- Stosuję akupresurę.

Gdyby czuła się odrobinę lepiej, wybuchnęłaby śmiechem.

- No pięknie. Potrzebuję lekarza, a nie czarnoksiężnika.

- Medycyna alternatywna potrafi zdziałać cuda. A teraz oddychaj powoli i głęboko. Zostawię cię na chwilę, dobrze? - Otworzył okno, wpuszczając do środka trochę świeżego powietrza. - Muszę stanąć przy sterze.

Odchyliła głowę do tyłu, rozkoszując się rześkim powiewem. Dzieci tłoczyły się po drugiej stronie mostku kapitańskiego, usiłując wypatrzeć wieloryba wśród zwieńczonych grzywą fal. Zamknęła oczy. Przeszkadzało jej, że widoczne w oddali skaliste wybrzeże to wznosi się, to opada. Westchnąwszy głośno, przywołała w myślach skomplikowane zadanie z trygonometrii. O dziwo, zanim znalazła rozwiązanie, mdłości całkiem ustąpiły.

Pewnie dlatego, że siedzę z zamkniętymi oczami, uznała. Ale nie mogła spędzić w ten sposób najbliższych trzech godzin, zwłaszcza mając pod opieką trójkę urwisów.

Zdobywając się na odwagę, uniosła jedną powiekę. Statkiem wciąż kołysało, ale stwierdziła ze zdumieniem, że żółądek nie podchodzi już jej do gardła. Uniosła drugą powiekę. I przerażona poderwała się z miejsca. Gdzie się podziały dzieci? Przed chwilą tłoczyły się przy...

Zobaczyła je przy sterze.

Wspaniała ze mnie opiekunka, pomyślała zdegustowana sobą. Zabieram dzieci na wycieczkę statkiem, a potem, nie przejmując się niczym, puszczam je samopas. Niech kapitan się nimi zajmuje.

Bojąc się, że zaraz znów chwycą ją mdłości, ostrożnie wykonała krok do przodu. Mdłości nie nastąpiły.

Wykonała drugi krok, trzeci. Wciąż była trochę osłabiona, ale przynajmniej nie ociekała potem. Decydując się na najwyższy akt odwagi, wbiła wzrok w spienione fale.

Sam widok może nie był najprzyjemniejszy, lecz wrażenie... hm, było całkiem miłe. Czuła się tak, jakby jechała na spokojnym, dobrze ułożonym koniu. Zdumiona, popatrzyła na ręce ściśnięte w nadgarstkach paskiem frotte.

Nathaniel obejrzał się przez ramię. Z satysfakcją zauważył, że twarz Megan straciła trupią bladość. Brzoskwińowa cera odpowiadała mu znacznie bardziej od zielonkawej.

- Lepiej? - spytał.

- Tak. - Uśmiechnęła się, żałując, że nie ma magicznych opasek, które potrafiłyby usunąć uczucie zażenowania. - Dziękuję.

Wyjęła z torby stos kurtek; najpierw ubrała dzieci, potem siebie. Gdy wpłynęli na pełne morze, lato znikło.

- Podczas mojego pierwszego rejsu zerwała się gwałtowna burza. To były najgorsze dwie godziny mojego życia. Spędziłem je przewieszony przez reling. Chodź, dam ci posterować.

- Mnie? Nie mogłabym... Nie dam sobie rady...

- Dasz, dasz.
- Spróbuj, mamuś. Zobaczysz, jakie to fajne.

Zachęcana przez trójkę dzieci, podeszła do steru. Nathaniel zacisnął ręce na jej dłoniach.

Czuła wpadający przez okno zapach morza, ale nie była w stanie się na nim skoncentrować. Otaczał ją bezmiar wody, jednakże co innego zaprzętało jej uwagę. On. Nate Fury. Plecami dotykała jego twardej, umięśnionej klatki piersiowej, słyszała nad uchem jego oddech, czuła rytmiczne bicie jego serca.

- Miło znów mieć nad sobą kontrolę, prawda? - spytał, a ona burknęła coś niewyraźnie pod nosem.

Bo nie miała żadnej kontroli.

Zastanawiała się, jak by to było, gdyby Nate trzymał ręce zaciśnięte nie na jej dłoniach, lecz... no, po prostu gdzie indziej. Albo gdyby obróciła się do niego przodem, a potem wolno uniosła twarz...

Wystraszyła się własnych myśli. I czym prędzej przystąpiła do rozwiązywania zadania z algebry.

- Zmniejszamy prędkość - oznajmił Nate.

Zmiana rytmu sprawiła, że Megan ponownie straciła równowagę. I nagle Nate, jakby czytał w jej myślach, obrócił ją twarzą do siebie. Chyba się niczym nie zdradziłam? - myślała nerwowo, spoglądając na jego szelmowski uśmiech.

- Widzisz te migoczące światełka na ekranie, Kevin?
- Pytanie zadał jej synowi, lecz patrzył na nią. Miała wrażenie, że hipnotyzuje ją swoimi szarymi oczami.
- Wiesz, co oznaczają? - Powoli rozciągnął usta w uśmiechu. - Że w pobliżu są wieloryby.

- Gdzie? Gdzie, Nate? - Chłopiec rzucił się pędem do okna.

- Obserwuj uważnie z lewej burty. Zaraz się zatrzymamy... - Po czym zwracając się do Megan, dodał cicho: - Poczciwe, niezawodne bestie.

Wciąż oszołomiona jego bliskością, cofnęła się pośpiesznie. Płynąc na zwolnionych obrotach, statek kołysał się mocniej niż przed chwilą - a może to jej znów kręciło się w głowie? Kiedy Nate sięgnął po mikrofon, żeby zrobić pasażerom krótki wykład o tych fantastycznych ssakach, Megan wyjęła z torby lornetkę i aparat fotograficzny.

- Zobacz! - zapiszczał Kevin, wskazując przed siebie. - Zobacz, mamusiu!

Ze wzburzonej wody, powoli i niezwykle dostojnie, zaczęło się wynurzać ogromne cielsko. Z każdą sekundą stawało się coraz większe. Z niższego pokładu dobiegły ją okrzyki zachwytu, oklaski, radosny śmiech. Wzruszenie ścisnęło ją za gardło. Nie była w stanie wydobyć głosu.

Miała wrażenie, że za sprawą magii przeniosła się do zaczarowanej krainy, bo przecież w świecie, który znała, nie zdarzały się takie cuda - spomiędzy białych spienionych grzyw nie wyłaniały się wielkie, wspaniałe kolosy. Wtem rozległ się przeraźliwy trzask, jakby nieopodal huknął piorun.

W powietrze wzbija się srebrzysta fontanna.

Megan stała jak zahipnotyzowana, bez ruchu, z rozdziawionymi ustami, nie mogąc oderwać oczu od widoku za oknem. Łzy zawisły jej na rzęsach. Nawet nie pamiętała o wyjętym z torby aparacie fotograficznym.

- Zaraz wynurzy się pani małżonka.

Głos Nate'a wyrwał ją z odrętwienia. Uniosła pośpiesznie aparat i zaczęła pstrykać zdjęcia. Woda rozstała się i po chwili jej oczom ukazało się kolejne lśniąca cielsko.

Ku ucieście dzieci w górę wystrzeliły dwie fontanny. Megan postawiła Jenny na krześle, żeby dziewczynka lepiej widziała przepływające olbrzymy.

Przez kilka minut „Żeglarz” towarzyszył parze wielorybów. W końcu kolosy machnęły ogonami i zanurzyły się w głębinach. Ludzie na niższym pokładzie odskończyli z piskiem od relingu, przemoczeni do suchej nitki.

Jeszcze dwukrotnie, dzięki urządzeniom echolokacyjnym, Nathaniel odnalazł stadko wielorybów, dostarczając pasażerom niezapomnianych przeżyć. W drodze powrotnej do domu Megan wciąż stała z nosem przyklejonym do szyby; miała nadzieję ujrzeć po raz ostatni srebrzystą fontannę i leniwie wyłaniające się z wody gładkie szare ciała.

- Są piękne, prawda?

Odwrociła głowę.

- Tak. Piękne i niesamowite. Zupełnie się tego nie spodziewałam. Na filmach i zdjęciach wyglądają jakoś inaczej.

- Zawsze powtarzam, że wszystko trzeba zobaczyć na własne oczy. - Przyjrzał się jej uważnie. - Jak się czujesz? Mdłości nie wróciły?

Roześmiawszy się, popatrzyła na swoje nadgarstki.

- Kolejny cud. Nigdy bym nie uwierzyła, że coś takiego może pomóc.

- „Więcej jest rzeczy na ziemi i w niebie, niż się ich śniło waszym filozofom”.

O proszę, pomyślała, pirat cytujący „Hamleta”.

- To prawda - przyznała cicho, po czym skinęła głową w stronę brzegu. - Widać Wieże.

- Tak, niedługo będziemy w domu - rzekł Nate, kierując „Żeglarza” na spokojne wody zatoki.

- Od dawna pływasz?

- Prawie od urodzenia. Jako osiemnastolatek uciekłem z domu i zaciągnąłem się na statek handlowy.

- Marzyły ci się przygody?

- Chciałem być wolny - odparł.

Zadumała się. On w wieku osiemnastu lat pragnął wolności, ona zaś ze swojej wolności zrezygnowała, kiedy zaszła w ciążę. Teraz, z perspektywy ponad dziesięciu lat, nie żałowała tego kroku. Miała wspaniałego syna. Drugi raz postąpiłaby dokładnie tak samo.

Parę minut później statek przybił do brzegu.

- Mamusiu, możemy iść na dół? - Kevin pociągnął Megan za rękę. - Wszystkim strasznie chce się pić.

- Oczywiście. Zaraz was zaprowadzę.

- Nie trzeba - sprzeciwił się Aleks. - Mam pieniądze; sami sobie poradzimy. - Najwyraźniej uważał, że tak duzi chłopcy nie potrzebują opiekunki. - Chcemy popatrzeć, jak ludzie schodzą na ląd.

- No dobrze, ale przypadkiem wy nie schodźcie.

- Zanim skończyła mówić, dzieci były już za drzwiami.

- Boże, jak one szybko dorosła.

- Nie martw się. Kevin jeszcze długo będzie szukał u ciebie wsparcia.

- Mam nadzieję. - Chciała dodać: „Mam tylko jęgo”, ale w porę ugryzła się w język. - To był cudowny dzień. I dla niego, i dla mnie. Dzięki, Nate.

- Naprawdę nie ma za co.

Silnik był wyłączony, liny zahaczone o pierścienie cumownicze, trap spuszczone. Pasażerowie opuszczali pokład.

- Wybierzesz się jeszcze raz? - Było to powiedziane bardziej tonem stwierdzenia niż pytania.

- Na pewno. Kevin nie da mi żyć... Swoją drogą, powinnam do nich zejść.

- Bez przesady, nie zgubią się. - Podszedł bliżej, zagradzając jej drogę. - Wiesz, Meg, w obecności dzieci stajesz się inną osobą. Mija ci zdenerwowanie...

- Zdenerwowanie? Przecież ja się nie denerwuję.

- Nie? To dobrze. - Wzruszył ramionami. - Z przyjemnością patrzyłem, jak na widok waleni rozpromienia ci się twarz. To znaczy, zawsze patrzę na ciebie z przyjemnością, ale kiedy śmiejesz się radośnie, a wiatr lekko targa ci włosy... jesteś urzekająco piękna.

Podszedł jeszcze bliżej. Zaczęła się cofać, jeden krok, drugi, aż poczuła za plecami koło sterownicze.

- Oczywiście - ciągnął - teraz też mi się podobasz. I to bardzo. Masz najładniejsze niebieskie oczy, jakie kiedykolwiek widziałem. I taką gładką, brzoskwińową cerę...

Delikatnie pogładził ją palcem po policzku. Poczowała dreszczyk podniecenia.

- Nie działają na mnie komplementy - oznajmiła, starając się nadać głosowi stanowcze brzmienia.

- Stwierdzam fakt. - Ich usta dzieliło dosłownie kilka centymetrów. - Jeśli nie chcesz, żebym cię pocałował, zaprotestuj.

Zaprotestowałaaby na pewno, gdyby tylko zdołała wydobyć słowo. I nagle jego usta przywarły do jej warg. Usiłowała później wmówić w siebie, że nie mogła nic zrobić. Że otworzyła usta do krzyku, sprzeciwu, a nie do pocałunku. Ale wiedziała, że to nieprawda.

Zamiast się oburzyć, zamiast odepchnąć Nate'a czy podjąć próbę uwolnienia się, zaczęła odwzajemniać jego pocałunki.

Jej reakcja zaskoczyła go. Spodziewał się sprzeciwu. Może niepewności i wahania. Patrząc jej w oczy, domyślał się, że drzemie w niej wulkan namiętności, ale żar, z jakim odpowiedziała na jego dotyk, szczerze go zdumiał. Czuł jej smak, słyszał bicie jej serca oraz jęk rozkoszy, gdy pocałował ją w szyję. Przywarła do niego całym ciałem.

Szum wody, skrzek mew, zapach oceanu... Wyobraził sobie, że są na opuszczonej plaży, tylko on i ona, szczęśliwi, przytuleni.

Megan poczuła, że kręci się jej w głowie, że jeszcze chwila, a straci równowagę. Nogi miała jak z waty. Wiedziała, że tym razem żadne magiczne opaski nie pomogą. Musi wziąć się w garść, wykazać maksimum silnej woli, a przede wszystkim... uruchomić pamięć.

Upadłaby, gdyby jej nie złapał.

- Nie. Nie chcę.

Po raz pierwszy w życiu brakowało mu po pocałunku tchu. Dyszał tak, jakby stoczył pojedynek bokserki.

- Czego nie chcesz? - spytał.

- Tego. Tego, co robimy. - Zaczęła się wrywać. -

O czym ja myślałam!

- O niczym. I tak powinno być. Całując się, nie należy myśleć.

- Nie chcę, żebyś mnie całował.

Wsunął ręce do kieszeni, żeby przypadkiem znów nie zaczęły błądzić po jej ciele.

- Złotko, sprawiałaś wrażenie zainteresowanej.

Nie było sensu zaprzeczać. Postanowiła wyjaśnić swoje zachowanie w sposób chłodny i rzeczowy.

- Jesteś atrakcyjnym mężczyzną, Nate. Moja reakcja była całkiem normalna.

Wyszczrzył w uśmiechu zęby.

- Jeśli normalnie tak całujesz, moja radość nie ma granic.

- Nie wiem dlaczego. Bo nie pozwolę, żeby ta sytuacja jeszcze kiedykolwiek się powtórzyła.

- Znasz powiedzenie o drodze do piekieł wybrukowanej intencjami? - Widząc, jaka jest spięta, domyślił się, że po przygodzie z Dumontem zostało jej mnóstwo niezabliźnionych ran. - Odpręż się, Meg. Nie zamierzam cię do niczego zmuszać. Zostawmy sprawy swojemu biegowi i zobaczymy, co z tego wyniknie.

Zdenerwował ją jego spokój i rozsądek.

- Nic nie wyniknie. Nic a nic.

Lubił się z nią drażnić. I zamierzał często to robić.

- Śmiem twierdzić, że się mylisz. Kiedy kobieta i mężczyzna wytwarzają taki żar, trudno im będzie trzymać się od siebie na dystans.

Podjeżdżała, że Nate ma rację. Tym bardziej że w głębi duszy pragnęła ponownie rzucić mu się w ramiona i...

- Nie interesuje mnie żaden ogień czy żar. A już na pewno nie interesuje romans z mężczyzną, którego prawie wcale nie znam.

- W porządku. Jeśli wolisz, najpierw możemy się poznać.

Zacisnęła ze złością zęby.

- Nie interesuje mnie romans. Koniec, kropka. Ani z tobą, ani z nikim innym. A teraz przepraszam, ale chciałabym zejść na dół do dzieci.

Grzecznie usunął się jej z drogi.

- Meg... - powiedział, kiedy doszła do oszklonych drzwi prowadzących na pokład. - Kiedy będziemy się kochać, on zniknie z twoich myśli. Nawet nie będziesz pamiętała jego imienia.

Zmierzyła go lodowatym spojrzeniem. Zamierzała wyjść dostojnym krokiem; zamiast tego głośno trzasnęła drzwiami.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Ta baba mnie wykończy! - Z najgłębszego kąta spiżarni Holender wydobył ukrytą butelkę rumu. - Zapamiętaj moje słowa, chłopcze. Ona mnie wykończy.

Nathaniel, który niedawno skończył posiłek w prywatnej jadalni Calhounów, siedział wygodnie rozparty na krześle. Teraz, gdy minęła pora kolacji, kuchnia hotelowa lśniła czystością. Coco zaś była zajęta rodziną. W przeciwnym razie, o czym Nate doskonale wiedział, Holender nie ryzykowałby napoczcenia butelki rumu.

- Chyba nie zamierzasz zdezerterować, co, stary?

Holender prychnął pod nosem. Zdezerterować? Z powodu gderliwej, zadzierającej nosa i wiecznie niezadowolonej baby? Co to, to nie!

- Bynajmniej - odparł i znużony zerknął przez ramię, po czym nalał do dwóch szklanek po porcji złocistego płynu. - Ale ostrzegam cię, chłopcze, prędzej czy później spotka ą zasłużona kara. Sam się o to postaram.

Pociągawszy łyk, Nathaniel skrzywił się z niesmakiem.

- Gdzie jest ta butelka, którą ci kupiłem?

- Zużyłem do ciasta. A co, do tej masz zastrzeżenia?

- Drobne. Ale mniejsza z tym. Powiedz, czym ci się biedna Coco" naraziła?

- Ciagle mam z nią problemy. To jej się nie podoba, tamto. - Niels Van Horne spojrział złowrogo na telefon, który w tym momencie zaterkotał. Psiakrew! Pewnie któryś z gości dzwoni z prośbą o przyniesienie posiłku na górę. Na statkach nie było takich zwyczajów; schodziło się do jadalni i już. - Co tam? - burknął do słuchawki.

Nathaniel uśmiechnął się pod nosem. No cóż, jego przyjaciel nie odznacza się taktem ani uprzejmością. Gdyby Coco słyszała, jak Holender warczy na gości, dostałaby apopleksji. Albo zdzieliłaby go po głowie patelnią.

- Sądzi pan, że nie mamy tu nic innego do roboty? Dobrze! Kiedy? Kiedy przygotuję. Na pewno nie wcześniej. - Cisnął słuchawkę na widełki i chwycił talerz. - Zamawiać po nocy szampana i ciasto! Nowożeńcy, psiakrew! Cały tydzień nie ruszają się z pokoju.

- Nie masz za grosz romantyzmu, stary.

- Romantyzm zostawiam tobie, kochasiu. - Zaciśniętą potężną łapsko na cienkim nożyku i delikatnie ukroił kawałek tortu czekoladowego. - Widziałam, jak wodzisz wzrokiem za tą rudą.

- Blondynką - sprostował Nathaniel. - Megan ma złociste włosy o lekko miedzianym odcieniu. Ale bardziej złociste niż miedziane. - Pociągnął kolejny łyk rumu. - Szałowa z niej babka, nie?

- W takich gustujesz. - Niczym artysta dokonujący ostatnich poprawek, Holender przyozdobił każdy kawałek tortu łyżką lekkiej, puszystej śmietany, całość zaś posypał świeżymi malinami. - Zdaje się, że ta twoja szalowa babka ma dzieciaka?

- Tak. - Zerkając na przygotowany dla nowożeńców deser, Nate doszedł do wniosku, że chyba zmieściłby jeszcze jeden kawałek tortu. - Syna. Kevina. To ten ciemnowłosy chłopaczek, dość wysoki jak na swój wiek, o dużych oczach i bystrym spojrzeniu.

- Chyba kojarzę. - Choć starał się to ukryć, Holender uwielbiał dzieci. - Sympatyczny urwis. Razem z dwójką hałaśliwych pędraków przychodzi tu po łakocie.

Którymi, co do tego Nate nie miał wątpliwości, Holender z radością ich częstował.

- Wcześniej musiała zająć w ciążę.

Nate zachnął się. Dlaczego zawsze winna jest kobieta?

- Do zajścia w ciążę, stary, potrzeba dwóch osób - oznajmił. - Ten drań twierdził, że ją kocha, choć od początku kłamał.

- Wiem, słyszałem. - Mimo że się do tego nie przyznawał, uwielbiał wyciągać z Coco informacje.

Spojrzawszy na przystrojony malinami deser, wcisnął dzwonek wzywający kelnera. Zdjął palec z dzwonka dopiero, gdy drzwi się otworzyły.

- Przygotuj tacę do trójki - polecił. - Dwa kawałki tortu, butelka szampana, dwa kieliszki. I nie zapomnij serwetek.

Po wyjściu kelnera podniósł szklanekę rumu. Opróżniwszy ją jednym haustem, popatrzył na przyjaciela.

- Pewnie też byś zjadł?

- Nie odmówię.

- Jedzenie i kobiety. To dwie rzeczy, których nigdy

sobie nie odmawiasz. - Ukroił kawałek tortu, znacznie większy niż porcje dla nowożeńców, i postawił przed Nathanielem talerzyk.

- Malin nie dostanę?

- Jedz i nie narzekaj. Swoją drogą dlaczego tu siedzisz? Dlaczego nie flirtujesz z tą swoją chudziną?

- Bo po pierwsze, pośpiech jest niewskazany - odparł z pełnymi ustami Nate. - A po drugie, odbywają naradę rodzinną. - Napełnił kubek kawą, po czym wlał do niej resztkę rumu. - Znaleźli jakąś starą księgę. A Megan nie jest żadną chudziną. - Wiedział to z doświadczenia, bo przecież trzymał ją w ramionach. - Jest szczupła i delikatna...

- W porządku. - Holendrowi stanął przed oczami obraz Coco. - Wszystkie są kruche i delikatne, dopóki nie zaczynają wodzić nas za nos.

Gdyby ktoś obcy przysłuchiwał się zażartej dyskusji w jadalni, na pewno nie użyłby słowa krucha czy delikatna wobec żadnej z obecnych tam kobiet.

- Uważam, że powinniśmy je spalić. - CC. skrzyżowała ręce na piersi i gniewnym wzrokiem powiodła po rodzinie. - Z pamiętników Bianki wiemy, co to był za człowiek. Dlaczego mamy trzymać jego zapiski?

- Nie możemy ich ruszyć - sprzeciwiła się Amanda. - Są częścią naszej historii.

- Emanują złą energią - oznajmiła Lilah. Zmrużywszy oczy, popatrzyła na księgę leżącą na środku stołu. - Bardzo złą.

- Może. - Maks potrząsnął głową. - Ale jestem

przeciwny paleniu dokumentów. A ta księga to jednak dokument.

- I co z tego? - mruknęła CC.

Trent poklepał żonę po ramieniu.

- Możemy ją odłożyć z powrotem na miejsce. Albo rozważyć sugestię Sloana - powiedział.

- Moim zdaniem, trzeba przeznaczyć jedną salę na pamiątki - rzekł Sloan. - Na rzeczy będące, jak to Amanda ujęła, częścią naszej historii, historii Calhounów i historii Wież.

- Sama nie wiem. - Suzanna przygryzła wargi. Starła się zachować bezstronność. - Dziwnie bym się czuła, wystawiając pamiątki po Fergusie obok przedmiotów należących do Bianki, Colleen, Seana i Ethana.

- Może Fergus był wredny, ale to nie zmienia faktu, że jest częścią naszej przeszłości. - Holt podniósł do ust filiżankę i dopił kawę. - Popieram pomysł Sloana.

Rozpętała się burza. Wszyscy przekonywali się nawzajem. Jednym podobała się sugestia Sloana, inni stanowczo się jej sprzeciwiali, jeszcze inni wysuwali kontrpropozycje. Megan w milczeniu przysłuchiwała się dyskusji.

Od razu po kolacji chciała wrócić do siebie. Nie miała ochoty uczestniczyć w naradzie rodzinnej. Ale została przegłosowana. Kiedy im na tym zależało, Calhounowie potrafili być wyjątkowo zgodni.

Przeniosła spojrzenie na przedmiot, który był powodem tak zaciętego sporu. Na księgę, którą Amanda zostawiła w jej gabinecie, kiedy wybiegła odebrać telefon. Oczywiście wtedy, po wyjściu Amandy, nie mogła

oprzeć się pokusie i starannie przetarłszy skórzaną okładkę, zaczęła wolno kartkować strony. Dodawała rzędy cyfr, raz czy drugi uśmiechnęła się pod nosem, gdy suma się nie zgadzała. Przeczytała też kilka zapisków na marginesach i doszła do wniosku, że Fergus Calhoun był zimnym, przesadnie ambitnym człowiekiem skoncentrowanym wyłącznie na sobie.

Nie rozumiała, o co tyle krzyku. Z powodu zwykłej książki rachunkowej? Na szczęście nie musiała wypożyczać się w tej sprawie.

- A ty, Megan, co sądzisz?

Pytanie Coco wyrwało ją z zadumy.

- Słucham?

- Pytam, co sądzisz. Ani razu nie zabrałaś głosu, a przecież to ty się na tym najlepiej znasz.

- Ja?

- No tak. Jesteś księgową, a to jest księga rachunkowa. Megan zawahała się.

- To naprawdę mnie nie dotyczy - zaczęła, ale rozległ się chóralny protest. - No dobrze... - Rozejrzała się po jadalni. Wszystkie pary oczu były w nią wpatrzone.

- Myślę, że to ciekawa pamiątka. W końcu nieczęsto ma się okazję prześledzić poczynania finansowe naszych przodków. Zyski, straty, wpływy, wydatki: na jedzenie, na utrzymanie domu, na pensje dla służby...

- Ależ tak! - Coco klasnęła w dłonie. - Wszystko się zgadza! Wiesz, kochanie, myślałam wczoraj o tobie. Wróżyłam z kart i ciągle mi wychodziło, że wkrótce dokonasz odkrycia. I że to będzie miało związek z cyframi.

- Ciociu Coco - wtrąciła CC. - Megan zajmuje się finansami Wież. Nic więc dziwnego, że...

- Wiem, wiem. - Uśmiechając się pogodnie, Cordelia Calhoun przygładziła włosy. - I dlatego na początku zignorowałam wróżbę. Ale potem coś mnie tknęło. Zrozumiałam, co karty chcą mi powiedzieć. Że tylko Megan podoła zadaniu. Że dzięki niej poznamy odpowiedź, która nas wszystkich uszczęśliwi. Tak się cieszę, kochanie, że się tego podjęłaś.

- Czego? - zdumiała się Megan.

Popatrzyła na brata, szukając u niego pomocy. Ten mrugnął do niej porozumiewawczo.

- Próby odczytania księgi Fergus'a. Sloan mówił nam, jaka jesteś zdolna. Mogłabyś wszystko nanieść na komputer...

- Mogłabym, ale...

Urwała. Ze stojącego na kredensie głośnika dobiegł płacz dziecka.

- Które to? - spytał Maks. - Bianca?

- Ethan - odparły razem CC. i Lilah.

Naradę zakończono.

Późnym wieczorem Megan wciąż rozmyślała o tym, co się stało. Chociaż większość czasu siedziała w milczeniu, to właśnie jej powierzono księgę Fergus'a. Dlaczego? Przecież studiowaniem zapisków praprzodka powinien zajmować się ktoś z rodziny.

Wzdychając ciężko, otworzyła drzwi balkonowe i wyszła na taras. Z Calhounami nie łączyły jej żadne więzy krwi. Gdyby próbowała im to wyjaśnić, pogładzi-

liby ją po głowie, pocałowali w policzek i powiedzieli, żeby przestała się wygłupiać.

Co ma więc robić?

Wzięła głęboki oddech. W ogrodzie unosił się zapach frezji i róż. Morze szumiało, na niebie migotały gwiazdy, a księżyc, który wyglądał jak wielki, świetlisty drogowskaz, srebrnymi promieniami rozpraszał mrok.

Kevin spał u siebie w pokoju. Tu, w Wieżach, był szczęśliwy, radosny, otoczony ludźmi, którzy go kochali.

Dobrze, uporządkuje zapiski Fergususa. Może w ten sposób zdoła się odwdziżyć Calhounom za ich dobroć i serce. Dali jej nie tylko dom i pracę. Dali coś znacznie ważniejszego. Poczucie bezpieczeństwa.

Zachwycona ogrodem pogrążonym w świetle księżycy, zeszła na dół po kamiennych schodkach. Spoglądając na prężące się ku gwiazdom peonie, na jedwabiste płatki róż, na zwisające fioletowe grona wistarii, miała wrażenie, że przebywa w zaczarowanym świecie.

- Ledwom rzucił na nią okiem, jużem był pod jej urokiem.

Podskoczyła, przyciskając rękę do serca. Z cienia wyłoniła się znajoma sylwetka.

- Przestraszyłem cię? - Nathaniel podszedł bliżej.
- Poezja Wordswortha na ogół odnosi inny skutek.

- Nie spodziewałam się ciebie - rzekła. Oczywiście gdyby wiedziała, że spotka Nate'a, nie schodziłaby do ogrodu. - Myślałam, że dawno wróciłeś do domu.

- Wstąpiłem do Holendra na szklaneczkę rumu. Mój stary przyjaciel uwielbia narzekać na Coco i lubi, jak

ktoś go słucha. - Zaciągnął się cygarem. Przez moment twarz miał przysłoniętą dymem. - Co za piękny wieczór...

- Owszem, piękny, ale...

- Nie uciekaj. Przecież wysłaś na spacer. - Zerwał z krzaka jasnorożową peonię. - Jest prawie północ, a to najlepsza pora na przechadzkę.

Przyjęła peonię z uśmiechem, lecz i z silnym postanowieniem, że nie ulegnie wdziękom Nate'a.

- Podziwiałam kwiaty. Mnie jakoś nigdy nie chcą ładnie rosnąć.

- Rośliny potrzebują nie tylko wody, ale również serca.

Włosy miała rozpuszczone, lekko falujące. Ubrana była w to samo, co podczas kolacji: spodnie i granatowy żakiet. Szkoda, pomyślał Nate. O ileż bardziej wolałby ją widzieć w cieniutkim peniuarze. Podejrzewał jednak, że Megan O'Reilly nie należy do kobiet, które na nocne spacery po ogrodzie wybierają się w zwiewnych kreacjach.

- Czyli nie tylko pływasz po morzach i cytujesz klasyków, ale również znasz się na ogrodnictwie? - spytała.

- Lubię kwiaty. - Schylił głowę, tak by poczuć zapach peonii. A przy okazji zapach perfum i skóry Megan.

Przeszył ją dreszcz. Byli sami, kompletnie odcięci od świata. Po prostu dwoje ludzi pośród kwiatów i drzew, kobieta i mężczyzna oświetleni tajemniczym blaskiem księżycy. Towarzyszyła im muzyka morza - dochodzący z oddali miarowy szum fal.

Megan nie wytrzymała; opuściła wzrok.

- Dziwię się, że ktoś, kto tyle podróżuje co ty, ma czas na czytanie poezji i pielęgnację roślin.

- Na rzeczy, które się w życiu liczą, zawsze można znaleźć czas.

On też był pod urokiem nocy. Czuł w niej jakąś osobliwą magię. Przez chwilę milczał. Był człowiekiem, który wierzy w przeznaczenie, który posiada szósty zmysł i kieruje się instynktem. W przeciwnym razie dla czego czekałby w ogrodzie na Megan?

Ujął ją za rękę.

- Przejdźmy się kawałek. Noc jest zbyt piękna, aby ją przespać.

- Powinam wrócić.

Powiew wiatru poruszył wistarią. Deszcz fioletowych płatków posypał się na ziemię.

- Wrócisz. Niedługo.

Wędrowali razem po zaczarowanym ogrodzie, on wpatrzony w nią, ona z kwiatem w dłoni i płatkami wistarii we włosach.

- Muszę zajrzeć do Kevina.

- Źle sypia?

- Nie, ale...

- Dręczą go koszmary?

- Nie.

- No widzisz? - Trzymając Megan za rękę, wolnym krokiem ruszył ścieżką między kwitnącymi krzewami.

- Czy zawsze, kiedy mężczyzna z tobą flirtuje, starasz się uciec?

- Nie uciekam. I nie interesują mnie flirty.

- Nie? Kiedy parę minut temu stałaś zamyślona na tarasie, wyglądałaś tak, jakbyś marzyła o księciu z bajki.

Zatrzymała się w pół kroku.

- Obserwowałeś mnie?

- Mmm. - Zgasił cygaro w piasku wypełniającym wysoką donicę. - I żałowałem, że nie mam lutni.

Ciekawość zwyciężyła.

- Lutni?

- Piękna kobieta na balkonie oświetlona promieniami księżycy... Aż chciałoby się jej zaśpiewać serenadę.

Megan roześmiała się.

- Nie powiesz mi chyba, że potrafisz grać na lutni?

- Nie. Ale gdybym wiedział, że nastanie taki wieczór jak dziś, ćwiczyłbym od najmłodszych lat. - Skierowali się w dół ścieżki, w stronę falochronu. - Jako dziecko często tędy przepływałem. Spoglądając na Wieże, wyobrażałem sobie, że strzeże ich smok. Oraz że któregoś dnia wdrapię się po skałach i go zabiję.

- Kevin wciąż nazywa to miejsce zamkiem - powiedziała cicho Megan.

- Potem jako nastolatek, kiedy zacząłem zwracać uwagę na kobiety, między innymi na śliczne panny Calhoun, myślałem sobie: jeśli zabiję smoka, to na pewno mnie wynagrodzą. Tak działa umysł szesnastoletniego młodzieńca, w którego ciele buzują hormony.

- Na czyją nagrodę najbardziej liczyłeś? - spytała ze śmiechem.

- Och, miałem nadzieję, że wszystkie cztery okażą mi wdzięczność. - Usiadł na niskim kamiennym murku, ruchem dłoni zachęcając Megan, by usiadła obok. - To

wspaniałe dziewczyny. Żadnej bym nie odtrącił. No, poza Suzanną. Ją skreśliłem z listy. Podkochał się w niej Holt, a ponieważ był moim przyjacielem... sama rozumiesz. Czyli po zabiciu smoka liczyłem na wdzięczność pozostałych trzech.

- Ale do spotkania ze smokiem nie doszło.

Jego twarz zachmurzyła się.

- Musiałem stawić czoło innemu smokowi. Walka zakończyła się... remisem. Wtedy zostałem marynarzem. - Otrząsnął się, jakby chciał pozbyć się nieprzyjemnych wspomnień. - Ale zanim wypłynąłem w morze, przeżyłem krótki, lecz niezapomniany romansik z Lilah.

Megan wytrzeszczyła oczy.

- Ty i Lilah...?

- Tak. Ganiałem za nią jak pies z wywalonym jęzorem. A ona... chyba ćwiczyła na mnie sztukę uwodzenia. - Westchnął głośno. - Muszę przyznać, że miała jakiś wrodzony dar.

To niesamowite, pomyślała Megan. Stanowili parę, a po rozstaniu pozostali przyjaciółmi. Nie ma między nimi wrogości, napięcia...

- Tak łatwo zgadnąć, o czym myślisz - rzekł ze śmiechem Nate, obejmując ją ramieniem. - To nie była wielka szalona miłość w stylu Romea i Julii. Kilka razy się całowaliśmy, ale do niczego więcej nie doszło, choć próbowałem. Oj, jak próbowałem! Potem Lilah zakochała się w Maksie. Nie złamała mi serca. Co najwyżej leciutko je zraniła.

- Maksowi nie przeszkadza wasza dawna zażyłość?

- A dlaczego miałyby przeszkadzać? To jego Lilah wybrała. Zresztą uczucie, które ich łączy, jest tysiąc razy silniejsze i bardziej prawdziwe od tego, które mnie z nią łączyło.

Istotnie. Wszystkie cztery siostry szczęśliwie powychodziły za mąż. Megan zadumała się.

- Śmieszne, jak się życie układa...
- Mówisz o mnie czy o sobie?

Nagle, jakby dopiero teraz poczuła na ramieniu dłoń Nate'a, zeszywniała.

- Skończmy ten temat. Proszę...
- Oho, wciąż boli? - Przytulił ją do siebie. - Z tego, co słyszałem, Dumont to kawał drania. Nie warto przez niego cierpieć. Poczekaj, nie wrywaj się. - Cofnął rękę. - Masz rację, skończmy ten temat. Noc jest zbyt piękna, aby rozdrapywać stare rany. Powiedz mi lepiej, jak zdołali cię namówić, żebyś zajęła się księgą Fergusa?

- Skąd wiesz, że namówili?
- Od Holta i Suzanny. - Zauważył, że Megan nadal siedzi spięta, ale przynajmniej nie odeszła. Nie pode-rwała się, mówiąc, że musi wracać do Kevina. - Widziałem się z nimi, zanim opuścili Wieże.

Odprężyła się. Prawdę rzekłszy, miała ochotę porozmawiać o Calhounach z kimś, kto ich dobrze zna, lecz nie należy do rodziny.

- Sama nie wiem, jak to się stało - przyznała. - Prawie wcale nie zabierałam głosu...

- I to był twój błąd.

Zachnęła się.

- Musiałabym krzyczeć, żeby mnie słyszeli. Nie ro-

zumiem, dlaczego nazywają to „rodziną naradą”, skoro cały czas się kłóca. - Zmarszczyła czoło. - Kiedy przestali się spierać, nagle okazało się, że z bezstronnego widza przeistoczyłam się w postronnego uczestnika. A kiedy usiłowałam wrócić do poprzedniej roli, zjednoczyli się, tworząc mur nie do przebiccia.

- Też przez to przeszedłem. Do dziś nie jestem pewien, jak zostałem współnikiem Holta. Kiedyś w rozmowie rzuciłem taki luźny pomysł. Nim się obejrzałem, odbyła się dyskusja, a chwilę potem podsunęto mi papiery do podpisu.

Ciekawe, pomyślała, spoglądając na jego profil.

- Nie sprawiasz wrażenia człowieka uległego.
- To samo mógłbym powiedzieć o tobie.

Uznała, że nie ma sensu się kłócić.

- Słusznie - rzekła. - Swoją drogą, intrygują mnie zapiski Fergususa. Z przyjemnością je przestudiuję.

- Obyś tylko tym pożółkłym stronom nie poświęciła całego wolnego czasu. - Wpatrywał się w jej włosy, które powiewały na wietrze. Miał rację. Nie są rude. Są złociste o lekko miedzianym odcieniu. - Bo chciałbym cię widywać.

Odsunęła się.

- Już ci mówiłam, nie jestem zainteresowana.

- Jesteś. I to cię niepokoi. - Obrócił jej twarz ku sobie. - Dostałaś od życia potężnego kukuksa. Nic dziwnego, że wszystkich facetów wrzuciłaś do tego samego worka co tego drania, który cię skrzywdził. Ale jestem cierpliwy, nie zamierzam cię ponaglać ani...

Wstąpiła w nią furia.

- Myślisz, że mnie znasz? Mylisz się! Nie zależy mi na twojej cierpliwości czy zrozumieniu...

- W porządku. - I przywarł ustami do jej warg.

Ogień, który tlił się w niej od czasu ich pierwszego pocałunku, wybuchł z pełną siłą. Czuła, jak trawia ją żądza. Była wściekła na siebie, a zarazem szczęśliwa.

Pragnął jej, lecz wiedział, że dziś tych pragnień nie zaspokoi. Przez wzgląd na Megan przerwał pocałunek. Nie chciał jej wystraszyć. Zależało mu na niej.

- Nadal twierdzisz, że nie jesteś zainteresowana?
- spytał ochryple, z trudem nad sobą panując. - I nie chcesz, żebym cię dotykał?

- Chcę. - Chciała, aby wziął ją w ramiona, rzucił na ziemię, zdarł z niej ubranie i kochał się z nią do utraty tchu. Chciała, aby podjął za nią decyzję, postawił ją przed faktem dokonanym. Aby wziął na siebie odpowiedzialność. Zrobiło się jej wstyd; zachowuje się jak tchórz. - Ale nie wystarczy chcieć. - Poderwała się na nogi. - Już raz tego doświadczyłam. I przeżyłam gorzkie rozczarowanie.

Stała w srebrzystej poświacie księżyca, blada, drżąca, z włosami powiewającymi na wietrze, z płomiennym wzrokiem i lękiem wyzierającym z oczu.

- Nie jestem Dumontem - odezwał się Nate - a ty nie jesteś siedemnastoletnią dziewczyną.

- Kim jestem, dobrze wiem. Ale nie wiem, kim ty jesteś.

- Nie kłam, Megan. Od pierwszej chwili coś między nami zaiskrzyło.

Cofnęła się, bo wiedziała, że Nate ma rację. I dlatego, że była piekielnie przerażona.

- Mówisz o chemii.

- Mówię o przeznaczeniu - oznajmił cicho, również wstając z murku. Nie mógł sobie wybaczyć, że tak bardzo ją wystraszył. - Potrzebujesz czasu, żeby wszystko spokojnie przemyśleć. Ja też. Odprowadzę cię do drzwi.

Powstrzymała go.

- Sama trafię. - Ruszyła biegiem w stronę tarasu.

Nathaniel ponownie zaklął i usiadłszy, wydobył z kieszeni cygaro. Nie spieszyło mu się do domu. I tak wiedział, że nie zaśnie.

Cały następny dzień Megan spędziła w gabinecie. Po południu rozległo się pukanie do drzwi.

- Proszę!

- Przepraszam, że ci przeszkadzam...

Coco wsunęła głowę do pokoju. Na widok jej kruczoczarnej fryzury Megan zdumiała się niepomierne. No cóż, najwyraźniej Coco jest kobietą, która miewała nie tylko zmienny humor, ale również zmienny kolor włosów.

- Nie pojawiłaś się na lunchu. - Z tacą pełną jedzenia przestąpiła próg.

- Oj, niepotrzebnie się fatygowałaś. - Spojrzawszy na zegarek, Megan zdumiała się, że minęła już trzecia.

- Masz dość własnej pracy.

- Bez przesady. - Coco postawiła tacę na stole. - Zresztą my tu dbamy o naszych pracowników, nie pozwalamy im się głodzić. - Zerknęła na komputer, na

otwarte książki, kalkulator, równo ułożone stosy dokumentów. - Mój Boże! Same cyfry. Jakoś nigdy nie potrafiłam sobie z nimi radzić.

- Naprawdę? - Megan roześmiała się wesoło. - One wcale nie są takie straszne. Dwa plus dwa zawsze równa się cztery.

- Skoro tak twierdzisz, kochanie... - W głosie Coco pobrzmiewała nuta niepewności.

- Właśnie uporządkowałam pierwszy kwartał „Bryzy”. Było to fascynujące doświadczenie.

- Cieszę się. - Cordelia Calhoun odwróciła wzrok, żeby od widocznych wkoło cyfr nie rozboleła jej głowa.

- Ale pamiętaj, masz się nie przepracowywać. A teraz zrób sobie przerwę, napij się herbaty, zjedz kanapkę.

- Dzięki, Coco. Nie chciałabym cię odrywać od twoich obowiązków.

- E tam. - Coco machnęła lekceważąco ręką. - Nie przejmuj się mną. Prawdę mówiąc, muszę choć parę minut odpocząć od tego... tego człowieka.

- Holendra? - Megan wbiła zęby w kanapkę. - Spotkałam go dziś rano. Skreśliłam w złą stronę i wylądowałam w części hotelowej.

Coco zaczęła się bawić grubym złotym łańcuchem u szyi.

- Mam nadzieję, że nie powiedział nic, co by cię mogło urazić. Jest dość nieokrzesany.

- Nie. - Nalawszy dwie filiżanki herbaty, Megan podała jedną swemu gościowi. - Przyjrzał mi się krytycznym wzrokiem i oznajmił, że należałoby mnie podtuczyć. Bałam się, że każe mi zjeść omlet, który przyrządzał, ale

w tym momencie któryś z kelnerów upuścił talerz. Skorzystałam z okazji i wymknęłam się, kiedy besztął biedaka.

- Język ma niewyparzony. - Coco usiadła i wygładziła fałdę w spodniach. - Po prostu straszny. W dodatku ciągle kwestionuje moje przepisy kucharskie. Zawsze uważałam się za osobę cierpliwą i, wybacz moją nieskromność, inteligentną. Jakżebym inaczej poradziła sobie z wychowaniem czterech rozbrykanych dziewcząt? - Wzdychając, rozłożyła ręce w geście totalnej bezradności. - Ale Van Horne doprowadza mnie do białej gorączki.

- Możesz przecież go zwolnić... - podsunęła nieśmiało Megan.

- O to chodzi, że nie mogę. Nathaniel traktuje go niemal jak ojca, a dzieciaki z jakiegoś powodu, który całkiem mi umyka, świata poza nim nie widzą. Muszę jednak przyznać, że facet potrafi gotować. - Uśmiechnęła się. - No cóż, nie pozostaje mi nic innego, jak zaciskać zęby i, dla poprawienia humoru, sprawiać sobie drobne przyjemności. Na przykład zmieniać kolor włosów.

Megan nie skomentowała ostatniego zdania. Chyba go nie usłyszała, myślała bowiem o tym, co Coco powiedziała o relacjach łączących Nate'a z Holendrem.

- Pewnie długo się znają, prawda? - spytała. - Nathaniel z Van Horne 'em?

- Ponad piętnaście lat. Służyli razem w marynarce. Van Horne wziął Nate'a pod swoje skrzydła. Co liczy mu się na plus, bo po koszmarnych przeżyciach z dzieciństwa chłopak potrzebował kogoś bliskiego.

Megan nie była z natury wścibska, ale zaintrygowały ją słowa Coco. Na szczęście nie musiała o nic pytać; Coco sama mówiła dalej:

- Matka zmarła, kiedy miał kilka lat. A ojciec... - Zacisnęła gniewnie usta. - Z ojca to prawdziwe bydlę. Słabo znałam Johna Fury, ale w miasteczku stale o nim plotkowano. No i widywałam Nate'a, kiedy przynosił nam z Holtem ryby. Bez przerwy był w siniakach.

- W siniakach? Ojciec go bił?

- Niestety. - Łzy podeszły Coco do oczu.

- Nie można było temu zaradzić?

- Ilekroć ktoś pytał, John Fury wyjaśniał, że syn upadł albo wdał się w bójkę z kolegą. Nathaniel zawsze milczał. W tamtych czasach przemoc w rodzinie była sprawą wstydliwą. Nie mówiło się o niej. Obawiam się, że to zjawisko wciąż istnieje i wciąż za mało się o nim mówi. - Nie chcąc sobie rozmazać tuszu, delikatnie przetarła oczy chusteczką. - Chłopak zaciągnął się do marynarki, kiedy tylko osiągnął wymagany wiek. Ojciec zmarł kilka lat temu. Nate przysłał pieniądze, ale nie przyjechał na pogrzeb. Trudno się dziwić. - Na moment Coco zamilkła, po czym westchnęła. - Przepraszam, że ci opowiadam takie smutne historie. Na szczęście ta się dobrze kończy. Nathaniel wyrósł na porządnego człowieka. - Z miną niewiniątka popatrzyła na Megan. - Jedyne, czego mu potrzeba, to kochającej kobiety. Jest bardzo przystojny...

- Owszem - przyznała Meg. Wciąż myślała o tym, że ten pewny siebie mężczyzna był kiedyś biednym, dręczonym dzieckiem.

- Można na nim polegać - kontynuowała Coco. - I romantyczny. Nie sądzisz, że otacza go aura tajemniczości? Można tylko pozazdrościć kobiecie, która wpadnie mu w oko. Prawda?

Po chwili Megan zrozumiała, kogo Coco ma na myśli.

- Nie wiem. Poznałam Nate'a zaledwie kilka dni temu. Poza tym nie interesują mnie mężczyźni.

- Nonsens! - Coco, wierząc, że potrafi każdego wyswatać, poklepała Megan po kolanie. - Jesteś śliczna, młoda, inteligentna. Właściwy mężczyzna nie tylko nie pozbawi cię tych cech, ale wręcz wzbogaci twoje życie. Coś mi mówi, że wkrótce sama się o tym przekonasz. No dobrze... - Pochyliwszy się, pocałowała Megan w policzek. - Muszę wracać do kuchni, zanim ten paskudny nieokrzesaniec zepsuje moje babeczki łośsiowe.

Skierowała się do drzwi. Po czym nagle stanęła, jakby sobie coś przypomniała.

- Boże, ale ze mnie gapa! Miałam ci przekazać wiadomość od Kevina.

- Od Kevina? - Megan zerknęła za okno. - Obiecał, że będzie bawić się w ogrodzie z Aleksem i Jenny.

- No i bawił się, ale... - Coco uśmiechnęła się nieopradnie. - Nathaniel miał dziś wolny dzień i wpadł do nas na lunch. Uwielbia jeść, czego po nim absolutnie nie widać. Może dlatego, że dużo się rusza. Jest wspaniale umięśniony, prawda?

- Coco, co z Kevinem?

- Ojej, znów zboczyłam z tematu. Jest z Nate'em. Nate zabrał z sobą całą trójkę.

Megan poderwała się z fotela.

- Zabrał? Dokąd? Wypłynął z nimi w morze?

Mimo bezchmurnego nieba oczami wyobraźni widziała potężną burzę i rozhukane, spiętrzone fale.

- Nie, wziął do siebie. Do domu. Dobudowuje sobie taras i kiedy dzieciaki o tym usłyszały, uparły się, że mu pomogą... Kochanie, mam prośbę. Czy mogłabyś po nie pojechać? - Przy okazji zobaczysz królestwo Nate'a, dodała Coco w myślach. - Suzanna zjawi się po odbiór swojej dwójki o piątej, więc nie musisz się spieszyć.

- Ale...

- Wiesz, gdzie Suzanna z Holtem mieszkają, prawda? Dom Nathaniela znajduje się przy tej samej drodze, niecały kilometr dalej. Na pewno trafisz.

Zanim Megan zdążyła zaprotestować, Coco znikła, zamykając drzwi gabinetu. Zadowolona z siebie, energicznym krokiem ruszyła na dół do kuchni.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Kevin nie mógł zdecydować, co mu się bardziej podoba: nieduży tatuaż na ramieniu Nate'a przedstawiający zięjącego ogniem smoka, czy dziwnie pofałdowana blizna na jego klatce piersiowej. Blizna powstała od noża, więc teoretycznie to ją powinien preferować. Z drugiej strony tatuaż, w dodatku smoka, był nie do pogardzenia.

Ale to nie wszystkie blizny Nathaniela; miał jeszcze jedną, na biodrze. Wyjaśnił, że to pamiątka po murenie, z którą stoczył walkę na wodach południowego Pacyfiku.

Kevin natychmiast sobie wyobraził, jak Nate, ściskając w zębach nóż, broni się przed atakującą go bestią, która wielkością dorównuje potworowi z Loch Ness.

Niemałą atrakcją w domu Nate'a stanowiła wielka, kolorowa papuga, która siedziała na drewnianym stojaku i gadała. Kevinowi najbardziej podobało się, kiedy wołała: „Obciąć jej łeb!”

Jednakże największe wrażenie wywarł na chłopcu sam Nathaniel. Facet, który niczym żeglarz Sindbad zwiedził cały świat, a z każdej wyprawy przywoził pamiątki w postaci blizn. Facet, który opowiadał fascynujące historie o swoich podróżach, a w dodatku lubił psy oraz gadające ptaki.

Zamiast bawić się z psiakiem czy przyłączyć do Aleksa i Jenny, którzy strzelali do siebie z wymagowanej broni laserowej, Kevin wolał patrzeć, jak Nate przybija deski.

Mniej więcej po szóstej desce zaczął zadawać mu pytania.

- Po co ci taras?

- Żeby latem mógł na nim siedzieć.

- Ale jeden już masz.

- Nie szkodzi. - Nate wyprostował się. Ubrany był w przycięte nad kolanami džinsy. Ciało miał opalone, lśniące od potu. - Zbuduję drugi, a potem...

- A potem je połączysz! - zawołał chłopiec. - I będziesz miał jeden taras biegnący wokół domu!

- Zgadłeś. - Nate kucnął, wbił kilka gwoździ, po czym zmienił pozycję. - Powiedz, jak ci się podoba życie na wyspie?

Kevin obejrzał się, pewien, że Nathaniel zwraca się do kogoś innego. Pierwszy raz ktoś rozmawiał z nim jak z dorosłym człowiekiem.

- Bardzo. Mieszkamy z mamą w zamku. I codziennie mogę się bawić z Jenny i Alekssem.

- Ale chyba w Oklahomie też miałeś przyjaciół?

- No jasne. Mój najbliższy kumpel, John Curtis Silverhorn, to półkrwi Indianin. Mama powiedziała, że może mnie odwiedzać w każdej wakacji. Na razie wysłałem do niego list. O wielorybach. Fajne były.

- Kiedyś znów popłyniemy je obejrzeć.

- Serio? Kiedy?

Nathaniel odłożył młotek i przyjrzał się uważnie

swojemu małemu rozmówcy. Wiedział, choćby z obserwacji Aleksa i Jenny, że dzieci, którym nie brakuje w domu miłości, są ufne i wierzą we wszystko, co im się mówi. Taki właśnie był Kevin.

- Kiedy zechcesz - rzekł. - Bylebyś tylko spytał mamę o zgodę.

Chłopiec nagroził go uśmiechem od ucha do ucha.

- I pozwolisz mi znów posterować?

- Pewnie. - Nate przekręcił Kevinowi czapkę daszkiem do tyłu. - Chcesz wbić parę gwoździ?

Oczy chłopca zrobiły się okrągłe.

- O rany! Mogę?

- Tak. Kucnij tu przede mną. Dobrze. Teraz jedną ręką trzymasz gwoźdź, drugą uderzasz młotkiem. O tak. Świetnie.

- Hej! - Wojownik Aleks z Planety Zero poderwał się na nogi i przybiegł w podskokach. - Ja też chcę!

- I ja! I ja! - zawołała Jenny, obejmując Nate'a za szyję.

- No to skompletowałem sobie brygadę. - Wiedział, że z pomocą małych przyjaciół praca potrwa trzy razy dłużej.

Godzinę później pod dom podjechała Megan. Przez moment siedziała bez ruchu, nie mogąc otrząsnąć się ze zdumienia. Nie spodziewała się tak uroczej jednopiętrowej chaty o pomalowanych na niebiesko okiennicach i rosnących w skrzynkach kolorowych bratkach. Zaskoczył ją również widok starannie utrzymanego trawnika, równo przyciętego żywopłotu oraz tłustej szczekającej psiny.

Ale najbardziej zaskoczył ją sam Nathaniel - opalony, z gołym umięśnionym torsem. Nie mogła oderwać od niego oczu.

Dopiero po chwili zobaczyła, że osłania ręką dłoń jej syna, który wbija w deskę gwóźdź. Obok siedziała Jenny, z zachwytem wpatrując się w Nate'a. Aleks natomiast chodził po belce, udając akrobatę.

- Cześć, Megan! - zawołał, kiedy wysiadła z samochodu. - Zobacz, jak chodzę po linie!

Nagle stracił równowagę, ale ponieważ belka znajdowała się dwadzieścia centymetrów nad ziemią, nie stała mu się żadna krzywda.

- No i bęc. - Megan uśmiechnęła się.

- Całe szczęście, że spadłem na siatkę!

- Budujemy taras, mamusiu - oznajmił Kevin. Przygryzając wargi, opuścił z hukiem młotek. - Widzisz?

- Widzę, misiaczku. - Z teczką pod pachą Megan przystanąła, by pogłaskać merdającego ogonem szczeniaka.

- Potem będzie moja kolej. - Jenny zatrzepotała załotnie rzęsami. - Prawda, Nate?

- Prawda, słonko. No, zuchu - zwrócił się do Kevena. - Został ci jeszcze jeden gwóźdź.

Po chwili gwóźdź tkwił w desce.

- Przybiłem! To już moja trzecia deska - Kevin poinformował z dumą matkę. - Po każdej się zmieniamy.

- Spisałeś się na medal - pochwaliła go Megan, posyłając Nate'owi uśmiech.

- E tam. - Nate skromnie spuścił oczy. - To wcale

nie takie trudne. No, chłopaki - zerknął na swoich pomocników - gdzie następna deska?

- Już niesiemy!

Nathaniel ułożył deskę na miejscu, coś odmierzył, Coś wyrównał, po czym skinął na Jenny. Dziewczynka wsunęła się pomiędzy jego kolana i zacisnęła ręczki na młotku. Ja bym nie była tak odważna, pomyślała Megan, patrząc, jak Nathaniel przytrzymuje gwóźdź.

- Dobrze, a teraz pamiętaj, gdzie masz celować.

Jenny raz po raz opuszczała młotek; gwóźdź znikał w desce. Ostatnie mocniejsze uderzenie wykonał Nate.

- Strasznie przy tej robocie chce się pić, prawda, chłopaki? - spytał, przysuwając kolejny gwóźdź.

Aleks wywiesił język, udając, że kona z pragnienia.

- W kuchni jest dzban lemoniady - dodał Nate. - Gdyby ktoś się po niego pofatygował, a przy okazji przyniósł kilka szklanek...

Cztery pary oczu skierowały się na Megan. Pojęła aluzję: ten, kto nie jest stolarzem, ma usługiwać pozostałym.

- W porządku. - Postawiwszy teczkę na podłodze, przeszła po tarasie do frontowych drzwi.

Nathaniel w milczeniu odprowadził ją wzrokiem.

Kilka sekund później rozległ się przeciągły gwizd, po nim stłumiony okrzyk przerażenia. Nate wyszczerzył zęby.

- Hej, mała, postawić ci drinka? - zaskrzeczał Ptak.

- Twoje zdrowie, ślicznotko.

A kiedy zaśpiewał „Nie ma to jak dama”, dzieciaki zaczęły tarzać się ze śmiechu.

Po kilku minutach Megan wyłoniła się z tacą, na której stały szklanki z lemoniadą.

- Daj buziaka, mała! - zawołała za nią papuga.

Megan pokręciła głową.

- Co za repertuar.

- Ptak jest znawcą niewieściej urody - oznajmił Nate. Sięgnął po szklankę i jednym haustem opróżnił ją do połowy. - I muszę przyznać, że ma niezły gust.

- Słyszałem, jak ciocia Coco mówiła, że Nate'owi potrzebna jest kobieta - powiedział Aleks, oblizując się ze smakiem. - Nie rozumiem, po co.

- Żeby miał z kim spać - poinformowała go Jenny.

Nathaniel i Megan zakrztusili się z wrażenia.

- Czasem dorośli bywają w nocy samotni - kontynuowała dziewczynka - i lubią, jak ktoś obok nich leży. Mamusia, na przykład, zawsze śpi z tatusiem, ja ze swoim misiem, a...

- No dobrze, przerwa. - Nathaniel z trudem zdławił śmiech. - Może będzie poszli z Psem na spacer?

Propozycja została przyjęta jednogłośnie. Okrzyki radości towarzyszyły tupotowi nóg.

- Mała ma rację. - Nathaniel przyłożył zimną szklankę do spoconego czoła. - Czasem czuję się w nocy potwornie samotny.

- Myślę, że Jenny chętnie pożyczy ci swojego pluszowego misia. - Megan odeszła kilka kroków i rozejrzała się wkoło. - Bardzo tu ładnie. Tak swojsko - dodała.

- A co? Spodziewałaś się bocianiego gniazda, do którego wchodzi się po trapie?

Uśmiechnęła się.

- Zgadłeś. Słuchaj... chcę ci podziękować, że za-
jąłeś się Kevinem.

- I Alekssem, i Jenny. Oni są nierozłączni jak trzej
muszkieterzy.

Zza domu doleciały piski i śmiech.

- Istotnie - przyznała Megan.

- Zresztą to żaden kłopot. Lubię ich towarzystwo.

- Nate przysiadł na surowych deskach. - Chłopak ma
twoje oczy.

Uśmiech znikł z jej twarzy.

- Nieprawda. Jego są piwne. - Jak oczy Baxtera Du-
monta, przemknęło jej przez myśl.

- Chodzi mi o ich wyraz, a nie kolor - wyjaśnił
Nate. - Co on wie o swoim ojcu?

Posłała mu gniewne spojrzenie.

- Nie przyjechałam tu, żeby rozmawiać z tobą o mo-
ich sprawach.

- Nie?

- Nie. Przyjechałam po dzieci. I żeby omówić z tobą
twoje finanse.

Rzucił okiem na teczkę, którą zostawiła na tarasie,
kiedy weszła do kuchni po lemoniadę.

- Przywiozłaś papiery?

- Tak. - Podniosła teczkę i po chwili wahania
usiadła na deskach. - Skończyłam pierwszy kwartał.
Styczeń, luty, marzec. W tym okresie wydatki prze-
wyższyły wpływy. W lutym powinna była wpłynąć
spora suma pieniędzy. Tysiąc dwieście trzydzieści
dwa dolary i trzydzieści sześć centów. - Zerknęła do

wydruku z komputera. - Od niejakiego pana Jacquesa LaRue.

- LaRue miał ciężki rok. - Nathaniel dołał sobie lemoniady. - Uznaliśmy z Holtem, że damy mu trochę czasu.

- To wasza sprawa. Ale zazwyczaj jest tak, że po miesiącu zaczyna się liczyć odsetki za zwłokę.

- My tu na wyspie nie stosujemy tak drastycznych metod.

- W porządku. - Poprawiła zsuwające się okulary. - Jak widzisz, wszystko uporządkowałam. Podzieliłam na kategorie. Tu są wydatki, czyli czynsz, świadczenia, artykuły biurowe, reklama i tak dalej. Następnie pensje, zaliczki na podatek.

- Nowe perfumy.

Podniosła głowę.

- Słucham?

- Masz nowe perfumy. Z nutą jaśminu.

- Tak, dostałam od Coco.

- Ładnie pachną. - Przysunął się bliżej.

Megan przewróciła stronę.

- Tu zaś są wpływy - ciągnęła. - Podsumowałam sprzedaż biletów za rejsy. Aha, zauważyłam, że gościom zatrzymującym się w Wieżach oferujecie zniżki.

- To taki przyjacielski układ. Chyba korzystny.

- Bardzo korzystny. Mniej więcej osiemdziesiąt procent gości hotelowych decyduje się na wycieczkę. Czy... czy musisz siedzieć tak blisko?

- Muszę. Zjemy dziś razem kolację, Meg?

- Nie.

- Boisz się być ze mną sam na sam?
 - Tak. Wracając do finansów, w marcu wasze przychody wyraźnie się zwiększyły...
 - Zabierz z sobą Kevina.
 - Słucham?
 - Bełkoczę czy co? - Uśmiechając się, zdjął jej z nosa okulary. - Powiedziałem: weź z sobą Kevina. Pojedziemy do takiej miłej knajpki za miastem. Nie pożałujesz. Mają tam pyszne paszteciki z homarem. Może kuchnia Coco jest lepsza, ale...
 - Sama nie wiem.
 - Czego się boisz? - spytał.
- Westchnęła.
- Zgoda. Kevin będzie zachwycony.
 - Świetnie. - Zwróciwszy jej okulary, Nate wstał i podniósł następną deskę. - Czyli jedziemy.
 - Dziś?
 - Pewnie. A na co mamy czekać? Zadzwoń do Suzanny i uprzedź ją, że po drodze podrzucimy Aleksa i Jenny do domu.
 - No dobrze. - Patrząc na plecy Nate'a, Megan poczuła dreszczyk podniecenia. Na szczęście, pomyślała, do niczego nie dojdzie; Kevin wystąpi w roli przyzwoitki. - Nigdy jeszcze nie jadłam pasztecików z homarem.
 - A więc czeka cię wspaniała niespodzianka.

Miał rację; absolutnie nie żałowała. Podobała się jej kręta, malownicza droga oraz urokliwe wioski, które wyglądały jak z prospektów reklamowych. Czerwona

tarcza słońca opadała ku zachodowi, a wiaterek niósł zapach ryb, potem kwiatów, a wreszcie morza.

Restauracja nie należała do ekskluzywnych, przeciwnie, mieściła się w szarym drewnianym domku na palach, do którego wchodziło się po trzeszczącej kładce. Jako dekoracje służyły porwane sieci i stare, powgniataane boje.

Porysowane stoły stały na porysowanej podłodze. Na środku każdego umieszczono „świecznik”, czyli pomalowaną puszkę po tuńczyku ze świecą. Migoczące płomyki miały wprowadzić romantyczny nastrój, lecz tego nie robiły - między innymi dlatego, że większość świec była wypalona. Zestaw serwowanych dań widniał na tablicy wiszącej przy otwartych drzwiach prowadzących do kuchni.

- Mamy paszteciki z homarem, sałatkę z homarem i homara - tłumaczyła kelnerka siedzącej przy jednym ze stolików czteroosobowej rodzinie. - Do picia może być piwo, mleko, mrożona herbata i napoje gazowane. Są frytki i surówka, ale lodów nie można zamówić, bo wysiadła chłodziarka. To co państwu podać?

Nagle spostrzegła Nate'a. Porzuciwszy rodzinę, podeszła do niego i na powitanie dała mu kuksańca.

- Hej, kapitanie! Co słychać?

- Cześć, Julie. Dawno nie jadłem pasztecików z homarem.

- Przybywasz w odpowiednie miejsce. - Julie, chuda jak patyk, z szopą siwych włosów na głowie, zmierzzyła wzrokiem Megan. - A to kto?

- Megan O'Riley i jej syn Kevin - wyjaśnił. - Me-

gan, przedstawiam ci panią Julie Peterson, która przyrządza najlepsze homary na całej wyspie.

- Megan O'Riley? Nowa księgowa z Wież? - Kelnerka skinęła na powitanie głową. - Siadajcie. Przyjdę do was, jak skończę z tamtymi. - Wróciła do grupy, którą przed chwilą tak bezceremonialnie porzuciła. - To co, namyśliliście się? Czy zamierzacie dalej siedzieć i podziwiać dekoracje?

- Jedzenie jest tu lepsze niż obsługa. - Mrugając porozumiewawczo do Kevina, Nate ruszył w stronę stołika pod oknem. - Właśnie poznałem jedną z najważniejszych osób na wyspie. Rodzina pani Peterson od ponad stu lat łowi i przyrządza homary.

Informacja wyraźnie zaimponowała dziewięciolatce. Popatrzył na siwowłosą kelnerkę z zainteresowaniem, jakby to ona sama od stu lat poławiała homary.

- Pracowałem tu jako dzieciak - kontynuował Nate. - Głównie szorowałem podłogę.

Na zawsze zapamiętał dobre serce Julie, która dawała mu kompresy na siniaki oraz maść na rany i nigdy o nic nie pytała.

- Myślałam, że pracowałeś u rodziny Holta... - Widząc zdziwione spojrzenie Nate'a, Megan zakłęta w duchu. - Coco mi o tym wspomniała.

- Tak, u Bradfordów też sobie dorabiałem.

- Znałeś dziadka pana Holta? - spytał Kevin. - Podobno jest jednym z tutejszych duchów.

- Pewnie, że znałem. Siadywał na ganku w domu, w którym teraz mieszkają Aleks z Jenny. Czasem szedł wzdłuż skalistego brzegu, szukając Bianki.

- Lilah mówiła, że teraz spacerują tam razem. Ale ja ich ani razu nie widziałem. - W głosie chłopca wyczuwało się nutę żalu. - A ty? Widziałeś kiedyś ducha, Nate?

- I to nieraz - odparł, nie zwracając uwagi na Megan, która kopnęła go pod stołem. - W Kornwalii, gdzie wybrzeża są strome i zasnute gęstą mgłą, widziałem kiedyś kobietę, która stała na skałach, wpatrując się w morze. Miała na sobie pelerynę z kapturem, a w oczach łzy.

Kevin siedział zasłuchany.

- Ruszyłem do niej poprzez mleczne opary. Odwróciła się. Była piękna i bardzo smutna. „Nie wróci”, powiedziała. „Już nie wróci. Ja też nie”. Po czym zniknęła jak kamfora.

- Serio?

- Serio. Miejscowi nazywali ją Piękną Wdową. Legenda głosiła, że statek, na którym pływał jej mąż, rozbił się podczas burzy na Morzu Irlandzkim. Wdowa, póki żyła, a nawet po swojej śmierci, spacerowała nocami po urwisku, opłakując męża.

- Powinieneś pisać książki. Jak Maks - mruknęła Megan, zaskoczona dreszczem, która ją przeniknął.

- O tak, Nate potrafi snuć barwne opowieści. - Julie Peterson postawiła na stoliku dwa piwa i napój gazowany. - Jako dzieciak ciągle opowiadał mi o różnych miejscach, do których kiedyś dotrze. I dotarłeś, prawda, kaptanie?

- Dotarłem, Julie. - Podniósł butelkę do ust. - Ale o tobie nigdy nie zapomniałem.

- Flirciarz! - Rechocząc pod nosem, starsuszka trzepnęła go lekko w ramię i poczłapała do kuchni.

Megan spojrzała na stojącą przed nią butelkę.

- Nie wzięła od nas zamówienia...

- I nie weźmie - wyjaśnił Nate. - Bo mnie lubi. Dlatego sama zadecyduje, co nam podać. - Pociągnął kolejny łyk złocistego płynu. - Jeśli nie lubisz piwa, poproszę, żeby...

- Nie, lubię... Pewnie znasz sporo osób na wyspie, skoro tu dorastałeś?

- Znam, ale wcale nie tak dużo. Wróciłem po długiej nieobecności.

- Nate opłynął cały świat. I to dwukrotnie - oznajmił Kevin, przysuwając szklanekę z chłodnym napojem.

- Widział huragany, tajfuny, wszystko.

- Hm, to musiało być ciekawe - rzekła Megan.

- Na pewno się nie nudziłem.

- Nie tęsknisz za życiem pełnym przygód?

- Chyba nie. Ponad piętnaście lat pływałem na statkach należących do innych ludzi. Teraz pływam na własnych. W życiu każdego człowieka następują zmiany. Ty, na przykład, przeniosłaś się z Oklahomy do Maine.

- I bardzo dobrze, bo tu nam się podoba. - Kevin zamieszał słomką kostki lodu. - A szef mamusi w Oklahomie był głupim kutwą.

- Synku!

- Tak go dziadek nazywał. W dodatku cię nie doceniał. I stale podcinał ci skrzydła. - Chłopiec nie rozumiał, co to znaczy, ale tak z kolei twierdziła jego babcia.

- Dziadek był uprzedzony. - Megan poczochnęła się po włosach. - Ale faktycznie, podoba nam się w Bar Harbor.

- Macie wszystko zjeść - poleciła Julie, stawiając na stole trzy ogromne talerze. Na każdym znajdowało się kilka długich, chrupkich pasztecików wypełnionych soczystymi kawałkami homara, ogromna porcja surówki oraz góra złocistych frytek. — Chłopakowi sterczą kości, matce też przydałoby się trochę więcej ciała. Nie wiedziałam, kapitanie, że gustujesz w trzcinkach.

- I w trzcinkach, i w pulpecikach - odparł Nate.

Julie odeszła roześmiana.

- Nigdy tego nie zjemy. - Megan z przerażeniem wpatrywała się w ogromne porcje.

- Zjemy, zjemy. - Nathaniel chwycił sztucę. - Powiedz, przejrzałaś księgę Fergususa?

- Pobieźnie. - Ostrożnie skosztowała kawałek pasztecika. Może wystrój lokalu zasługiwał na ćwierć gwiazdki, ale daniu natychmiast przyznała cztery. - Najpierw chcę uporządkować sprawę bieżącą. Finanse „Bryzy” i hotelu. Z pierwszym kwartałem „Bryzy” się porałam, został drugi kwartał oraz zapoznanie się z finansami Wież.

- Twoja mama, chłopcze, jest bardzo poważną osobą.

- Wiem. - Chłopiec przełknął porcję homara. - Dziadek mówił jej, że nie powinna tyle pracować.

- Kevin!-zawołała Megan.

Ale było już za późno. Nate uśmiechnął się szeroko.

- Tak mówił, powiadasz? A co jeszcze mówił dziadek?

- Że powinna mieć więcej rozrywek. - Chłopiec nabrał na widelec kilka frytek. - Bo jest za młoda, żeby żyć jak pustelnica.

- Twój dziadek to bardzo mądry człowiek.

- Tak. On wszystko wie. Pozjadał wszystkie rozumy.

- To ostatnie to cytat z mojej mamy - wyjaśniła Meg. - Ona też wszystko najlepiej wie. Ale pytałeś o księgę Fergususa...?

- Ciekaw byłem, czy coś cię w niej zaintrygowało.

- O, tak. Zamierzam ją codziennie studiować, z godzinę przed snem.

- Chyba nie taką rozrywkę miał na myśli twój ojciec.

- Z pewnością. - Postanowiła wrócić do bezpieczniejszego tematu. - Znalazłam parę drobnych błędów matematycznych, ale w większości wszystko jest uporządkowane i logiczne. Poza kilkoma ostatnimi stronami, na których widnieją rzędy cyfr bez żadnego ładu i składu.

- Pełny chaos?

- Tak to wygląda. Ale muszę je dokładniej przejrzeć.

- Czasem, kiedy patrzy się z bliska, nie dostrzega się całości. - Puścił oko do Julie, która postawiła przed Megan drugą butelkę piwa. On sam dostał kawę. Julie wiedziała, że kiedy prowadzi, nigdy nie pije więcej. - Chętnie rzuciłbym na nie okiem.

- Na te cyfry? Dlaczego? - zdziwiła się Megan.

- Lubię puzzle.

- Obawiam się, że to w niczym puzzli nie przypomina, ale spytam Calhounów. Jeśli nie będą mieli nic przeciwko temu, to oczywiście pokażę ci zapiski Fergussa. - Odsunęła się od stołu, wzdychając ciężko. - Nie skończę; już pękam.

- Nie szkodzi. - Nathaniel zamienił się z nią talerzami. - Zjem za ciebie.

Ku jej zdumieniu opróżnił talerz do czysta. To, że Kevin zjadł wszystko, znacznie mniej ją zdziwiło. Chłopak rósł jak na drożdżach, więc apetyt mu dopisywał. Ale Nathaniel... opchnął całą swoją porcję, pół jej porcji i jeszcze oblizał się ze smakiem.

- Zawsze tak dużo jadłeś? - spytała w samochodzie, kiedy wracali do Wież.

- Nie. Ale zawsze chciałem. Jako dzieciak mógłbym nie wstawać od stołu. - Nie tłumaczył, że często nie starczało pieniędzy na żywność. - Na morzu zaś nie wolno być wybrednym; trzeba jeść, i to dużo, bo nie wiadomo, kiedy znów nadarzy się okazja.

- Powinieneś ważyć ze sto pięćdziesiąt kilo.

- Spalam nadmiar kalorii. - Przyjrzał się jej z uśmiechem. - Podobnie jak ty.

- Wcale nie jestem chuda - zaprotestowała.

- Wiem. Myślałem, że jesteś, dopóki nie wzięłem cię w ramiona. Wtedy przekonałem się, że masz cudownie miękkie ciało...

Syknęła, żeby zamilkł.

- Zasnął, jak tylko włączyłem silnik - powiedział Nate, zanim zdążyła obejrzeć się za siebie.

Istotnie. Kevin spał smacznie, wyciągnięty na tylnym siedzeniu.

- Chociaż nie rozumiem, co straszego by się stało, gdyby usłyszał, że jakiś mężczyzna interesuje się jego mamą.

- Kevin to jeszcze dziecko. - Wyraz czułości znikł z jej oczu. - Nie chcę, żeby...

- Żeby co?

- Żeby nic. To mój syn i już.

- Wiem. Wychowałeś go na wspaniałego chłopaka. Popatrzyła na Nate'a podejrzliwie.

- Dziękuję - rzekła w końcu.

- Nie ma za co. Po prostu stwierdzam fakt. Niełatwo samemu wychowywać dziecko. A ty wykonałaś kawał świetnej roboty.

Nie potrafiła długo się na niego gniewać, zwłaszcza po tym, co usłyszała od Coco.

- Coco wspomniała, że straciłeś matkę w bardzo młodym wieku...

- Ostatnio zbyt często Coco o mnie wspomina.

- Nie złość się na nią. Wiesz, jaka jest. Kocha ludzi i chciałaby...

- Wszystkich wyswatać? Wiem. Ciebie wybrała dla mnie.

- Co? - Z wrażenia Megan zaniemówiła. - To bez sensu.

- Ona tak nie uważa. - Nate obrócił lekko kierownicę i łagodnie wszedł w zakręt. - Rzecz jasna, nie domyśla się, że przejrzałem jej zamiary.

- Ale... jak na to wpadłeś?

Uśmiechnął się w duchu.

- To nie było trudne. Od miesiący wychwała mi cię pod niebiosa. Muszę przyznać, że rzeczywistość nawet zbyttnio nie odbiega od reklamy.

Nieco zirytowana, odwróciła się do niego twarzą, ale po chwili uświadomiła sobie absurdalność całej sytuacji.

- Dziękuję. - Oparłszy się wygodnie, wyciągnęła przed siebie nogi. - Cieszę się, że cię nie rozczarowałam.

- Nie rozczarowałaś, złotko.

- Mnie zaś bez przerwy opowiadano o tobie. Jaki to jesteś przystojny. Tajemniczy, romantyczny, czarujący.

- I co?

- Rzeczywistość nawet zbyttnio nie odbiega od reklamy.

Ujął jej dłoń i zbliżył do ust.

- Pokażę ci, że w ogóle nie odbiega - powiedział, składając na niej serię pocałunków.

Megan wyrwała rękę, ignorując dreszcz podniecenia, który przebiegł jej po krzyżu.

- Boże, gdybym tak bardzo jej nie lubiła, byłabym wściekła. Ale ona ma serce ze złota.

- Tak, to najszlachetniejsza kobieta, jaką znam. Kiedyś marzyłem o tym, żeby była moją matką.

- To straszne, kiedy dziecko tak wcześnie traci matkę - powiedziała cicho Megan.

- Owszem, ale minęło już tyle czasu, że nawet jej nie pamiętam. Coco natomiast pamiętam doskonale. Czasem zaglądała do miasteczka, a czasem ja towarzyszy-

łem Holtowi, kiedy niósł do Wież ryby. Była wspaniała. Kojarzyła mi się z królową. I za każdym razem miała inny kolor włosów.

- Dziś jest brunetką.

Nate pokręcił z rozbawieniem głową.

- To pierwsza kobieta, w której się zakochałem. Ze dwa razy odwiedziła mojego ojca w domu i tłumaczyła mu, że nie powinien pić. Sądziła, że na trzeźwo nie będzie się nade mną znęcał. - Na moment oderwał oczy od szosy i popatrzył na Megan. - O biciu pewnie też ci wspomniała?

- Tak. - Megan odwróciła wzrok. - Wiem, co czujesz. Ja też nienawidzę, kiedy ludzie o mnie rozmawiają. Bez względu na to, co nimi kieruje.

- Nie jestem aż tak wrażliwy. Zresztą wszyscy w miasteczku znali mojego ojca. - Do dziś pamiętałem pełne współczucia spojrzenia. - Wtedy mi to przeszkadzało, ale dziś już nie ma znaczenia.

- Czy... - Szukała właściwych słów. - Czy wizyty Coco przyniosły jakiś pożytek?

Przez chwilę milczał, wpatrując się w szarą wstęgę szosy.

- Ojciec bał się Coco, więc po jej wyjściu o mało nie pogruchotał mi wszystkich kości.

- Boże.

- Wolałbym, żeby się o tym nie dowiedziała.

- Oczywiście. - Megan przełknęła łyżę. - Dlatego wstąpiłeś do marynarki? Żeby uciec od niego?

- To jeden z powodów. - Wyciągnął rękę i pogładził ją po policzku. - Gdybym wiedział, że wystarczy opo-

wiedzieć ci mój smutny życiorys, żebyś spojrzała na mnie łaskawszym okiem, dawno bym to zrobił.

- Nie żartuj. - W jej głosie pobrzmiwała wściekłość. - Jak można tak traktować dziecko? Jak można...

- Widać niektórzy mogą.

- Powiedz: wybaczyłeś mi? Przestałeś go nienawidzić?

- Nie - odparł cicho. - Ale przestałem o tym myśleć. Przestałem tym żyć. - Zatrzymał samochód na podjeździe przed Wieżami i odwrócił się twarzą do Megan. - Kiedy ktoś wyrządza ci prawdziwą krzywdę, nigdy się tego nie zapomina. Ale nie można dopuścić, żeby ta krzywda zaważyła na reszcie twojego życia.

- Mówisz o ojcu Kevina, a to zupełnie co innego. Ja, w przeciwieństwie do ciebie, nie byłem bezbronnym dzieckiem.

- Bo ja wiem? Naiwna siedemnastoletnia dziewczyna... - Otworzył drzwi. - Nie budź małego. Zaniosę go.

- Nie trzeba.

Zanim wysiadła, trzymał chłopca na rękach. Poczowała bolesny ucisk w piersi. Wzdychając głęboko, delikatnie pogładziła syna po plecach.

- Ma za sobą długi dzień.

- Ty też, Meg. A cienie pod twoimi oczami świadczą o nieprzespanej nocy. Podobnie jak ty, ja również nie spałem. Myślałem o tobie.

Niełatwo jej było zachować dystans, walczyć z prądem, który znosił ją w stronę Nate'a.

- Proszę cię - szepnęła Megan. - Nie jestem jeszcze gotowa.

- Czasem zrywa się wiatr, który znosi nas z obranego kursu. I zdarza się, że to nowe miejsce jest znacznie ciekawsze od tego, do którego się zmierzało.
- Nie lubię zdawać się na los.
- A ja bardzo. - Posyłając jej uśmiech, odwrócił się i wniósł chłopca do domu.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Nie rozumiem, po co to całe zamieszanie - mruknął pod nosem Holender, ubijając pianę na biszkopt.

- Trenton St. James II jest członkiem rodziny - wyjaśniła Coco, sprawdzając piekarnik. Źle wyliczyła czas. Gdyby nie maseczka ogórkowa, którą zrobiła sobie przed godziną, nie musiałyby się teraz tak spieszyć. - A także prezesem sieci hoteli St. James. - Zadowolona, że mięso ładnie się przypieka, posmarowała tłuszczem kaczkę. - To jego pierwsza wizyta w Wieżach. Chciałabym, żeby wszystko przebiegało sprawnie i bez zakłóceń.

- Innymi słowy, jakiś pieprzony bogacz przyjeżdża naciągnąć nas na darmową wyżerkę.

- Och, doprawdy! - Po sześciu miesiącach powinna wiedzieć, czego może się spodziewać, mimo to sposób bycia Holendra ciągle ją szokował. - Znam pana St. Jamesa od... od bardzo wielu lat. I zapewniam cię, że jest poważnym, szanowanym biznesmenem, a nie żadnym naciągaczem.

Niels Van Horne zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów. Zauważył, że się wystroiła. Kiecka, na tyle krótka, żeby było widać zgrabne nogi, buty na obcasach, usta

pociągnięte szminką, policzki zaróżowione - raczej nie od ciepła panującego w kuchni.

- To twój chłopak?

Policzki Coco przybrały odcień jaskrawej czerwieni.

- Wypraszam sobie! Kobieta w moim wieku i z moim doświadczeniem nie miewa „chłopaków”. - Zerka-
jąc w lśniący okap nad kuchenką, poprawiła ukradkiem fryzurę. - Co najwyżej miewa adoratorów.

- Słyszałem, że gość był czterokrotnie żonaty, a ali-
menty, jakie płaci, starczyłyby na oddłużenie niejedne-
go kraju. Chcesz zostać żoną numer pięć?

Coco przycisnęła dłoń do serca.

- Jesteś... okropnie grubiański. Nieokrzesany. Źle
wychowany.

- Spokojnie. Tylko zadałem pytanie. Chcesz się
ochajtnąć z bogaczem, proszę bardzo. Nic mi do tego.

Chociaż zdawała sobie sprawę, że wybuch wściekło-
ści nie przystoi damie, gniewnym krokiem podeszła do
Van Horne'a i pomalowanym na czerwono paznokciem
dźgnęła go w pierś.

- Nie będę dłużej tolerować twoich zniewag!

- Ta? - Dźgnął ją w ramię. -I co zrobisz?

Przysunęła się bliżej. Odległość między ich nosami
wynosiła pięć centymetrów.

- Wyrzucę cię.

- Chyba się rozpłaczę. No, śmiało. Zobaczymy, jak
sobie poradzisz beze mnie w porze kolacji.

- Już ty się o to nie martw. Poradzę sobie. - Serce
waliło jej jak młotem. Jeszcze moment, a wyskoczy,
pomyślała.

- Akurat! - Nienawidził jej perfum. Ich aromat sprawiał, że kręciło mu się w głowie i miał zdrożne myśli.

- Zatrudniłaś mnie, bo goniłaś w piętkę.

- Już nie gonię. I już cię nie potrzebuję.

- Kłamiesz.

Trzymała dłonie oparte na jego klatce piersiowej, on ręce zaciśnięte na jej ramionach. Oboje zdawali się tego nie zauważać.

Przywarł ustami do jej ust, miażdżąc je w gorącym pocałunku. Zdumiona, wytrzeszczyła oczy. Nogi się pod nią ugięły. Dlatego - bo z jakiego by innego względu? - objęła Holendra za szyję.

Bezczelny typ. Spoliczkuje go. Na pewno.

Ale później.

Baby, pomyślał Van Horne; szlag by je trafił. Wszystkie, a już zwłaszcza te wysokie, ponętnie zaokrąglone, pachnące kwiatami, o ustach jak... wiśnie. Uwielbiał ich soczystą kwaskowatość.

Przestał ją całować, lecz rąk nie opuścił. Zaczęli mówić jednocześnie.

- Słuchaj, musimy sobie coś...

- Nie wiem, skąd...

W tym momencie otworzyły się drzwi. Odskoczyli od siebie niczym dzieci przyłapano na gorącym uczynku.

W progu stała Megan ze skonfundowaną miną. Musiało się jej coś przywidzieć. Coco sprawdza coś w piekarniku, Holender sypie mąkę do miski. Chyba nie obejmowali się przed chwilą? Oboje jednak mieli podejrzane wypieki na policzkach.

- Ja... - wydukała w końcu. - Przepraszam... chciałam...

- Ach, to ty, Megan? - Coco nerwowo przygładziła włosy. - W czym mogę ci pomóc, kochanie?

- Chciałam upewnić się co do paru wydatków - odparła, przenosząc spojrzenie z Coco na Holendra i z powrotem na Coco. Powietrze było naładowane elektrycznością, zupełnie jak po burzy. - Ale jeśli przeszkadzam, mogę...

- Nie przeszkadzasz. - Coco wytarła spocone dłonie o fartuch. - Po prostu przygotowujemy się do wizyty Trentona.

- Faktycznie. Zapomniałam, że ojciec Trenta ma dziś przyjechać. - Powoli zaczęła wycofywać się do holu. - Te rachunki to nic pilnego. Przejrzymy je kiedy indziej.

- Ależ nie, możemy teraz. - Nie zostawiaj mnie tu samej, błagała w duchu Coco. - W kuchni wszystko jest już pod kontrolą, więc... Może chodźmy do twojego gabinetu - zaproponowała, chwytając Megan za łokieć. - Przez kilka minut Van Horne poradzi sobie sam. - Nie czekając na reakcję Holendra, pośpiesznie opuściła kuchnię. - Drobiazgi potrafią człowieka wykończyć. - Trzymała się Megan kurczowo, jakby była tratwą ratunkową na rozhukanym morzu. - Im więcej się robi, tym więcej jest do zrobienia.

- Coco, dobrze się czujesz?

- Świetnie. - Mówiąc to, przycisnęła dłoń do serca. - Miałam małe nieporozumienie z Van Horne'em, ale to nic poważnego. Powiedz, kochanie, jak ci idzie praca?

Bo wiesz, liczyłam na to, że może znajdziesz trochę czasu, aby zerknąć do książki Fergususa.

- Nawet zerknęłam...

- Oczywiście nie chcemy, żebyś się przepracowywała - ciągnęła Coco, nie słysząc słów Meg. - Chcemy, żebyś czuła się tu jak u siebie w domu. Żebyś odpoczywała, cieszyła się życiem. Po tych kłopotach, jakie nawiedziły nas w zeszłym roku, wszyscy musimy zwolnić tempo. Chyba nie wytrzymałabym kolejnego kryzysu.

- Nie mam rezerwacji i żadnej nie potrzebuję!

Skrzeczący, rozgniewany głos sprawił, że Coco stanęła w pół kroku. Rumieniec znikł; jej twarz pokryła się niemal trupią bladością.

- O Boże. To niemożliwe...

- Coco? - Megan zacisnęła rękę na jej ramieniu. Wyczuwając drżenie, zaczęła się zastanawiać, czy utrzyma Coco, jeśli ta zemdleje.

- Młody człowieku... - Głos stał się donośniejszy.

- Czy ty wiesz, kim jestem?

- Ciocia Colleen - powiedziała nerwowym szeptem Coco, po czym biorąc głęboki oddech, ruszyła do holu.

- Ciocia Colleen! - zawołała radośnie. - Jaka miła niespodzianka.

- Raczej zaskoczenie. - Staruszka ubrana w jedwabny kostium, której szyję zdobił sznur pereł równie białych jak jej włosy, nadstawiła policzek do pocałunku. Była wysoka, chuda jak szczapa i wzbudzała postrach.

- Widzę, Cordelio, że zapełniłaś Wieże obcymi ludźmi. Już lepiej by było, gdyby strawił je pożar. A teraz, z ła-

ski swojej, powiedz temu bezczelnemu typowi, żeby zaniósł moje bagaże na górę.

- Oczywiście. - Coco skinęła szybko na boya. - Skrzydło rodzinne, drugie piętro, pierwszy pokój z prawej - wydała polecenie.

- Tylko ich nie ciskaj! - Colleen Calhoun oparła się o łaskę i skierowała spojrzenie na Megan. - A to kto?

- Megan O'Riley, siostra Sloana. Nie pamiętasz, ciociu? Poznałyście się na ślubie Amandy.

- A tak, rzeczywiście. - Staruszka zmrużyła oczy. - Masz syna, prawda? - spytała, choć wszystko dokładnie wiedziała na temat Kevina.

- Tak. Cieszę się, że znów panią widzę panno Calhoun.

- Podejrzewam, że nikt tu nie podziela twojej radości. - Ignorując młodsze kobiety, podeszła do portretu Bianki. Przez chwilę wpatrywała się w obraz swojej matki, potem przeniosła wzrok na szmaragdy. Westchnienia, jakie dobyło się jej z piersi, nikt nie słyszał. - Zanim pójde obejrzeć, co zrobiłaś z tym domem, wypijałabym, Cordelio, kieliszek koniaku.

- Naturalnie. Przejdźmy do salonu. Megan, kochanie, chodź z nami.

W oczach Coco Megan dostrzegła błagalny wyraz. Nie miała serca jej odmówić.

W salonie znajdującym się w części rodzinnej tapety były wyblakłe, a podłoga miejscami porysowana i wypalona, zwłaszcza wokół kominka.

- Widzę, że nic się nie zmieniło. - Staruszka usiadła

w dużym fotelu z wysokim oparciem. Wyglądała dostojnie niczym królowa.

- Bo najpierw skupiliśmy się na części hotelowej - wyjaśniła Coco, nalewając koniak. - Dopiero od niedawna prowadzimy remont w części prywatnej. Dwie sypialnie już są gotowe. I świetlica dla dzieci.

- Rozumiem. - Colleen Calhoun pokiwała głową. Właśnie chęć odwiedzenia maluchów przywiodła ją do Bar Harbor, a nie chęć dokuczenia bratanicy. - Gdzie się wszyscy podziewają? Przyjechałam do rodziny, a widzę samych obcych.

- Rodzinę też zobaczysz, ciociu - odparła Coco z przyklejonym do twarzy uśmiechem. - Wieczorem urządzamy przyjęcie. Ojciec Trenta przylatuje na kilka dni.

- Ten starzejący się playboy? - Staruszka wypiła łyk koniaku. - A ty... - Wskazała palcem na Megan. - Jesteś księgową?

- Tak.

- Megan ma niesamowity talent do rachunków - wtrąciła szybko Coco. - Całe szczęście, że przyjęła naszą propozycję i przyjechała tu do pracy. A jej synek Kevin... jaki to uroczy chłopiec!

- Pytanie nie było skierowane do ciebie, Cordelio. Idź, zajmij się czymś w kuchni.

- Ale...

- No, zmykaj.

Z wyrzutami sumienia Coco popatrzyła na Megan, po czym zamknęła za sobą drzwi.

- Ile ma lat? Osiem i pół?

- Za dwa miesiące będzie obchodził dziewiąte urodziny - odparła Megan. Nastawiła się psychicznie, że zaraz usłyszy jakieś przykre uwagi na temat rodowodu syna.

Uderzając palcami w oparcie fotela, Colleen Calhoun pokiwała głową.

- Dogaduje się z dzieciakami Suzanny?

- O tak. Są nierozłączni. Kevin jest zachwycony z przyjazdu do Bar Harbor. Ja zresztą też.

- Dumont cię nie niepokoi?

Megan podskoczyła.

- Słucham?

- Mówię niewyraźnie czy co? Pytam, czy ta wredna kreatura cię nie niepokoi.

- Nie. Ostatni raz widziałam się z Baxterem, zanim jeszcze urodził się Kevin. Potem nie mieliśmy już kontaktu.

- Pewnie wkrótce znów się odezwie. - Colleen przyjrzała się Megan uważnie, jakby chciała przeniknąć ją na wskroś.

Megan odruchowo zacisnęła palce na butelce koniaku.

- Jak to? Nie rozumiem...

- Podobno dopytuje o ciebie.

- Skąd pani wie?

- Kiedy chodzi o moją rodzinę, staram się mieć oczy i uszy szeroko otwarte. - Na moment staruszka zamilkła. Nie doczekawszy się reakcji, kontynuowała: - Zamieszkałaś w Wieżach. Twojego syna wszyscy traktują jak brata Aleksa, Jenny i Christiana.

- Co to ma wspólnego z Baxterem? - spytała gniewnie Megan.

- Oprzytomniej, dziewczyno. Taki facet jak Baxter Dumont uważa się za pępek świata. Ma ambicje polityczne, ale wie, co by się stało, gdybyś wdała się w rozmowę z jakimś dziennikarzem. - Na samą myśl o tym Colleen uśmiechnęła się w duchu. - Droga do Waszyngtonu znacznie by mu się wydłużyła.

- Nie mam zamiaru z nikim rozmawiać, narażać Kevena na zainteresowanie prasy.

- Słusznie. - Starsza pani pociągnęła łyk koniaku. - Szkoda, ale słusznie. Daj mi znać, gdyby Dumont zaczął ci się naprzykrzać, dobrze? Chętnie znów bym mu utarła nosa.

- Sama sobie z nim poradzę - oznajmiła Megan.

Colleen Calhoun uniosła siwe brwi.

- Kto wie? Może faktycznie sobie poradzisz.

- Dlaczego mam wkładać głupi krawat? - spytał Kevin, wierząc się z niezadowoleniem, podczas gdy matka usiłowała zawiązać mu pod szyją supeł.

- Bo to uroczysta kolacja.

- Założę się, że Aleksowi nikt nie każe nosić głupiego krawata.

- To mnie nie interesuje. - Powoli traciła cierpliwość. - Stój prosto!

Kevin przygryzł wargi. Rzadko słyszał z ust matki tak ostry ton.

- Wolałbym zjeść zwykłą pizzę.

- Ale jej nie zjesz. Przestań się wiercić!

- To mnie dusi...
- Sama cię zaraz uduszę. No, nareszcie. Wyglądasz na bardzo przystojnego.
- Wyglądam na cymbała.
- W porządku, wyglądasz na cymbała. A teraz włóż buty.

Na widok lśniącej skóry chłopiec skrzywił się.

- Nienawidzę tych butów. Wolę adidas.

Megan kucnęła, tak by mieć twarz na tym samym poziomie co twarz syna.

- Nie dyskutuj ze mną. Masz włożyć buty i być grzeczny, bo nigdzie nie pójdziesz.

Zamknawszy za sobą drzwi, udała się do swojego pokoju. Stojąc przed toaletką, zaczęła szcztokować włosy. Sama też chętnie nie poszłaby na żadną kolację. Mimo tabletki, którą połknęła godzinę temu, głowa nadal pękała jej z bólu. Wiedziała jednak, że musi wziąć się w garść, zejść na dół, uśmiechać się, nie myśleć o Baxterze Dumoncie, nie okazywać strachu, złości i niepokoju.

Może Colleen się myli? W końcu minęło prawie dziesięć lat. Po co Baxter miałby ją teraz nękać?

Dlatego, że zamierza ubiegać się o fotel senatora. Megan zamknęła oczy. Przecież czytała w gazetach, że już rozpoczął kampanię. Nieślubne dziecko, do którego nigdy się nie przyznał, nie pasuje do wizerunku, jaki próbuje stworzyć.

- Mamuś...

Zobaczyła w lustrze odbicie syna - na nogach miał buty, w oczach smutek. Ogarnęły ją wyrzuty sumienia.

- Co, kochanie?
- Dlaczego jesteś taka zła?
- Nie jestem. - Przysiadła znużona na krawędzi łóżka. - Po prostu boli mnie głowa. Przepraszam, że na ciebie warczałam.

Rozpostarła ramiona. Kiedy chłopiec się zbliżył, zacisnęła je wokół jego drobnego ciała.

- Mój ty najprzystojniejszy cymbałku... - Pocałowała go w czubek głowy. - Chodźmy na dół. Pewnie Aleks z Jenny już dawno przyjechali.

Aleks był równie nieszczęśliwy z powodu krawata jak Kevin. Jednakże obaj szybko zapomnieli o uciskającym węźle pod szyją. Mieli tyle innych atrakcji - mogli podkraść kanapki, łaskotać maluchy, planować szalone wyprawy...

W salonie panował niesamowity gwar. Megan potarła skroń; ból głowy nie ustępował. Trenton II wręczył jej kieliszek szampana i przez kilka minut zabawił rozmową. Był to wysoki, szczupły mężczyzna, przystojny, opalony i niezwykle czarujący. Mimo to Megan odechnęła z ulgą, kiedy w końcu skierował swą uwagę na Coco.

- Ładna z nich para, prawda? - spytał Nate.
- Piękna. - Sięgnęła po kawałek sera.
- Jakoś nie jesteś w nastroju zabawowym. Coś cię gryzie?
- Nie. - Na wszelki wypadek postanowiła zmienić temat. - Przypuszczam, że może zainteresować cię to, co zauważyłam dziś po południu.

- Cóż takiego? - Ujmując ją pod rękę, ruszył w stronę drzwi prowadzących na taras.

- Coco i Holender.

- Znów się kłócili? Rzucali talerzami?

- Przeciwnie. - Wzięła głęboki oddech; może świeże powietrze dobrze jej zrobi? - Oni... przynajmniej takie sprawiali wrażenie...

Nate uniósł brwi.

- Żartujesz?

- Wcale nie. Stali twarzą w twarz. On ją obejmował.

Uśmiechnęła się, pocierając pulsującą skroń.

- Kiedy wparowałam do kuchni, odskoczyli, jakbym ich przyłapała na nie wiadomo czym. Oboje natychmiast spłonęli rumieńcem.

- Holender? Zarumienił się? - Nate chciał zaprotestować, że to niemożliwe, ale nagle zrozumiał, co się dzieje. - O Boże!

- Nie sądzisz, że to urocze?

Zerknął przez okno do środka. Coco, dostojna i elegancka, rozmawiała z gościem honorowym. W pewnym momencie Trenton szepnął jej coś do ucha, a ona roześmiała się wesoło.

- Może i urocze. Ale Coco gra w innej lidze. Złamię biedakowi serce.

- Bzdury wygadujesz. - Megan skrzywiła się z bólu.

- W miłości jest tylko jedna liga.

Gdyby chodziło o kogo innego, nie przejmowałby się. Ale Coco i Holender byli najbliższymi mu ludźmi na świecie.

- Chyba nie twierdzisz, złotko, że są dla siebie stworzeni?

- Twierdę, że istnieje między nimi wzajemne przyciąganie. To wszystko. I nie mów do mnie „złotko”.

- W porządku, nie irytuj się. - Zmrużył oczy. - Co ci jest?

Opuściła rękę, którą znów pocierała skroń.

- Nic.

- Głowa cię boli?

- Nie... - zawahała się. - Tak - przyznała się po chwili. - Okropnie.

- Jesteś cała spięta - rzekł, masując jej ramiona.

- Przestań.

- Robię to wyłącznie w celach leczniczych. - Delikatnie uciskał miejsce nad obojczykiem. - Wszelkie przyjemne doznania są przypadkowe i niezamierzone... Często miewasz bóle głowy?

- Rzadko.

- Zazwyczaj są wynikiem stresu. - Palce Nate'a powędrowały wyżej, do jej skroni, po czym wróciły w dół i zaczęły ugniatać kark. - Wszystko w sobie dusisz, Meg. Ciało nie lubi nagromadzonych emocji. Odwróć się; będzie mi wygodniej.

- Nie... - Chciała zaprotestować, ale zamknęła oczy i jedynie błogo westchnęła.

- Rozluźnij się. Uwielbiam takie wieczory: księżyc w pełni, niebo usiane gwiazdami... Spacerowałaś kiedykolwiek nocą po skałach? Ścieżką oświetloną blaskiem księżycyca?

- Nie.

- Naprawdę? To niezwykle przeżycie. Spomiędzy kamieni wyrastają kwiaty, woda rozbija się o brzeg, a nieopodal krążą te duchy, o których Kevin lubi opowiadać. Teren wokół Wież wcale nie jest tak opustoszały, jak się powszechnie sądzi.

Dźwięk jego głosu i dotyk rąk działały kojąco. Powoli troski zaczęły odpływać.

- W pokoju Suzanny wisi obraz skał skąpanych w mlecznej poświacie - powiedziała, starając się nie myśleć o Dumoncie.

- Tak, autorstwa Christiana Bradforda. Facet idealnie potrafił oddać klimat tego miejsca. Ale rzeczywistość jest jeszcze bardziej niesamowita. Możemy się tam przejść po kolacji...

- Bałamucisz dziewczynę? - rozległ się głos Colleen.

Megan podskoczyła; Nathaniel uśmiechnął się, ale nie cofnął dłoni.

- A nie wolno, panno Colleen?

- Och, ty łotrze! - Kąciki warg jej zadrżały. Uwielbiała przystojnych łotrów. - Pamiętam chudego, nieokrzesanego młodzieńca, ale widzę, że zmężniałeś na morzu. To dobrze. A ty, kochana, co się tak wierzisz? Przecież Nate cię nie puści.

Nathaniel cmoknął Megan w czubek głowy.

- Ona jest nieśmiała.

- I nawet jej z tym do twarzy. - Staruszka obejrzała się przez ramię. - Zdaje się, że Cordelia wreszcie zamierza nas nakarmić. Usiądziesz koło mnie, młodzieńcze, i porozmawiamy o morzu.

- Wspaniałe.

- Ponad pół życia spędziłam na luksusowych statkach wycieczkowych. Założę się, że byłam w większej ilości miast niż ty.

- Nie wątpię. - Obejmując Megan w pasie, Nathaniel podał staruszcze prawe ramię. - Podejrzewam, że wszędzie zostawiała pani za sobą złamane serca.

Colleen Calhoun parsknęła śmiechem.

- A żebyś wiedział, że tak!

W jadalni zapach potraw mieszał się z zapachem kwiatów i świec. Kiedy wszyscy zajęli miejsca, Trenton II wstał, ściskając w dłoni kieliszek.

- Pragnę wznieść toast. Zdrowie Cordelii, kobiety wyjątkowo utalentowanej i niezwykle urodziwej.

Holender, obserwujący wszystko przez szparę w drzwiach, prychnął gniewnie, po czym z naburmuszoną miną wrócił do kuchni.

- Trent... - szepnęła C C, pochylając się do męża. - Wiesz, że cię kocham, prawda?

- Mmm. - Domyślał się, co za chwilę usłyszy.

- I wiesz, że uwielbiam twojego ojca?

- Mmm.

- Ale jeżeli zaczniesz zalecać się do Coco, zabiję go.

- Zgoda. - Trent uśmiechnął się bezradnie.

Na drugim końcu stołu Trenton II, nieświadom tego, co mu grozi, zwrócił się do Colleen:

- I co pani sądzi o przebudowie, panno Colleen?

- Nic. Nienawidzę hoteli. Nigdy się w nich nie zatrzymuję.

- Ależ ciociu... - Coco próbowała ratować sytuację.

- Hotele St. James znane są na całym świecie z elegancji i luksusu.

- Nie szkodzi. - Staruszka zerknęła do talerza. - A cóż to takiego?

- Zupa z homara, ciociu Colleen.

- Trzeba dosolić - rzekła, nawet jej nie skosztowa-
wszy. - A ty, chłopcze... - wskazała palcem na Kevina
- siedź prosto, bo ci garb wyrośnie.

- Dobrze, proszę pani.

- Już wiesz, kim chcesz być w przyszłości?

Widząc bezradne spojrzenie syna, Megan zacisnęła rękę na jego dłoni, próbując dodać mu odwagi. Poskutkowało.

- Marynarzem - odparł chłopiec. - Już prowadziłem „Żeglarza”.

- Doskonale! - Starsza pani podniosła kieliszek. - Bo nie cierpię nierobów i leni. No, jedz. Zupa wprawdzie jest niesłona, ale ciebie trzeba trochę podtuczyć.

Jęknąwszy w duchu, Coco zadzwoniła po drugie danie.

- Ot, i cała ciotka Colleen - rzekła Lilah, bujając się na fotelu i patrząc, jak mała Bianca żarłocznie ssie jej pierś.

- Sprawia wrażenie dość... - Megan, która wymknęła się za karmiącymi matkami z salonu, przez chwilę szukała odpowiedniego słowa - dość niezwyklej osoby.

Lilah parsknęła śmiechem.

- Jest wścibska, nieznośna, czasem potwornie irytująca, ale wszyscy ją bardzo kochamy.

Siedząca na sąsiednim bujaku Amanda westchnęła.

- Jak tylko usłyszysz o księdze Fergusie, przyczepi się do Megan.

- I nie da jej spokoju - dorzuciła C C , tuląc Ethana.

- Będzie nudziła, marudziła, zasypywała ją pytaniami - dodała Suzanna, która zmieniała Christianowi pieluchę.

- O Boże - przeraziła się Megan.

- Nie będzie tak źle. - Suzanna położyła synka do łóżeczka. - Zresztą zawsze możesz liczyć na naszą pomoc.

- Słuchajcie, skoro mowa o księdze. Zrobiłam odbitki kilku stron, które mogą was zainteresować. Fergus wszystko notował, wpływy, wydatki i tak dalej. Między innymi sporządził, pewnie do celów ubezpieczeniowych, spis biżuterii swojej żony.

- Wymienia szmaragdy? - Amanda popatrzyła pytająco na Megan. - Boże! - zawołała, gdy ta skinęła głową. - Ileż godzin przeglądaliśmy papiery, usiłując trafić na jakiś ślad. Na wzmiankę, że istniały.

- W księdze figuruje mnóstwo innych rzeczy, naszyjników, pierścionków, bransolet, które w owym czasie warte były setki tysięcy dolarów.

- Fergus prawie wszystko sprzedał - wyjaśniła cicho C C - Znalazłyśmy pokwitowania. Pozbył się wszystkiego, co mu przypominało Biankę.

- Wciąż trudno nam się z tym pogodzić - powiedziała Lilah. - Nie chodzi o pieniądze, choć one też by się przydały. Chodzi o pamiątki, o dziedzictwo przekazywane z pokolenia na pokolenie.

- Przykro mi.

- Nie przejmuj się nami, Meg. - Amanda wstała z fotela, by położyć śpiacą Delię do kołyski. - Po prostu... sama nie wiem, czujemy jakąś dziwną więź z Bianką.

- Ja też ją czuję - przyznała Megan. - Może dlatego, że Bianca stale przewija się w rozmowach? A może dlatego, że codziennie spogląda na nas z portretu w holu? - Roześmiała się speszona. - Czasem idąc korytarzem, mam wrażenie, że zaraz się na nią natknę. Że jest tuż obok.

- Bo pewnie jest - oznajmiła Lilah.

- Najmocniej panie przepraszam... - W drzwiach świetlicy pojawił się Nathaniel. Obecność niemowląt i karmiących matek bynajmniej go nie peszyła.

Lilah rozciągnęła usta w uśmiechu.

- Witaj, przystojniaku. Co cię sprowadza w nasze strony?

- Przyszedłem po damę, z którą się umówiłem.

Kiedy zbliżył się do Megan, ta obruszyła się.

- Wcale się z tobą nie umawiałam.

- A spacer? Zapomniałaś?

- Nie mówiłam, że...

- Jest wymarzony wieczór na przechadzkę - powiedziała Suzanna, tuląc do piersi Christiana.

- Muszę położyć Kevina spać. - Megan nie dawała za wygraną.

- Już go położyłem - stwierdził Nathaniel, delikatnie popychając ją w kierunku drzwi.

- Ty?

- Skoro zasnął na moich kolanach, uznałem, że przeniosę go do sypialni - wyjaśnił, po czym zwrócił się do Suzanny. - Aha, Holt kazał ci powiedzieć, że dzieciaki są gotowe do drogi.

- Już idę. - Odczekawszy, aż Megan i Nate znajdują się poza zasięgiem słuchu, popatrzyła na siostry. - No i co?

Amanda skinęła z zadowoleniem głową.

- Wszystko toczy się po naszej myśli.

- Też tak uważam - rzekła C C , pochylając się nad Ethanem. - Choć kiedy Lilah wpadła na pomysł, żeby tych dwoje wyswatać, w pierwszej chwili uznałam, że całkiem jej odbiło.

- Nigdy się nie mylę. - Lilah westchnęła cicho; nagle oczy się jej zaświeciły. - Z tego okna będzie ich widać!

- Chcesz podglądać? - spytała Amanda. - Świetny pomysł!

Stali na trawniku opromienieni srebrzystym blaskiem księżyca.

- Komplikujesz sprawy, Nate.

- Upraszczam. Cóż może być prostszego niż spacer w miłym towarzystwie?

- Ale oczekujesz czegoś więcej.

- Owszem. Na razie jednak staram się dostosować do twojego tempa. - Pocałował ją w rękę. - Mam silną potrzebę bycia blisko ciebie. Nic na to nie poradzę.

- To nie ma sensu, Nate. - Marzyła o tym, aby choć na jeden dzień, choć na godzinę, wymazać przeszłość,

stać się kimś innym. - Mam багаż przykrych doświadczeń. Noszę w sobie urazy, lęki, niepewności. Ale jestem mądrzejsza niż kiedyś. I nie pozwolę się znów skrzywdzić.

- Nikt cię nie skrzywdzi. - Obejmując ją w pasie, zadarł głowę. - Spójrz, jaki wielki księżyc. Widać też Wenus... O, tam! - wskazał palcem. - A tu... - przesunął palec w bok - świeci gwiazdozbiór Oriona, obok zaś Bliźnięta. Widzisz?

Patrzyła z zafascynowaniem na jaskrawe punkciki znaczące czerń nieba. I nagle uzmysłowiła sobie, że Coco miała rację, opisując Nathaniela jako pełnego tajemnic romantyka. Najgorsze było to, że ten tajemniczy romantyk szalenie się jej podobał. Kiedy tak stała na skalistym wybrzeżu, wsłuchując się w szept wiatru, w szum fal i ten cudowny hipnotyczny głos, serce waliło jej jak oszalałe.

Miała ochotę śpiewać, tańczyć, żyć.

- Zamknij oczy - szepnął, muskając wargami jej włosy. - Jeżeli mocno się skupisz, usłyszysz, jak gwiazdy oddychają.

Spełniła jego polecenie. Oprócz szumu wiatru słyszała cichutki szelest liści i bicie swego serca.

- Jak ty to robisz, Nate? Dlaczego przy tobie nogi mam jak z waty?

- Nie wiem, moja miła. - Obrócił ją twarzą do siebie, po czym delikatnie pocałował, najpierw w usta, potem w skroń, czoło, policzek i znów w usta. - A co z bólem głowy?

- Już prawie minął.

- To dobrze. Nie, nie otwieraj oczu. Pocałuj mnie.

Czy mogła odmówić, gdy drżała z podniecenia? Postanowiła się nie bronić, lecz dać wyraz swym pragnieniom. Tylko ten jeden raz, obiecała sobie. Tylko dzisiaj - wieczoru.

Była taka słodka; z początku nieśmiała, potem coraz bardziej namiętna. Z całej siły powstrzymywał się, by nie rzucić jej na ziemię i...

- Pragnę cię, Megan. Tak strasznie cię pragnę...

- Wiem, Nate. Chciałabym... - Wtuliła twarz w jego ramię. - Ale nie potrafię. Nie...

- Ciii. - Ujął ją za brodę. - Ja też bym chciał. - Pocałował ją lekko w usta. - Boże, jakie to trudne. - Cofnął się krok. - Lepiej wracajmy do środka.

Położyła dłoń na jego piersi.

- Jesteś pierwszym mężczyzną, z którym... który mnie pociąga, odkąd Kevin przyszedł na świat.

- O Jezu, nie dobijaj mnie! - Objąwszy ją ramieniem, ruszył ścieżką w stronę domu.

- Jeszcze nigdy nie czułam tak silnego podniecenia...

- Jeśli natychmiast nie zamilknie - powiedział ochryple - zaraz zaciągnę cię w krzaki.

Zadrżała.

- Po prostu staram się być szczerą.

- Raczej kłam. Łatwiej będzie mi nad sobą panować.

- Nie umiem. - Przyjrzała mu się spod oka. - Nie chcesz wiedzieć, co czuję?

- W tym momencie? Niekoniecznie. Mam dość kłopotów z tłumieniem własnych uczuć. - Wziął głęboki

oddech. Nie pomogło; serce rozsadzało mu klatkę piersiową. Hm, tej nocy nawet nie ma co marzyć o śnie.

- Pożądanie nie pozwala spać.

- Co?

- Nic. To cytat. Z Roberta Browninga.

Powoli zbliżali się do Wież. Zanim jednak wyłonili się spomiędzy drzew, doleciały ich czyjeś wzburzone głosy.

- Coco - szepnęła Megan.

- I Holender. - Biorąc Megan za rękę, Nathaniel przyśpieszył kroku.

- Ty wredny, paskudny draniu! - krzyczała Coco.

- Jakim prawem mnie obrażasz?

Stali naprzeciw siebie - ona z dłońmi wspartymi na biodrach, on z rękami skrzyżowanymi na piersi.

- Nie obrażam; mówię, co myślę i co widzę. A widziałem...

- Źle widziałeś! Wcale nie przyszałam się do Trentona jak...

- Jak skorupiak do kadłuba statku - dokończył za nią Van Horne.

- Tańczyliśmy!

- Ha! Ty to nazywasz tańcem? Bo tam, skąd ja pochodzę, mówimy na to...

- Niels! - Nathaniel przerwał przyjacielowi, nim ten użył dosadniejszego określenia.

- No i widzisz? - Rumieniąc się po uszy, Coco wygadziła suknię. - Nie wstyd ci urządzać scenę?

- To tobie powinno być wstyd. Lepiłaś się do tego bogatego gogusia...

- Le... le... - W Coco wstąpiła furia. - Nigdy w życiu do nikogo się nie lepiłam! Jesteś podły!

- Bo mówię prawdę? Bo drażnią mnie...

- Przestańcie! - Z obawy że rzucą się na siebie z pięściami, Nathaniel wsunął się pomiędzy krewką parę. - Holender, co się z tobą dzieje? Upiłeś się czy co?

- Szklaneczką rumu? Nie żartuj! To ona się ubzdryngoliła. - Popatrzył na Coco. - A przynajmniej tak się zachowuje. Odsuń się, chłopcze. Jeszcze mam jej co nieco do wygarnięcia.

- Wszystko już wygarnąłeś.

- Nie słyszałeś, co powiedział? Odsuń się, chłopcze.

Trzy pary oczu skierowały się na Coco. Stała z dumnie uniesioną głową; oczy jej lśniły, rumieńce zdobiły policzki.

- Wolę osobiście załatwić tę sprawę.

Megan położyła rękę na jej ramieniu.

- Coco, nie sądzisz, że lepiej by było, gdybyś wróciła do domu?

- Nie, nie sądzę! - warknęła Coco, po czym zreflektowawszy się, dodała łagodniejszym tonem: - Kochanie, wy idźcie, ty i Nate. Pan Van Horne i ja wolimy dokończyć rozmowę w cztery oczy.

- Ale...

- Nathanielu, zabierz Megan do środka.

- Rozkaz, szefowo.

- Myślisz, że można zostawić ich samych? - spytała po chwili Megan, kiedy zbliżali się do tarasu.

- A chcesz się do tego mieszać?

Megan obejrzała się za siebie.

- Nie - przyznała z uśmiechem. - Zdecydowanie nie.
Kiedy była pewna, że nikt ich nie słyszy, Coco ponownie zwróciła się do Holendra.

- No dobrze. Masz mi coś więcej do powiedzenia?
- Mnóstwo. - Van Horne postąpił do przodu. - Przekaż swemu bogatemu przyjacielowi, żeby trzymał łapy przy sobie.

Serce zabiło jej mocniej.

- A jeśli tego nie zrobię?

Holender wydał z siebie niski, gardłowy dźwięk.

- Wtedy połamię mu kości.

Przeszył ją dreszcz.

- Naprawdę?

- Chcesz się przekonać? - spytał, chwytając ją brutalnie za ramię.

Padła mu w ramiona. Tym razem wiedziała, co nastąpi. Po paru minutach, oszołomieni i zdyszani, przerwali pocałunek. Czasem, pomyślała Coco, następny krok należy do kobiety. Zwilżyła wargi.

- Mój pokój znajduje się na piętrze.

- Wiem. - Kąciki warg mu zadrżały. - Mój jest bliżej.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Nie miała zwyczaju śnić na jawie. Śnić można w nocy, gdy leży się w łóżku, nie zaś w ciągu dnia, gdy za oknem wisi mgła, a po szybie płyną krople, które wyglądają jak łzy. A jednak siedziała z brodą wspartą na dłoni, niepomna cicho szumiącego komputera, i rozmyślała o zawieszonyj na niebie tarczy księżyca, o kwiatkach skąpanych w mlecznym blasku, o dochodzącym z oddali ryku fal.

Jeden jedyny raz była zakochana i ta miłość okazała się iluzją, kłamstwem. Drugi raz nie chciała doświadczyć czegoś podobnego. Uodporniła się na męskie wdzięki. Mężczyźni jej nie interesowali. Dopóki nie pojawił się Nate.

Nie wiedziała, co ma robić, jak postępować. Nie była już naiwną nastolatką, która potrzebuje obietnic czy słów zachęty. Była dorosłą kobietą, której pragnienia zostały rozbudzone. O ileż byłoby łatwiej, gdyby na samą myśl o Nathanielu serce nie biło jej szybciej. Tak, gdyby mogła przespać się z nim kilka razy, nie angażując się emocjonalnie... To powinno być proste. Dwoje dorosłych ludzi plus wzajemny pociąg fizyczny równa się przyjemność.

- Megan?

- Hm? - Odwróciła się w stronę głosu. Na widok stojącej w drzwiach Suzanny oprzytomniała. - Nie słyszałam, jak wchodzisz.

- Byłaś gdzieś daleko myślami.

Megan spuściła spuszone oczy, jakby została przyłapaną na gorącym uczynku.

- To prawda. - Przesunęła papiery na biurku. - Deszcz tak na mnie działa.

- Na mnie też. Nastrojowo. Obawiam się jednak, że turyści i dzieci nie podzielają naszego zdania.

- Tak. Kevin był zachwycony mgłą, dopóki nie powiedziałam mu, że we mgle nie może wspinać się po skałach.

- A ja kazałam dzieciakom przełożyć plan podboju Fortu O'Riley na inny dzień. Teraz cała trójka siedzi u Kevina i broni Ziemi przed atakiem przybyszów z kosmosu. Uwielbiam obserwować ich razem.

- Ja też. Kto by pomyślał, że tak się zaprzyjaźnią?

Suzanna przysiadła na krawędzi biurka.

- Jak praca?

- Dobrze. Na razie wprowadzam wszystko do komputera. Ale niedługo skończę, bo Amanda zostawiła w papierach idealny porządek.

- Twój przyjazd... nawet nie wiesz, jakie to dla niej odciążenie. Bywało, że prowadziła księgowość, odbierała telefony, a jednocześnie karmiła piersią Delię.

Megan uśmiechnęła się.

- Nawet to sobie wyobrażam. Ona jest świetnie zorganizowana.

- Tak. Moja siostrzyczka uwielbia żonglerkę. Zwykle odbijanie piłki zawsze ją nudziło.

- Wiesz, Suzanne.. - Megan podniosła ołówek i zaczęła się nim bawić. - Strasznie się bałam tej przeprowadzki. Tego, że nie poradzę sobie w pracy, ale jeszcze bardziej tego, że coś zrobię czy nieopatrznie powiem, co mogłoby cię urazić.

- Ależ, Megan, sądziłam, że przeszłyśmy nad tym co było do porządku dziennego.

- Ty przeszłaś. - Wzdychając ciężko, Megan odłożyła ołówek. - Mnie jest trudniej. Może dlatego, że byłam tą trzecią.

- Ty? A może jednak ja?

Megan pokręciła przecząco głową.

- Nie, ja. Ale skłamałabym, mówiąc, że żałuję. Gdybym nie wdała się w romans z Baxterem, nie miałabym Kevina. - Popatrzyła Suzannie prosto w oczy. - Wiem, że traktujesz go jak członka rodziny. I że go kochasz.

- Bardzo.

- Ja twoje dzieci również.

Suzanna zacisnęła rękę na dłoni Megan.

- Słuchaj, chciałam cię spytać, czy możemy zabrać z sobą Kevina. Zamierzam popracować dziś w szklarni. Aleks z Jenny lubią mi tam towarzyszyć, głównie z powodu pizzy, którą tradycyjnie zamawiamy na lunch.

- No pewnie. Kevin będzie zachwycony. Wczoraj nie mógł mi darować tego krawata.

- Ja z Aleksem też musiałam stoczyć bój. - Na wspomnienie przygotowań do wyjścia w oczach Suzanny pojawiły się wesołe iskierki. - Mam nadzieję, że

kochana Coco nie planuje w najbliższym czasie więcej uroczystych kolacji. A propos Coco, widziałaś ją dzisiaj?

- Tylko przez chwilę, zaraz po śniadaniu. Bo co?

- Nuciła?

- Tak. - Megan zadumała się. - Od kilku dni chodzi i nuci pod nosem.

- No właśnie. Pięć minut temu minęłam ją w holu. Znowu nuciła. I pachniała perfumami. Zastanawiałam się, czy ojciec Trenta... - Suzanna przygryzła wargę. - Ponieważ wrócił do Bostonu, myślałam, że... To uroczy facet, wszyscy go lubimy, ale... był czterokrotnie żonaty i... sama widziałaś, że ogląda się za każdą spódniczką.

- Widziałam. - Przez moment Megan toczyła wewnętrzną walkę, w końcu podjęła decyzję. - Wydaje mi się jednak, że to nie on zawrócił Coco w głowie.

- A kto?

- Holender.

- Nasz Holender?

- Tak. Chyba się w sobie zadurzyli.

- Coco i Van Horne? Niemożliwe. Przecież ona ciągle go krytykuje, on stale na nią warczy. Kłóćą się, spierają... - Urwawszy nagle, przycisnęła rękę do ust. - O rany!

Przez kilka sekund wpatrywały się w siebie, z całej siły próbując zachować powagę, po czym obie zaczęły chichotać. Megan opowiedziała Suzannie o tym, jak przyłapała Coco i Holendra obejmujących się w kuchni, i o incydencie w ogrodzie.

- Mówię ci, iskry leciały! Z początku myślałam, że się pobija, a potem zrozumiałam, że... to coś w rodzaju tańców godowych.

- Hm. Myślisz, że oni naprawdę... że Coco...

- Nie wiem. - Megan uśmiechnęła się figlarnie. — Ale ostatnio bez przerwy nuci.

- Masz rację. - Suzanna zmarszczyła czoło. - Zanim ruszę do szklarni, chyba wstąpię na moment do kuchni. Sprawdzę, co się dzieje.

- Podzielisz się wrażeniami?

- Jasne. - Kręcąc z niedowierzaniem głową, skierowała się do drzwi. - Jak się udał wczorajszy spacer?

- Dziękuję, dobrze.

Suzanna przystanęła z ręką na klamce.

- Nathaniel to wspaniały facet.

- Skąd ta nagła zmiana tematu?

- Zmiana? Mówiliśmy o wzajemnym zauroczeniu.

- Otworzyła drzwi. - Do zobaczenia wieczorem.

Przez chwilę Megan wpatrywała się w drzwi. Boże, czy wszystko ma wypisane na twarzy?

Resztę ranka i kilka popołudniowych godzin spędziła na przeglądaniu rachunków hotelowych. Potem uznała, że w nagrodę przez godzinę postudiuje zapiski Fergususa. Zaciekawiała ją, ile w 1913 roku kosztowało utrzymanie koni i powozów, zdumiała wydatki na bal. Na marginesie Fergus napisał: „Wszystkie zaproszenia potwierdzone. Nikt nie śmiał odmówić. B. zamówiła kwiaty. Chciała skromniejsze, ja nalegałem na duże bukiety. Stanęło na moim. B. wystąpi w szmaragdach, a nie -jak

to sobie wymyśliła - w kolii z pereł. Niech ludzie zobaczą, do czego doszedłem. Żona powinna słuchać męża i znać swoje miejsce".

Miejsce Bianki, pomyślała smutno Megan, było przy boku Christiana. Szkoda, że dopiero śmierć ich połączyła.

Pragnąc rozproszyc ponure myśli, otworzyła księgę na ostatnich stronach. Widniejące tu rzędy cyfr stanowiły dla niej zagadkę. Nie wiedziała, co oznaczają ani do czego się odnoszą. Może były to numery kont? Albo ceny akcji lub papierów wartościowych?

Pomyślała sobie, że nie zaszkodziłoby zajrzeć do biblioteki i poszperać trochę w dawnych rocznikach. Po drodze mogłaby wstąpić do „Bryzy”, zostawić sprawozdanie za kwiecień, a przy okazji wziąć kolejne rachunki.

Jeżeli spotka Nathaniela... to go spotka. Nic na to nie poradzi.

Jazda w deszczu sprawiała jej przyjemność. Miasteczko było wyludnione; większość turystów szukała rozrywki pod dachem. Gdzeniegdzie przemykała pojedyncza postać schowana pod parasolem. Woda w zatoce miała szarawy odcień, powietrze było przesiąknięte wilgocią.

Megan rozejrzała się wkoło. Korciło ją, by jechać dalej, krętą drogą do parku narodowego albo malowniczą szosą wzdłuż wybrzeża.

Może jeszcze zdążę, pomyślała. Może szybko załatwię sprawy służbowe, a potem pozwiedzam okolicę.

Może nawet poproszę Nate'a, żeby dotrzymał mi towarzysztwa.

Ale przed siedzibą firmy nie zauważyła jego samochodu. Może zaparkował za rogiem, poza zasięgiem jej wzroku? Chwyciwszy torbę, wysiadła z auta, po czym wbiegła do biura. Wewnątrz było pusto.

Poczuła bolesny zawód. Aż ją samą zdumiało, jak bardzo liczyła na to, że spotka Nate'a. Dopiero po chwili usłyszała dochodzący zza ściany odgłos radia. Widocznie ktoś pracował w sklepie lub warsztacie na tyłach firmy. Przy takiej pogodzie trudno wypływać w morze z turystami.

Nie zamierzała sprawdzać, kto tam jest. Przyjechała tu w konkretnym celu. Wyjęła z torby dokumenty i położyła na zawalonym papierami biurku. Oczywiście kiedyś z jednym z dwóch właścicieli będzie musiała przejrzeć sprawozdanie z drugiego kwartału i spytać o przewidywane wydatki na trzeci oraz czwarty kwartał.

W pokoju panował straszliwy bałagan. Nie rozumiała, jak można pracować w takich warunkach. Ona nie umiałaby się skupić. Kusiło ją, by zaprowadzić porządek, ale zrezygnowała z pomysłu. Zamiast tego podeszła do segregatora. Weźmie potrzebne rachunki, a potem... tak, może potem zajrzy na zaplecze, tam gdzie gra radio.

Odwróciła się na dźwięk otwieranych drzwi. W progu stał obcy mężczyzna.

- Słucham pana?

Mężczyzna wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. Jego uśmiech wydał się jej znajomy.

- Witaj, Megan.

Miała wrażenie, jakby czas się zatrzymał, a potem zaczął się wolno cofać. Rok, pięć lat, sześć, dziesięć. Dziesięć lat temu była młodą, beztroską dziewczyną wierzącą w miłość ód pierwszego wejrzenia.

- Baxter - szepnęła.

Zdziwiła się, że go nie rozpoznała. W ciągu tych dziesięciu lat prawie wcale się nie zmienił.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu. Od wielu dni usiłował dopaść ją samą. W końcu, zdesperowany, uznał, że nie może dłużej czekać. Oczywiście - ponieważ dbał o swoje dobre imię - najpierw upewnił się, czy nikogo poza nią tu nie ma. Chciał raz na zawsze wyjaśnić kilka ważnych spraw. Na spokojnie. W cztery oczy.

- Jesteś jeszcze ładniejsza niż dawniej. - Miał nad nią przewagę. Bądź co bądź od kilku tygodni szykował się do tego spotkania. - Muszę przyznać, że służy ci dojrzałość: straciłaś dziecięcą pulchność, rysy ci wyszlachetniały...

Podszedł bliżej. Nie drgnęła; nie była w stanie wykonać najmniejszego ruchu. Nawet kiedy wyciągnął rękę i pogładził ją po policzku, tak jak przed laty, nie cofnęła się, nie odwróciła twarzy.

- Zawsze byłaś piękna, Megan. Miałaś w sobie taką uroczą naiwność, której trudno się oprzeć.

Wzdrygnęła się z obrzydzeniem.

- Co tu robisz, Baxter? - Całe szczęście, pomyślała, że nie wzięła z sobą Kevina.

- Właśnie chciałem cię spytać o to samo. Co robisz w BarHarbor?

- Mieszkam tu. Mieszkam i pracuję.
- Znudziła ci się Oklahoma? Postanowiłaś zmienić otoczenie?

Wiedział, że przekupstwem nic nie osiągnie. O'Rileyowie nie należeli do biednych. Najlepiej zastosować groźbę. Przysunął się bliżej. Megan cofnęła się lekliwie.

- Jeśli myślisz, że jestem głupi, popełniasz błąd.

W chwili gdy poczuła za plecami segregator, uświadomiła sobie, że już nie jest przerażoną nastolatką. Jest dojrzałą, odpowiedzialną kobietą, która nie pozwoli sobie pomiać.

- Zostaw mnie w spokoju, Baxter. Moja osoba naprawdę nie powinna cię interesować.

- Ale interesuje. Wolałem, jak mieszkałaś w Oklahomie. Wolałem, jak tam chodziłaś do pracy i tam wychowywałaś syna.

Spojrzenie miał lodowate. Dziwne, pomyślała, że nigdy wcześniej tego nie zauważyła.

- Przykro mi, ale zupełnie nie obchodzą mnie twoje preferencje.

- Sądziłaś, że ci się uda? Że nie dowiem się, dokąd wyjechałaś? Że postanowiłaś skumać się z moją byłą żoną i jej rodziną? - Pytania zadawał cichym, lekko karcącym tonem. - Nie wiedziałaś, że przez te wszystkie lata śledziłem każdy twój krok?

- Nawet mi to do głowy nie przyszło. Po co miałbyś to robić? Kevin i ja nigdy nic dla ciebie nie znaczyliśmy.

- Długo czekałaś, prawda? - Zamilkł. Z trudem hamował wściekłość. Nie zamierzał pozwolić, aby głupi błąd popełniony w młodości zniszczył to, na co tak

ciężko pracował. - Nie przypuszczałem, że jesteś aż tak cwana.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Dobra, dobra. Nie wierzę, że nie słyszałaś o mojej kampanii wyborczej. Nie uda ci się ta żałosna próba zemsty.

Głos miała zimny, opanowany, mimo silnych emocji, jakie nią targały.

- Nie chcę się powtarzać, Baxter, ale naprawdę nie wiem, o czym mówisz. Żyjemy w dwóch różnych światach. Każde z nas poszło własną drogą, tak jak sobie zażyczyłeś.

- Aha! Więc taką obrałaś taktykę? - Z jego głosu przebijała złość. Zrozumiał, że groźbą i straszeniem nie osiągnie celu. - Młoda niewinna dziewczyna uwiedziona i zdradzona? Bidulka zostaje sama, w ciąży, ze złamanym sercem.

- To nie żadna taktyka. To prawda.

- Owszem, Megan, byłaś młoda. Ale czy byłaś niewinna? - Błysnął zębami w uśmiechu. - Co do tego miałbym poważne zastrzeżenia. Nie stawiałaś oporu, sama do mnie lgnęłaś...

- Bo ci wierzyłam! - krzyknęła, tracąc panowanie nad sobą. - Wierzyłam, że mnie kochasz. Że chcesz się ze mną ożenić. A ty to wykorzystałeś. Nie miałeś najmniejszego zamiaru wiązać się ze mną na stałe. Byłeś zareczony z inną, a mnie potraktowałeś jak zabawkę.

- Miękką, pluszową... - Zacisnął ręce na jej ramionach. - Byłaś bardzo kuszącą zabaweczką. Ładną, pończotną...

- Zabierz łapy.

- Milcz i słuchaj. Wiem, dlaczego się tu przenieśliś. Małe miasteczko, wszyscy się znają. Najpierw zaczną krążyć plotki o uwiedzionej sierotce, a potem jakiś goriwy dziennikarz opíše całą historię w gazecie. Po moim rozwodzie z Suzanną ta wiedźma Colleen próbowała mnie zniszczyć. - Nienawidził tej staruchy! - Ale ją przechytryłem. Mając na względzie dobro Aleksa i Jenny, pozwoliłem Bradfordowi je adoptować. Bezinteresownie zrezygnowałem ze swoich praw rodzicielskich, żeby dzieci dorastały w tradycyjnej rodzinie.

- One też nic dla ciebie nie znaczyły, prawda? Aleks i Jenny byli ci równie obojętni jak Kevin?

- Wiedźma Colleen nie ma jednak powodu, żeby walczyć o ciebie - kontynuował Baxter, jakby Megan nie zadała mu pytania. - Oznajmisz więc siostrom Calhoun, że tęsknisz za swoimi bliskimi, i wrócisz do Oklahomy.

- Nigdzie nie... - zaczęła, po czym jęknęła z bólu, kiedy wbił palce w jej ramiona.

- Wrócisz do swojego dawnego, nudnego życia. Zanim pojawią się plotki, zanim ukażą się artykuły w prasie. Jeżeli zrobisz cokolwiek, żeby mi zaszkodzić, gorzko tego pożałujesz. Wynajmę dziesiątki facetów, którzy zeznają pod przysięgą, że z tobą spali. Wyjdiesz na bezczelną oportunistkę, na dziwkę, która urodziła bękart i która teraz szuka dla niego tatusia.

Nie wierzyła własnym uszom. Rozwścieczyła ją nie tyle sama groźba, co słowo „bękart” w odniesieniu do Kevina.

Zanim zdała sobie sprawę w tego, co robi, podniosła rękę i wymierzyła Baxterowi siarczysty policzek.

- Nigdy więcej nie nazywaj tak mojego syna.

Kiedy uderzył ją w twarz, nie czuła bólu ani zdziwienia. Wstąpiła w nią furia.

- Uważaj, Megan - powiedział, oddychając ciężko.

- Nie drażnij mnie, bo tylko na tym ucierpisz. Ty i twój chłopak.

Niczym lwica broniąca małych rzuciła się na wroga. Zaskoczony nieoczekiwanym atakiem, Baxter Dumont poleciał do tyłu. Zadała jeszcze dwa ciosy, zanim ją obezwładnił.

- Ten sam ognisty temperament... - Przyciągnął ją do siebie. Był zły, ale i podniecony. - Na szczęście pamiętam, jak go najlepiej okiełznać.

Oswobodziwszy ramię, wymierzyła mu kolejny cios. Kiedy Baxter chwycił ją za nadgarstki i przyparł ciałem do ściany, ugryzła go. Zawył z bólu. W tym momencie drzwi się otworzyły i do środka wpadł Nathaniel.

Podniósł Baxtera Dumonta z taką łatwością, jakby ten nic nie ważył. Megan przeraziła się jego spojrzenia, nienawiści w jego oczach.

- Nate...

Z całej siły cisnął Baxtera na ścianę.

- Dumont, prawda? Podobno lubisz znęcać się nad słabszymi?

- Kim, do diabła, jesteś? - Baxter starał się nadać swemu głosowi groźne brzmienie.

- Słusznie. Powiniennem się przedstawić. W końcu masz prawo znać nazwisko faceta, który gołymi rękami

zamierza wyrwać ci serce z piersi. - Z satysfakcją odnotował, że przeciwnik zbladł. - Nazywam się Fury. Nathaniel Fury. Zapamiętasz, prawda? - Huknął go pięścią w lewą nerkę.

- Pożałujesz - wycharczał Dumont. - Tę noc spędzisz w pudle.

- Nie sędzę. - Kątem oka Nate zobaczył, jak Megan się zbliża. - Nie podchodź - warknął.

Stanąła w pół kroku.

- Nate... proszę cię. Nie zabijaj go.

- Czy możesz mi podać choć jeden powód, dlaczego ten drań ma żyć?

Otworzyła usta, po czym zawahała się.

- Nie - odparła zgodnie z prawdą.

- Szczęściarz z ciebie, Dumont. Panna O'Riley nie chce, żebym cię zabił, a ja nie chcę sprawić jej przykrości. Najlepiej zostawmy sprawę losowi.

Wyszedł na zewnątrz, ciągnąc za sobą Baxtera, jakby ten był workiem piachu.

Megan rzuciła się do drzwi. Odetchnęła z ulgą na widok stojącego na przystani męża Suzanny.

- Holt! Zrób coś! - zawołała.

Holt Bradford wzruszył ramionami.

- Przykro mi, Fury był pierwszy. Wracaj, Meg, do środka, bo zmokniesz.

- Ale... On go nie zabije, co?

Przez chwilę Holt patrzył, jak jego przyjaciel wlecze Baxtera na koniec przystani.

- Chyba nie.

- Mam nadzieję, że nie umiesz pływać - mruknął

Nate, po czym pchnął Baxtera do wody. Zanim jeszcze rozległ się plusk, ruszył w kierunku Megan. - Chodźmy.

- Ale...

Zgarnął ją w ramiona.

- Na resztę dnia robię sobie wolne - rzekł, zwracając się do Holta.

- W porządku. - Z oczu Holta biła radość. - Do zobaczenia jutro.

- Nathaniel, nie możesz...

- Zamknij się, Meg. - Bezceremonialnie wrzucił ją do swojego kabrioletu.

Wyciągnęła szyję. Kiedy zobaczyła Baxtera wdrapującego się na pomost, sama nie była pewna, co czuje: ulgę czy rozczarowanie.

Potrzebował ciszy i spokoju, aby dojść do równowagi. Nienawidził sam siebie, kiedy uciekał się do przemocy. Może tym razem słusznie postąpił, może Dumont zasłużył na cięgi, mimo to przerażała go świadomość, do czego jest zdolny.

Wiedział, że gdyby Megan go nie powstrzymała, mógłby go zabić. Zazwyczaj panował nad sobą. W walce posługiwał się inteligencją, argumentami, ironią. Na ogół to wystarczało. Choć minęło wiele lat, odkąd ojciec uderzył go po raz ostatni, wciąż nie potrafił o tym zapomnieć.

Dopiero kiedy zaparkował samochód na podjeździe przed domem, przypomniał sobie, że nie zabrał z firmy Psa. No cóż, Holt na pewno zajmie się szczeniakiem.

Megan drżała na całym ciele. Niewiele się zastanawiając, ponownie zgarnął ją w ramiona.

- Nie...

- Cicho bądź. - Wniósł ją do środka i ignorując Ptaka, który zaskrzeczał na powitanie, ruszył po schodach na górę. W sypialni posadził Megan na fotelu, po czym podszedł do komody i zaczął grzebać w szufladzie. - Wyskakuj z mokrych ciuchów - powiedział, rzucając jej ciepły dres. - Ja zejdę na dół i zaparzę herbatę.

- Nathaniel...

- Rób, co mówię! - Zacisnął zęby. - Proszę cię - dodał łagodniej.

Nie trzasnął drzwiami, a kiedy zbiegł na dół, nie walnął pięścią w stół, choć miał na to ochotę. Zamiast tego postawił czajnik na ogniu, a z szafki pod oknem wyjął butelkę koniaku. Po chwili wahania przytknął butelkę do ust i pociągnął łyk.

Kiedy usłyszał, jak Ptak gwizdże przeciągle, po czym zaprasza Megan w swoje skromne progi, czym prędzej doprawił herbatę koniakiem i postawił kubek na stole.

Megan tkwiła niepewnie w drzwiach, blada, w obszernej bluzie i za dużych spodniach.

- Usiądź, wypij. Poczujesz się lepiej.

- Dobrze się czuję - powiedziała, ale posłusznie usiadła. Wzięła kubek w obie ręce. Po pierwszym łyku wciągnęła głęboko powietrze. - Myślałam, że to herbata...

- Bo to jest herbata, tyle że lekko doprawiona. - Zajął miejsce naprzeciwko. - Czy Dumont sprawił ci ból?

Spuściła oczy. W lśniącym drewnianym blacie ujrzała odbicie własnej twarzy.

- Tak.

Była spokojna, przynajmniej tak jej się wydawało. Spokój prysł, kiedy Nate położył rękę na jej dłoni. Wtedy nie wytrzymała; położyła głowę na stole i zalała się łzami.

Opłakiwała swoje dziewczęce marzenia i niespełnione nadzieje. Nate czekał; nic nie mówił, nie pocieszał jej, po prostu czekał.

- Przepraszam., - Ręka głaszcząca ją po włosach działała kojąco. - Wszystko stało się tak nagle... nie spodziewałam się... - Podniosła głowę, wytarła oczy. Po chwili znów się zaszkliły. - Kevin! O Boże! Jeżeli Bax...

- Holt zaopiekuje się Kevinem. Baxter nie zdoła się do niego zbliżyć.

- Masz rację. - Dreszcz wstrząsnął jej ciałem. - Zresztą Baxter głównie chciał mnie nastraszyć.

- I nastraszył?

Popatrzyła mu prosto w oczy.

- Nie. Sprawił mi ból, rozżłościł mnie, uzmysłowił mi, jaką byłam idiotką, że się z nim zadawałam, ale nie przestraszył mnie.

- Dzielna dziewczynka.

- Za to ja go wystraszyłam. Dlatego mnie dziś odszukał. Boi się.

- Czego?

- Przeszłości. Konsekwencji. - Wciągnęła powietrze. Nathaniel pachniał tytoniem i słoną morską bryzą.

- Sądzi, że za moim przyjazdem do Bar Harbor kryje się chęć zemsty. Podobno przez cały czas śledził każdy mój ruch. Nie miałam o tym pojęcia.

- Nigdy dotąd się z tobą nie kontaktował?

- Nie. Pewnie czuł się bezpieczny, kiedy mieszkałam w Oklahomie, z dala od Suzanny. Teraz, kiedy się tu przeniosłam, a Kevin codziennie widuje się z Aleksem i Jenny... Ten dureń nie rozumie, że to nie ma z nim nic wspólnego.

Przysunęła kubek do ust. Nathaniel o nic nie pytał; po prostu trzymał ją za rękę. Może dlatego postanowiła mu o wszystkim opowiedzieć.

- Miałam siedemnaście lat. Podczas ferii zimowych wybrałam się z koleżankami do Nowego Jorku. Po raz pierwszy byłam tak daleko od domu. Właśnie tam spotkałam Baxtera. Miasto zrobiło na mnie niesamowite wrażenie.

- Na mnie też.

- Te tłumy ludzi, drapacze chmur, ruch, feeria barw. Czegoś takiego nigdy wcześniej nie widziałam. Byłam zachwycona. Spacerowałam Piątą Aleją, potem szłam na kawę do małej knajpki w Greenwich Village i gapiłam się na przechodniów. Bez sensu, nie?

- Dlaczego bez sensu?

Wzruszyła ramionami.

- Baxtera poznałam na jakimś przyjęciu. Był starszy ode mnie, co mi szalenie imponowało, i wyglądał jak gwiazdor filmowy: elegancki, przystojny, światowy. Sporo podróżował, bywał w Europie... - Urwała. - Żałosna jestem, prawda?

- Nie musisz mi o nim opowiadać.
- Muszę. Chcę. Wytrzymasz?
- Oczywiście. - Uścisnął jej rękę.
- Dobrze. A więc... mówił to, co chciałam usłyszeć.

Był miły, kulturalny. Nazajutrz przysłał mi tuzin róż oraz zaproszenie na kolację.

Na moment zamilkła. Poprawiła klamerkę we włosach. Ze zdziwieniem zdała sobie sprawę, że wracanie myślami do przeszłości jest mniej bolesne, niż sądziła. Czuła się trochę rozdwojona, jakby była aktorem, a jednocześnie widzem. Osobą zaangażowaną, a zarazem bezstronnym obserwatorem.

- Poszłam. W blasku świec patrzyliśmy sobie w oczy, tańczyliśmy. Czułam się strasznie dorosła. Zaczęliśmy się codziennie widywać. Chodziliśmy do muzeów, do teatrów, na spacer. Powiedział, że mnie kocha, i ofiarował mi pierścionek: dwa złączone serca wysadzane brylantami. Ja ofiarowałam mu siebie.

Czekała na reakcję. Nie doczekawszy się żadnej, po chwili zebrała się na odwagę, by kontynuować.

- Obiecał, że przyjedzie do Oklahomy i zaplanujemy naszą przyszłość. Oczywiście nie pojawił się. Z początku zwlekał. Kiedy zadzwoniłam, tłumaczył, że coś mu wypadło. W końcu przestał odbierać telefon. Kiedy odkryłam, że jestem w ciąży, zostawiłam mu wiadomość na sekretarce. Nie odezwał się. Napisałam list. Nie odpowiedział. Potem dowiedziałam się, że Baxter ma narzeczoną; że był zaręczony przez cały ten czas, kiedy spotykał się ze mną w Nowym Jorku. Z początku nie mogłam w to uwierzyć, później wpadłam w depresję.

Moi rodzice zachowali się wspaniale. Gdyby nie oni, chybabym sobie nie poradziła. Po urodzeniu Kevina usiłowałam jeszcze raz skontaktować się z Baxterem. Chciałam go poinformować, że ma syna. Chciałam też, żeby Kevin znał ojca. Żeby od czasu do czasu się widywali... - Zadumała się. - Baxter nie okazał najmniejszego zainteresowania dzieckiem. Zareagował wrogością i oburzeniem, jakby sprawa go nie dotyczyła. Podjęłam decyzję, że sama wychowam syna. Dziś przekonałam się, że słusznie postąpiłam.

- Ten łobuz nie zasługuje na was.

- To prawda - przyznała z uśmiechem.

Teraz, gdy wszystko z siebie wyrzuciła, czuła się wypompowana. Ale i wolna.

- Dzięki, że pośpieszyłeś mi na ratunek.

- Drobiazg. Już nigdy więcej Dumont cię nie tknie.

- Podniósł jej dłoń i przysunął do ust. - Ani ciebie, ani Kevina. Wierz mi.

- Wierzę. - Patrzyła Nate'owi w oczy. Serce biło jej coraz szybciej. - Kiedy niosłeś mnie na górę, byłam pewna, że... Po prostu nie sądziłam, że wrócisz na dół, żeby zaparzyć herbatę.

- Nie chciałem cię skrzywdzić. Wciąż drżałaś ze zdenerwowania, a we mnie też się wszystko gotowało...

- A teraz? Już ochłonałeś? - spytała.

- Prawie. - Wstał i przyciągnął ją do siebie. - Czy to zaproszenie?

Czekał na jej zgodę lub odmowę. Uświadomiła sobie,

że tym razem nie będzie uwodzenia, obietnic, fałszywych zapewnień.

- Tak - odparła, przywierając ustami do jego ust.

Roześmiała się nerwowo, kiedy wziął ją na ręce.

- Zapomnisz o nim - oznajmił cicho. - O nim i o całym świecie. Będziemy tylko my, ty i ja.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Wniósł ją na piętro z taką łatwością, jakby ważyła tyle co puch. Lub mgła ścieląca się nad miasteczkiem.

Bała się - tego, że popełni błąd, że zrobi coś nie tak, że sprawi Nate'owi zawód.

Rozejrzała się po pokoju. Zobaczyła drewnianą komodę, wazon z bukietem polnych kwiatów, nie zasłonięte okno, przez które wpadało do środka przesiąknięte wilgocią powietrze, oraz łóżko, duże, solidne, z żelaznym wezgłowieciem i czystą bawełnianą pościelą.

Nogi miała jak z waty. Stała zdenerwowana, lecz i podniecona, czekając, aż Nate wykona pierwszy ruch.

- Znów drżysz - powiedział.

Miał ochotę pchnąć Megan na łóżko, kochać się z nią szybko, namiętnie. Ale powstrzymał się; a nuż się go wystraszy? Wolał nie ryzykować.

Delikatnie gładził ją po twarzy, po szyi, ramionach i plecach, dopóki się nie uspokoiła.

- Nathaniel...

- Wiesz, czego pragnę, Meg? - Całował jej palce, jeden po drugim. - Chcę widzieć, jak się odprężasz. Jak się rozpromieniasz. Jak przeżywasz rozkosz.

Wyciągnął klamerkę z jej włosów i położył na stoliku nocnym.

- W twoich oczach chcę ujrzeć pożądanie. Chcę słyszeć, jak w uniesieniu miłosnym wołasz moje imię. Chcę cię całować i pieścić. Marzę o tym, odkąd cię poznałem...

Powoli zbliżył usta do jej ust. Jęknęła cicho. Była uległa, gotowa na wszystko. Ściągnął jej bluzkę, zsunął stanik.

- Jesteś piękna, Megan. Skórę masz taką miękką, jedwabistą.

Ponieważ bał się, że ręce ma za duże, za szorstkie, pilnował się, aby nie sprawić jej bólu. W rezultacie jego dotyk był lekki i wyjątkowo czuły.

Oddychała coraz szybciej; po chwili urywany oddech przeszedł w jednostajny jęk. Nadzy, leżeli na łożku, rozkoszując się sobą. Nie sądziła, że można doświadczać takiego bogactwa doznań. Miała wrażenie, że unosi się na falach, które to kołyszają się łagodnie, to z hukiem rozbijają o brzeg. Nie zauważyła nadejścia burzy. Fale gniewnie się spieniły. Nie mogła złapać oddechu. Usiłowała wydostać się na powierzchnię, zanim będzie za późno.

- Nate... - Wbiła paznokcie w jego żebra. - Ja...

Zduślił jej słowa pocałunkiem. Ciało miała rozgrzane, wilgotne od potu. Raz po raz wstrząsały nią dreszcze.

Lubił czuć, jak kobieta przeżywa orgazm. Ale czegoś takiego jeszcze nigdy nie zaznał, satysfakcji tak ogromnej, rozkoszy tak potężnej.

I nagle usłyszał, jak Megan wymawia jego imię. Dołączył do niej; nie zdołał się dłużej powstrzymać.

Na zewnątrz wciąż padało. Wynurzając się z powrotem na powierzchnię, słyszała miarowe bębnienie deszczu o dach. Leżała bez ruchu, z ręką we włosach Nate'a. I z uśmiechem od ucha do ucha. Zaczęła cichutko nucić.

Nate podniósł głowę, po czym oparł się na łokciu.

- Co robisz?
- Mruczę.
- Podobasz mi się, kotku.
- Ty mnie też. - Obrysowała palcem jego brodę.
- Czy... - spuściła wzrok - czy było ci dobrze?
- Kiedy? - Czekał, z trudem tłumiąc śmiech. - Ach, o to ci chodzi! - powiedział, kiedy Megan wreszcie spojrzała mu w oczy. - Jak na pierwszy raz było całkiem nieźle.

Otworzyła usta, zamknęła je, znów otworzyła.

- Mógłbyś być trochę... bardziej uprzejmy.
- A ty trochę mądrzejsza. - Pocałował ją w czubek nosa. - Miłość to nie klasówka, Meg. W łóżku nie wystawia się ocen.
- Chodziło mi o... Nieważne.
- O stopień, prawda? - Przewrócił się na wznak i wciągnął ją na siebie. - W skali od jednego do dziesięciu?
- Przestań, Nate. - Położyła policzek na jego piersi.
- Nie lubię, jak się ze mnie wyśmiewasz.
- A ja uwielbiam wszystko, co ze mną robisz. - Pogładził ją po plecach. - Kocham twoje oczy, twój uśmiech...

Mało brakowało, by dodał „kocham ciebie”. Na

szczęście w porę ugryzł się w język. Megan by mu nie uwierzyła. Ledwo sam w to wierzył.

- To dobrze. Wiesz, miałam tak intensywne doznania, że... aż się wystraszyłam.

Spowaźniał.

- Nie chcę, żebyś się mnie bała.

- Bałam, się siebie - wyjaśniła. - Nas. Tego, co miało nastąpić. Ale cieszę się, że nastąpiło. - Podsunęła się wyżej i pocałowała Nate'a w usta. Raz, drugi, trzeci.

- Rób tak dalej - szepnął ochryple - a zaraz znów się wystraszysz.

- Cudownie! - Przeszył ją dreszcz podniecenia.

Przeturlał się na nią, miażdżąc jej ciało swoim. Wiła się, jęczała. Nagle, przeklinając pod nosem, odsunął się. Zdziwiona i rozbudzona, położyła rękę na jego ramieniu. Wyszarpnął je.

- Poczekaj. Daj mi chwilę.

- Przepraszam. - Posmutniała. - Czy zrobiłam coś nie tak?

- To nie twoja wina. - Pocierając dłońmi twarz, usiadł na łóżku. - Po prostu nie jestem gotów. Słuchaj, może zejść na dół i przyrządzą nam coś do jedzenia?

Był tak blisko, a miała wrażenie, jakby dzieliła ich przepaść. Poczowała się odtracona.

- Nie warto - odparła chłodno. - Powinam już iść. Muszę odebrać Kevina.

- Kevin z pewnością świetnie się bawi z Alekssem i Jenny.

- Na pewno, ale... - Rozejrzała się, szukając czegoś, czym mogłaby przysłonić własną nagość.

- Nie uciekaj. Nie obrażaj się.
- Nie jestem obrażona. Sądziłam, że chcesz się ze mną znów kochać. Skoro nie...
- Chcę! Do jasnej cholery, Meg! - Nie zdziwił się, gdy podskoczyła. - Nawet nie wiesz, jak bardzo cię pragnę.

Zakryła ręką piersi.

- Nie rozumiem cię.
- Wiem. - Wziął głęboki oddech, próbując zapanować nad emocjami. - Zostań, proszę cię. Zaraz opanuję podniecenie. Wszystko będzie dobrze.

- Opanujesz? Po co? O czym ty mówisz?

Zrezygnowany, przyłożył jej rękę do swojej.

- Mam wielkie łapy. Takie same, jak mój ojciec. Czasem można nimi nieopatrnie...

- Wyrządzić krzywdę? - spytała cicho. - Boisz się sprawić mi ból, prawda?

- Za nic w świecie bym tego nie zrobił.

- Wiem. - Pogładziła go po policzku, po czym przysunęła się bliżej. - Pragniesz mnie, prawda? Chcesz mnie dotykać. - Podniosła jego rękę do swojej piersi. - I chcesz, żebym ja pieściła ciebie. - Przejechała palcami po jego torsie, muskularnych ramionach, umięśnionym brzuchu. - Kochaj mnie, Nate - szepnęła, zarzucając mu ręce na szyję. - Pokaż, jak bardzo mnie pragniesz.

Nie potrzebował dalszej zachęty, wciąż jednak starał się kontrolować. Ale Megan okazała się bystrą uczennicą. Kusiała, prowokowała, zachęcała gestem, słowem, spojrzeniem.

Uległ. Był namiętny, niemal brutalny. Ona również. Żadne z nich nie próbowało nic tłumić. Zresztą nie byłoby w stanie. Tym razem nie unosili się na fali; byli jak dwie łupiny w oku cyklonu.

Zasnęła. Kiedy się ocknęła, leżała na brzuchu w poprzek łóżka. Deszcz przestał padać, za oknem nastał mrok. Czuła się obolała, ale i szczęśliwa.

Korciło ją, by przekręcić się na wznak, ale wymagało to zbyt dużego wysiłku. Nie zmieniając pozycji wyciągnęła ręce w bok i zaczęła sprawdzać materac. Tak jak się spodziewała, nikogo obok nie było.

Gdzieś w głębi domu zaskrzeczał Ptak:

- Umiesz gwizdać, no nie, Steve?

Wybuchnęła śmiechem. Wciąż rechotała, kiedy do pokoju wrócił Nathaniel.

- Przyznaj się. Całymi dniami puszczasz mu stare filmy?

- Uwielbia Bogarta. Co ja na to poradzę? - Czuł się dziwnie, trzymając przed sobą tacę z kolacją, podczas gdy naga kobieta leżała wyciągnięta na jego łóżku. - Imponująca jest ta twoja blizna, kotku.

- Prawda? Zasłużyłam na nią. Twojemu smokowi również niczego nie brakuje.

- Miałem osiemnaście lat, pusto w głowie i promile we krwi. Też sobie na niego zasłużyłem.

- Do twarzy ci z nim. Powiedz, co przyniosłeś?

- Pomyślałem, że będziesz głodna...

- Jestem. Jak wilk. - Podparła się na łokciach. - Pachnie wspaniale. Nie wiedziałam, że potrafisz gotować.

- Nie potrafię. Korzystam z uprzejmości Holendra. Dostaję od niego gotowe dania, zamrażam je, potem wrzucam do mikrofalówki. - Postawił tacę na stoliku w nogach łóżka. - Kurczak na ostro i wino.

Przekręciła się na bok i zerknęła w stronę stolika.

- Wygląda pysznie... Boże, naprawdę powinnam już odebrać Kevina.

- Rozmawiałem z Suzanną. Ustaliliśmy, że jeśli nie zadzwonisz, Kevin zostanie u nich na noc.

- Ustaliliście, powiadasz?

- Dzieciaki się świetnie bawią.

- Innymi słowy, jeśli zadzwonię, zepsuję im tylko zabawę?

- No właśnie. - Usiadł na krawędzi łóżka i czubkiem palca powiódł po jej kręgosłupie. - To jak? Przenocujesz u mnie?

- Nawet nie mam szczoteczki do zębów.

- Na pewno coś znajdziemy. - Oderwał kawałek udka i podał go Megan.

- Ojej. - Powachlowała ręką usta. - Ale ostre!

Poczęstował ją winem.

- Lepiej?

- Zdecydowanie.

Przechylił kieliszek, wylewając kilka kropli na jej piersi.

- Trzeba to wytrzeć. - I wytarł jednym pociągnięciem języka. - Jak cię przekonać, abyś została?

Zapominając o jedzeniu, wtuliła się w jego ramiona.

- Już przekonałeś.

Do rana zniknęła mgła, która cały poprzedni dzień wisiała nad miasteczkiem. W wpadających do środka jasnych promieniach słońca Nate obserwował Megan. Miała na sobie ten sam kostium co wczoraj, świeży, jakby przed chwilą wyjęła go z szafy. Korzystając z kilku podstawowych kosmetyków, które nosiła w torebce, zrobiła sobie makijaż, po czym przystąpiła do upinania włosów. Nie było to proste, zgubiła bowiem klamerkę i połowę spinek.

- Wyglądasz tak słodko, że chyba cię schrupię. - Aby udowodnić, że nie żartuje, pochylił się i zaczął skubać wargami jej ucho.

- Nate... - oparłszy dłonie o jego klatkę piersiową, odepchnęła go lekko. - Naprawdę muszę już iść.

- Wiem. Ja też. Pewnie nie zdołam cię namówić, żebyś spędziła ze mną dzień?

- Na morzu? Pokazując turystom wieloryby? - Pokręciła głową. - Ale jak chcesz, zapraszam cię do mojego biura. Mógłbyś ze mną liczyć, mnożyć, dodawać...

Skrzywił się.

- Czyli co? Zobaczymy się wieczorem?

Bardzo tego chciała, ale musiała myśleć o dziecku.

- A Kevin? Nie mogę go ciągle podrzucać innym.

- Wiedziałem, że to powiesz. Dlatego wpadłem na pewien pomysł. Jeżeli zostawisz drzwi balkonowe otwarte...

- Wtedy wślizniesz się po ciemku?

- Zgadłaś.

- No dobrze. - Roześmiała się. - Podrzucisz mnie do mojego samochodu?

- Nie mam wyjścia. - Ruszyli na dół po schodach.
 - Meg, jeśli Dumont będzie próbował się z tobą skontaktować, jeżeli zadzwoni czy choćby do ciebie pomacha, obiecaj, że mi o tym powiesz.

Uścisnęła jego dłoń.

- Nie martw się, poradzę sobie z Baxterem. Chociaż wątpię, żeby po wczorajszej przygodzie cokolwiek próbował.

- Obciąć mu głowę! - zaskrzeczał Ptak.

- Nie chodzi o to, czy ty sobie poradzisz, czy nie - rzekł Nate. Wyszli na zewnątrz. - Po dzisiejszej nocy uważam, że mam prawo dbać o twoje bezpieczeństwo. I Kevina. - Otworzył drzwi samochodowe. - Więc albo mi obiecasz, albo zaraz do niego pojedę i jeszcze raz przemówię mu do rozsądku.

Zaczęła protestować, ale nagle przypomniała sobie furję, z jaką cisnął wczoraj Dumonta na ścianę.

- Nie żartujesz, prawda?

- A wyglądam, jakbym żartował?

Z jednej strony było jej przyjemnie, że ktoś się o nią martwi, z drugiej zaś czuła narastającą złość.

- Posłuchaj, Nate. Jestem ci wdzięczna za troskę, lecz niepotrzebnie się kłopotujesz. Potrafię zadbać o siebie i syna. Robię to od wielu lat.

- Teraz wszystko się zmieniło.

- Wiem. Wolę jednak, jak zmiany następują stopniowo.

- Będę się starał dostosować do twojego tempa - obiecał. - Ale proszę cię, przyrzeknij, że mi powiesz, jeśli Dumont znów zacznie ci się naprzykrzać.

Gdyby nie miała dziecka, sytuacja byłaby inna, ale musiała myśleć o Kevinie. Postanowiła zaakceptować pomoc Nate'a.

- Przrzekam. - Usiadłszy wygodnie, przyjrzała mu się z rozbawieniem w oczach. - Czy zawsze osiągasz cel?

- Na ogół. - Włączył silnik i skierował się w stronę „Bryzy”.

Na miejscu czekał dwuosobowy komitet powitalny, czyli Holt i - ku zdumieniu Megan - jej brat Sloan.

- Podrzuciłem dzieciaki do Wież - oznajmił Holt, zanim zdążyła go o cokolwiek spytać. - Twój pies, Nate, jest razem z nimi.

Ledwo Megan wysiadła z samochodu, Sloan chwycił ją za ramiona.

- Jak się czujesz? Psiakrew, dlaczego do mnie nie zadzwoniłaś? Jeżeli ten łajdak cię skrzywdził...

- Nie denerwuj się, braciszku. - Instynktownie zacisnęła dłonie na jego policzkach i pocałowała go w nos. - Nic mi nie zrobił, za to ja rozcięłam mu wargę. A do ciebie nie dzwoniłam, bo moi dzielni wybawcy sami sobie z nim poradzili.

Przeklinając Dumonta, Sloan przytulił siostrę.

- Powiniennem był go zabić, kiedy po raz pierwszy mi o nim powiedziałaś.

- Przestań. Nie wracajmy do tej sprawy. I ani słowa przy Kevinie. Podwieź cię do Wież?

- Nie, mam tu jeszcze coś do załatwienia. - Ponad ramieniem siostry popatrzył na Nate'a. - Ruszaj sama. Ja dojadę później.

- Dobrze. - Cmoknęła go w policzek. - Holt, dzięki za opiekę nad Kevinem. I przepraszam za kłopot.

- Żaden kłopot.

Mąż Suzanny dyskretnie odwrócił wzrok, kiedy Nathaniel porwał Megan w ramiona, aby czule się z nią pożegnać. Widząc gniewnie zmrużone oczy Sloana, z trudem pohamował śmiech.

- Do zobaczenia, kotku.

- Tak. Do wieczora. - Zarumieniła się po czubki uszu.

Nathaniel odprowadził ją spojrzeniem do samochodu.

- Chciałeś ze mną pogadać, O'Riley? - spytał, gdy odjechała.

- Owszem.

- Dobra, ale musisz towarzyszyć mi na mostek. Wkrótce wypływam.

- Nie potrzeba wam sędziego? - spytał Holt. Odpowiedziało mu wrogie milczenie. - Szkoda. Chętnie bym pokibicował.

Sloan wszedł za Nathanielem na pokład.

- Jeśli to ci zajmie dłużej niż kwadrans, lepiej od razu nastaw się na kilkugodzinny rejs - uprzedził go Nate.

- Nigdzie mi się nie spieszy. - Sloan stanął w lekkim rozkroku niczym kowboj szykujący się do pojedynku.

- Coś ty robił z moją siostrą?

- Przypuszczam, że sam odgadłeś.

- Jeśli myślisz, że pozwolę ci skrzywdzić Megan, to się mylisz. Nie było mnie przy niej, kiedy wplątała się w romans z Dumontem, ale teraz...

Obaj z trudem panowali nad złością.

- Nie jestem Dumontem. Chcesz mi przywalić za to, jak ten skurwiel zachował się przed laty wobec Meg? W porządku. No, śmiało. Wal. Odkąd zobaczyłem, jak nią rzuca, też mam ochotę połamać komuś gnaty.

- Co to znaczy: jak nią rzuca? - spytał Sloan.

- Stała przygwożdżona do ściany. Nie mogła się ruszyć. - W Nate'a na nowo wstąpiła furia. - Korciło mnie, żeby go zabić, ale pomyślałem, że Megan nigdy mi tego nie daruje.

Sloan wziął głęboki oddech, próbując się uspokoić.

- Więc wepchnąłeś go do wody?

- Miałem nadzieję, że nie umie pływać. Ale najpierw drania trochę poturbowałem.

Sloan O'Riley wdzięczny był obu mężczyznom, że stanęli w obronie Megan, żałował jedynie, że sam mu nie przyłożył.

- Kiedy wygramolił się na brzeg, natknął się na Holta. Nie pierwszy raz Holt mu pokazał, co o nim myśli. Nie sądzę, aby Dumont kiedykolwiek wrócił w te strony.

Przez moment milczał. Pozostała jeszcze druga sprawa, którą należało wyjaśnić do końca.

- Słuchaj - podjął po chwili. - Po spotkaniu z Dumontem Megan na pewno była przerażona i zdenerwowana. Nie lubię, jak facet wykorzystuje słabość kobiety...

- Dałem jej suche ubranie, poczęstowałem herbatą - rzekł przez zaciśnięte zęby Nate. - Niczego od niej nie chciałem. Decyzję podjęła sama.

- Nie pozwolę, aby ktokolwiek więcej ją skrzywdził. Może ty widzisz w Megan młodą, atrakcyjną kobietę. Ja natomiast widzę bliską mi osobę, która dość się w życiu nacierpiała...

- Kocham Megan.

Nagle drzwi się otworzyły.

- Statek gotowy do wypłynięcia, kapitanie.

- W porządku. - Nate podszedł do koła sterowniczego. - Odbijamy.

Wykrzykując polecenia załozdze, wyprowadził statek z portu.

- Możesz powtórzyć, co powiedziałaś, zanim nam przeszkodzono? - poprosił Sloan, kiedy znajdowali się już na środku zatoki.

- Uszy masz brudne? Powiedziałem, że kocham Megan.

Zaskoczony Sloan przysiadł na ławce obok steru. Musiał to sobie dokładnie przemyśleć. Bądź co bądź, Megan dopiero niedawno poznała Nate'a. Z drugiej strony, on sam zakochał się w Amandzie od pierwszego wejrzenia. Hm, gdyby miał dla siostry wybierać partnera, przypuszczalnie byłby to ktoś pokroju Nathaniela Fury.

- Ona o tym wie? - spytał znacznie przyjaźniejszym tonem.

- Idź do diabła.

- Czyli nie wie. - Założył nogę na nogę. - No dobrze. A Megan ciebie kocha?

- Jeszcze nie. Ale pokocha. Potrzebuje trochę czasu, to wszystko.

- Tak ci powiedziała?

- Sam to wiem. - Nate przeczesał ręką włosy. - Słuchaj, O'Riley. Pilnuj własnego nosa. Jeżeli chcesz, daj mi w pysk, ale nie wtrącaj się do moich spraw.

Sloan wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Masz bzika na jej punkcie.

Nate mruknął coś pod nosem.

- A co z Kevinem? Niektórym przeszkadza w domu dziecko innego faceta.

- Kevin jest synem Megan. - Nate łypnął okiem na brata ukochanej. - I będzie moim.

- To znaczy chcesz poślubić Megan, a małego adoptować?

- Owszem. - Nate zapalił cygaro. - Masz z tym problem? - Przypomniawszy sobie o dobrych manierach, podsunął pudełko Sloanowi.

- Ja? Skądże. - Sloan również zapalił. - Ale ty możesz mieć. Moja siostra to piekielnie uparta osoba. Ponieważ jednak zamierzasz zostać członkiem rodziny, wiedz, że możesz liczyć na moją pomoc.

Po wargach Nate'a przemknął uśmiech.

- Dzięki, stary, ale myślę, że sobie poradzę.

- W porządku.

Sloan nie wracał więcej do tematu; resztę wycieczki spędził na wypatrywaniu wielorybów.

Ledwo Megan przekroczyła próg Wież, otoczył ją wianuszek zatroskanych twarzy.

- Na pewno nic ci nie jest?

- Na pewno. Słowo honoru.

Mimo zapewnień, że dobrze się czuje, mieszkanki domu zaprowadziły ją do jadalni i nie odstępowały na krok.

- Słuchajcie, naprawdę nic strasznego się nie stało.

- Tak sądzisz? - spytała CC. - Bo my tu wynajemy zasadę, że kiedy ktoś krzywdzi jedną z nas, to tak jakby krzywdził całą rodzinę.

Megan wyrzała przez okno; dzieci, piszcząc radośnie, ganiały po ogrodzie.

- Jesteście kochane. Ale myślę, że na tym sprawa się zakończy...

- Co do tego nie ma żadnych wątpliwości - oznajmiła Colleen, wkraczając do jadalni. - Odsuńcie się od dziewczyny. Przestańcie nad nią dyszeć. No, wynocha stąd.

- Ależ ciociu... - zaczęła Coco.

- Powiedziałam: wynocha! Wracaj do kuchni, do tego swojego Holendra, który zakrada się nocami do twojej sypialni.

- On nie...

- Sio! A ty... - pogroziła laską Amandzie - co tu jeszcze robisz? Masz cały hotel na swojej głowie. - Przeniosła wzrok na Suzanne. - Zajmij się ogrodem, żeby nie porósł chwastami. A ty idź napraw jakiś silnik - zwróciła się do CC, po czym zamilkła, wpatrując się w czwartą z sióstr.

- Dla mnie trudniej coś wymyślić, prawda, ciociu?

- spytała Lilah.

- Utnij sobie drzemkę.

- Dobrze. - Lilah westchnęła głośno. - No, moje miłe, idziemy. Zostałyśmy wyproszone.

Colleen, usatysfakcjonowana posłuszeństwem bratanic, usiadła przy stole.

- Nalej mi herbaty.

Megan wykonała polecenie, jednakże w przeciwieństwie do mieszkanek Wież nie bała się starszej pani.

- Czy szorstkość zawsze pomaga pani w osiągnięciu celu, panno Calhoun? - spytała.

- Szorstkość, wiek i pieniądze - odparła Colleen. Pociągnawszy łyk mocnej herbaty, skinęła z zadowoleniem głową. - A teraz siadaj, młoda damo, i słuchaj, co mam do powiedzenia. I przestań się burmuszyć.

- Lubię Coco. A pani ją zawstydziła.

- Zawstydziła? Ha! Ona i ten wytatuowany gość od kilku dni wodzą za sobą wzrokiem. Niech się w końcu przestaną ukrywać.

Zmrużywszy oczy, przyjrzała się Megan.

- Widzę, że wysoko cenisz lojalność.

- Tak.

- Ja też. Dlatego zadzwoniłam dziś rano do paru przyjaciół w Bostonie. Do ludzi bardzo wpływowych. Nie przerywaj! - Podniosła głos, nie dopuszczając Megan do słowa. - Nienawidzę polityki, tych knowań i koterii, ale cóż... Jeszcze dziś przed południem Dumont zostanie powiadomiony, że jakkolwiek próba kontaktu z tobą lub twoim synem będzie oznaczała koniec jego kariery politycznej. Myślę, że już nigdy więcej się do ciebie nie odezwie.

Przez chwilę Megan siedziała bez ruchu. Bez wzglę-

du na to, co wcześniej mówiła, od czasu rozmowy z Baxterem towarzyszył jej śmiertelny strach. Czuła się tak, jakby nad jej głową wisiął groźnie zaostrzony topór. Topór, który Colleen Calhoun właśnie usunęła.

- Dlaczego pani to zrobiła? - spytała wreszcie drżącym ze wzruszenia głosem.

- Nie cierpię kanalii. Zwłaszcza kanalii, które zakłócają spokój mojej rodziny.

- Nie należę do pani rodziny.

- Mylisz się, moje dziecko. Całkiem nieświadomie, jako młoda dziewczyna, przystąpiłaś do niej. I my cię już nie puścimy. Chcesz tego czy nie, jesteś jedną z nas.

Łzy napłynęły Megan do oczu.

- Panno Calhoun, ja... - Urwała, bo rozległ się stukot laski. Zrozumiała, o co chodzi i zaczęła od nowa: - Ciociu Colleen, nawet nie wiesz, jak bardzo ci jestem wdzięczna.

- I słusznie, moje dziecko - rzekła ochryple staruszka, po czym odchrząknęła i zawołała: - No dobrze, możecie już wrócić! Przestańcie podsłuchiwać za drzwiami!

Pierwsza pojawiła się Coco. Podeszła do ciotki i schyliwszy się, pocałowała jej suchy pomarszczony policzek.

- Starczy. Dość tych poufałości! - krzyknęła Colleen Calhoun, z udawanym gniewem opędzając się od bratanic. - Chcę teraz usłyszeć, jak ten dobrze zbudowany, przystojny marynarz wrzucił Dumonta do wody.

- Najpierw go przydusił... - zaczęła ze śmiechem Megan.

- Och, jak dobrze! - ucieszyła się staruszka. - No, opowiadaj. Ze wszystkimi szczegółami.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

„B. dziwnie się zachowuje. Od powrotu na wyspę jest roztargniona, nieobecna myślami. Raz spóźniła się na podwieczorek, innym razem zapomniała o proszonym obiedzie. Niewybaczalne. Zamieszki w Meksyku coraz bardziej irytujące. Wyrzuciłem lokaja. W koszulach za dużo krochmalu”.

Megan przetarła ze zdumienia oczy. Niesamowite, pomyślała, patrząc na notatki Fergusa sporządzone na marginesie strony, na której figurowały ceny akcji. Facet z takim samym rozdrażnieniem pisze o żonie, polityce i służbie. Co za straszne życie musiała wieść biedna Bianca. Ona, Megan, nie wyobrażała sobie, żeby mogła tkwić w małżeństwie z despota, który narzuca swoje zdanie i domaga się bezwzględnego posłuszeństwa.

Tak jak to miała w zwyczaju, kilka minut przed snem poświęciła na próbę odczytania tajemniczych cyfr na końcu książki. Żałowała, że nie udało jej się dotrzeć do biblioteki. Gdyby poszperała w archiwum...

Ale może zdoła uzyskać jakieś informacje od Amandy. Może Amanda będzie wiedziała, czy Fergus korzystał ze skrytek bankowych lub trzymał pieniądze w zagranicznych bankach. Miał liczne posiadłości, domy w Maine i w Nowym Jorku. Tajemnicze cyfry mogły

być numerami skrytek lub kont bankowych. A nawet kombinacjami do sejfów.

Takie rozwiązanie, proste i logiczne, pasowałoby do Fergusa. Człowiek z obsesją na punkcie pieniędzy na ogół miewa sekretne schowki, których nikomu nie zdradza.

Czy to nie byłoby fantastyczne, gdyby w jakimś starym sefcie bankowym znajdowała się nie ruszana niemal od stu lat skrytka? Skrytka, do której klucz zgubiono lub wyrzucono? A w środku... hm, może bezcenne rubiny albo papiery wartościowe? Może pojedyncze wyblakłe zdjęcie? Albo pukiel włosów owinięty złotą tasiemką?

Roześmiała się na głos.

- Wyobraźnię, koleżanko, zawsze miałaś bujną - powiedziała do siebie.

- Co takiego?

Podskoczyła przerażona. Okulary zsunęły się jej z nosa na brodę.

- Rany boskie, Nate! Aleś mnie przestraszył.

Zadowolony, zamknął za sobą drzwi balkonowe.

- Myślałem, że się ucieszysz na mój widok.

- Cieszę się. Ale nie musiałeś się skradać.

- Kiedy mężczyzna wchodzi w nocy przez okno do sypialni kobiety, nie powinien hałasować.

- Wszedłeś przez drzwi, nie przez okno - powiedziała, poprawiając okulary.

- Traktujesz wszystko zbyt dosłownie. - Spragniony jej bliskości, pocałował ją w usta. - Wiesz, podoba mi się, że rozmawiasz z sobą.

- Nie rozmawiam.

- Przed chwilą rozmawiałaś. Dlatego przestałem cię obserwować i postanowiłem wejść. - Podszedł do drzwi prowadzących na korytarz i przekręcił klucz w zamku. - Wyglądałaś ponętnie, siedząc przy swoim biurczku, z włosami upiętymi w kok, z okularami zsuwającymi się z nosa. Taka malutka istotka omotana w wielki, ciepły szlafrok.

Marzyła o tym, by gruby szlafrok z frotte przemienił się w zwiewną koszulę nocną z jedwabiu i koronki. Ale tak się nie stało. Muszą wystarczyć pożyczone od Coco perfumy.

- Bałam się, że nie przyjedziesz. Już późno.

- Wiem. Ale uznałem, że po wczorajszym incydencie sama będziesz chciała położyć Kevina spać i trochę z nim posiedzieć. Mam nadzieję, że nic nie wywęszył?

- Nie. - Była wzruszona troską i zainteresowaniem Nate'a. - Żadne z dzieci nie wie o wizycie Dumonta. A dorośli... Boże, wszyscy okazali się tacy cudowni. Człowiek myśli, że jest sam na polu bitwy, a potem odwraca się i widzi, że przed wrogiem dzielnie bronią go zastępy przyjaciół. - Uśmiechnęła się. - Co chowasz za plecami?

Wysunął rękę. Oczom Megan ukazała się peonia, taka sama jak ta, którą ofiarował jej przed paroma dniami.

- Róża - oznajmił - tyle że bez kolców.

Patrząc na niego, nie mogła wyjść ze zdumienia, że ten człowiek, ten fascynujący mężczyzna, pragnie jej - kobiety obciążonej dzieckiem.

Sięgnął do wazonu na biurku, zamierzając wyrzucić usychający kwiat, a na jego miejsce włożyć świeży.

- Nie, zostaw.

- Nie wiedziałem, że jesteś taką romantyczką, Meg - powiedział, umieszczając nową peonię obok starej.

- Przyznaj się: siedziałaś tu pochłonięta pracą, ale od czasu do czasu spoglądałaś na wazonik i myślałaś o mnie?

- Może. - Wesołe iskierki w jego oczach całkiem ją rozbroiły. - Zgadłeś. Myślałam.

Nie bacząc na zdziwioną minę Megan, podniósł ją z fotela, po czym sam usiadł, a ją posadził sobie na kolanach.

- Tak jest o wiele lepiej... - szepnął jej do ucha.

Położyła głowę na jego ramieniu. Odprężona, zaczęła mu opowiadać o tym, jak minął jej dzień.

- Wiesz, wszyscy szykują się do obchodów Święta Niepodległości. Coco i Holender sprzeczą się o przepis na sos do mięsa, dzieciaki chodzą niepocieszone, że to nie one decydują o sztucznych ogniach...

- Zobaczysz, będą dwa sosy - rzekł ze śmiechem Nate - a my będziemy musieli decydować, który jest lepszy. Młodzież natomiast będzie zachwycona pokazem fajerwerków, jaki Trent przygotowuje.

Oczy Megan rozbłyły.

- Słyszałam, że zanosi się na wspaniałą zabawę.

- Żebyś wiedziała! Zresztą tu wszystko jest zawsze perfekcyjnie zorganizowane. Powiedz: lubisz sztuczne ognie?

- Nie wiem, kto bardziej: ja czy dzieci. - Przytuliła

się mocniej. - Nie mogę uwierzyć, że już jest lipiec. Mam jeszcze tyle rzeczy do zrobienia...

- Mój ty pracusiu. Wciąż studiujesz księgę Fergususa?

- Tak. To niewiarygodnie, jak wielką zgromadził fortunę i z jakim lekceważeniem odnosił się do ludzi.

- Wskazała ręką na leżące na biurku zapiski. - O Biancie pisze takim tonem, jakby była jego służącą, a nawet gorzej: przedmiotem bez prawa głosu. Oczywiście najwięcej miejsca poświęca finansom; wszystko musiało się zgadzać. Któregoś dnia potrafił kucharzowi z pensji trzydzieści trzy centy, bo bilans wykazał właśnie taką rozbieżność.

- Cóż, bywają ludzie, dla których pieniądze stanowią najwyższą wartość. Ja przynajmniej wiem, że nie pociąga cię we mnie stan mojego konta. Znasz je na wylot.

- Nie jest tak źle. Firma przynosi zyski.

- Marniutkie.

- Ale jednak. Przez kilka pierwszych lat zawsze jest trudno. Interes dopiero się rozkręca, a przecież trzeba było wyłożyć sporo kasy na sprzęt, na wpłatę pierwszej raty za lokal, na licencję, ubezpieczenie...

- Uwielbiam, kiedy rozprawiasz o zyskach i stratach. - Ugryzł ją lekko w ucho. - Mów jeszcze. O płatnościach i zrównoważonym budżecie. Albo nie. O bilansie kwartalnym. Nawet nie wiesz, jak mnie to podnieca.

- Tak? To dobrze. Bo z bilansu wynika, że jesteście winni rządowi dwieście trzydzieści dolarów. Źle wyliczyliście przychody.

- Co? - Zaklął pod nosem. - Dlaczego podatki trzeba płacić z góry? To niesprawiedliwe.

- Może niesprawiedliwe. Ale z urzędem podatkowym lepiej nie zadzierać. Chcę was przed tym uchronić. Chcę również zaproponować, żebyście przystąpili do funduszu emerytalnego.

- Rany boskie, kobieto! Mam dopiero trzydzieści trzy lata.

- Ale czas nie stoi w miejscu. Wiesz, jakie przewiduje się koszty utrzymania za trzydzieści lub czterdzieści lat?

- Dobra, pomyliłem się. Już mnie nie podnieca rozmowa o finansach.

- Przystąpienie do funduszu emerytalnego jest naprawdę mądrym posunięciem - ciągnęła Megan. - Wpłaty można odliczyć od podatku. Gratyfikacja...

- Wolę innego rodzaju gratyfikację - szepnął, wsuwając rękę pod jej szlafrok.

- Mam wszystkie potrzebne formularze. Wystarczy tylko...

Zamknęła oczy i przeniosła się w inny świat

Świtało, kiedy Nathaniel, z rękami w kieszeniach, pogwizdując cicho, schodził po schodach z prawej strony tarasu. Po schodach z lewej strony tarasu schodził, pogwizdując cicho, Niels Van Horne. U dołu, gdzie schody się łączyły, mężczyźni się spotkali.

Stanęli jak wryci.

- Co tu robisz o tej porze? - dziwił się Holender.

- Mógłbym ci zadać to samo pytanie.

- Mieszkam w Wieżach. Zapomniałeś?
- Mieszkasz piętro niżej. - Nathaniel wskazał głową parter, gdzie znajdowały się pomieszczenia kuchenne.

Przez chwilę Holender zastanawiał się nerwowo, co powiedzieć.

- Wyszedłem, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza
- oznajmił w końcu.
- Ja też.

Holender zerknął w okna sypialni Megan. Nathaniel - w okna pokoju Coco. Obaj uznali, że nie ma sensu drażyć tematu.

- Masz ochotę na śniadanie?
- Czemu nie?
- No to chodź, coś nam przyrządzę. Nie będziemy tu sterczeć do rana.

Zadowoleni z rozwiązania, zgodnie ruszyli w kierunku kuchni.

Megan zasnęła. Ogarnięta wyrzutami sumienia wypadła z pokoju, zapinając w pędzie bluzkę. Po drodze zajrzała do sypialni Kevina; na widok niedbale załanego łóżka westchnęła głośno. Wszyscy już dawno są na nogach!

Zamierzała zjeść śniadanie z synem, ale teraz to oczywiście nie wchodziło w grę.

- O Boże! Czy coś się stało? - spytała Coco, kiedy Megan, gnając do biura, o mało nie stratowała jej w holu.
- Nie. Przepraszam. Jestem spóźniona.
- Na jakieś ważne spotkanie?
- Nie. Do pracy - wyjaśniła Megan, sapiąc z wysiłku.
- Aha, bo myślałam, że coś się stało. Leć, kochanie,

nie chcę cię zatrzymywać. Zostawiłam ci na biurku służbową notatkę.

- Ale...

Coco jednak oddaliła się pospiesznie.

Megan weszła do gabinetu. Notatka służbowa w wykonaniu Coco brzmiała następująco:

„Kochana Megan, mam nadzieję, że noc minęła ci spokojnie. W ekspresie czeka na ciebie świeżo zaparzona kawa, obok leżą bułeczki maślane. Smacznego. O Kevina się nie martw; zjadł ogromne śniadanie. Wróć z Nathanielem za kilka godzin. Nie pracuj za ciężko. Ściskam, Coco.

PS. Wyszło mi z kart, że musisz odpowiedzieć sobie na dwa ważne pytania. Na jedno odpowiedź podsunie ci serce, na drugie rozum. Ciekawe, prawda?”

Megan odetchnęła głęboko. Zabrała się ponownie do lektury, kiedy do pokoju weszła Amanda.

- Masz chwilę?

- Pewnie. - Podała bratowej kartkę. - Możesz mi to zinterpretować?

- Co, liścik od cioci Coco? Hm, a więc po kolei. Kawa i bułeczki nie wymagają komentarza...

- To prawda - przyznała Megan, częstując się jednym i drugim. - Starczy dla nas obu...

- Dzięki, dostałam własne. Jeśli chodzi o Kevina, to istotnie zjadł ogromne śniadanie. Kiedy weszłam do kuchni, kończył omlet na grzance. Nate siedział obok, oblizując się ze smakiem.

- Nate? - Megan pociągnęła łyk kawy. - Był tu na śniadaniu?

- Owszem. Flirtował z Coco, a jednocześnie opowiadał Kevinowi o jakiejś gigantycznej ośmiornicy. - Amanda ponownie zerknęła na list, który trzymała w ręce. - Wróć za kilka godzin, bo Kevin ubłagał Nate'a, żeby go zabrał z sobą w rejs. Strasznie błagać nie musiał. Nate od razu się zgodził, a myśmy z Coco uznały, że nie będziesz miała nic przeciwko temu.

- Oczywiście, że nie mam.

- Jeśli natomiast chodzi o dopisek... no cóż, Coco lubi wróżyć z kart. - Amanda odłożyła „notatkę służbową”. - Najdziwniejsze jest to, że często jej wróżby się spełniają. Zadawano ci ostatnio jakieś pytania?

- Chyba nie.

- Na pewno? - Amanda przypomniała sobie, co Sloan mówił na temat rozmowy, jaką odbył z Nathanielem.

- Tak. Natomiast to ja mam pytanie. Do ciebie.

- Słucham.

- Nie dają mi spokoju te cyfry na końcu książki Fergus. Wspominałam ci o nich, prawda? - Podała Amandzie kartkę, na której je zapisała. - Zastanawiałam się, czy to może być jakiś szyfr do sejfu, numery kont bankowych, działek budowlanych albo... - Wzruszyła ramionami. - Wiem, że to głupie, w końcu po tylu latach nie ma się czym podniecać...

- Doskonale cię rozumiem. Ja też lubię, jak wszystko układa się w logiczną całość. Słuchaj, przejrzałyśmy z siostrami większość papierów z tego okresu, kiedy szukałyśmy wskazówek dotyczących szmaragdów Bianki. Nie przypominam sobie żadnych tajemniczych ciągów cyfr. Ale mogę jeszcze raz sprawdzić...

- A może ja mogłabym to zrobić? - zaproponowała Megan.

- Proszę cię bardzo. Tak nawet będzie lepiej. Archiwum znajduje się w piwnicy pod wieżą, z której wypadła Bianca. Wszystko jest poukładane latami, ale obawiam się, że roboty i tak będziesz miała co niemiara.

- Uwielbiam stare, pożółkłe dokumenty.

- To się dobrze składa. Słuchaj, Meg... wiem, że jesteś zajęta, ale niania ma dziś wolne, Sloan musi coś pilnie skończyć, a ja jestem umówiona w miasteczku. Mogłabym przesunąć spotkanie na inny termin, ale...

- Chcesz, żebym posiedziała z małą? - domyśliła się Megan.

- Gdybyś mogła...

- Mandy, nawet nie wiesz, jaką mi sprawiłaś frajdę! Gdzie jest to słodkie maleństwo?

Było to najlepsze lato w życiu Kevina. Owszem, tęsknił za dziadkami, za końmi i za swoim najlepszym przyjacielem, Johnem Silverhornem, ale w Bar Harbor miał tyle frapujących zajęć, że nie starczało mu czasu na myślenie o tym, co zostawił w Oklahomie.

Codziennie bawił się z Aleksem i Jenny, w ogrodzie miał własny fort, mieszkał w domu, który niczym nie różnił się od najprawdziwszego zamku. Mógł pływać na statkach, wspinać się po skałach, a Coco i pan Holender zawsze podsuwali mu coś pysznego do jedzenia. Maks znał mnóstwo pasjonujących historii, Sloan z Trentem pozwalali mu pomagać przy remoncie, a Holt dawał mu prowadzić motorówkę. Nowe ciotce grały z nim w lotki

i czasem, jak obiecał, że będzie ostrożny, dawały mu do potrzymania swoje niedawno narodzone dzieci.

Tak, bardzo się Kevinowi podobało w Bar Harbor.

Najbardziej jednak podobał mu się Nathaniel. Zerknął ukradkiem na mężczyznę siedzącego za kierownicą dużego kabrioletu. Tak, Nathaniel znał się na wszystkim i wszystko najlepiej wiedział. Kiedy stał przy sterze, mrużąc oczy przed blaskiem słońca, wyglądał jak prawdziwy bohater. W dodatku miał wielkie muskuły, tatuaż, i pachniał morzem.

- Może...

- Może co, synu? - Nate spojrział na chłopca.

- Może mógłbym się z tobą jeszcze kiedyś wybrać w rejs? Obiecuję, że następnym razem nie będę zadawał tylu pytań ani kręcił ci się pod nogami.

Nate zatrzymał samochód przed Wieżami.

- Możesz ze mną pływać, kiedy tylko chcesz - powiedział, naciągając Kevinowi na oczy czapkę z napisem KAPITAN. - I możesz pytać o wszystko, co cię interesuje.

- Serio? - Chłopiec poprawił czapkę, żeby sprawdzić, czy Nate przypadkiem sobie z niego nie żartuje.

- Serio.

- O rany! Dziękuję! - Z całej siły uściśnął swojego przyjaciela. - Zaraz powiem mamie. Wejdiesz do środka?

- Na chwilę.

- To chodź! - Kevin wyskoczył z wozu i wbiegł po schodach. Miał tyle ciekawych informacji, którymi chciał się podzielić. - Mamuś! Mamusiu! Wróciłem!

- Co za spokojne, dobrze wychowane dziecko - rzekła Megan, ukazując się w drzwiach. - To chyba musi być mój Kevin.

Chichocząc wesoło, Kevin wspiął się na palce, żeby zobaczyć, które niemowlę Megan trzyma na ręku.

- To Bianca?

- Nie. Delia.

Chłopiec zmarszczył czoło.

- Po czym je rozpoznajesz? Wyglądają identycznie.

- Po oczach - odparła, cmokając syna w policzek.

- Gdzieś był i coś porabiał, panie marynarzu?

- Dwa razy wypłynęliśmy w morze. I widzieliśmy dziewięć wielorybów, w tym jednego malucha. Wiesz, że wieloryby porozumiewają się za pomocą dźwięków?

- Naprawdę?

- Tak. I wiesz co? Nate pozwolił mi sterować! I pomagałem mu wyznaczyć kurs. A jeden turysta ciągle miał mdłości. Ja nie, mnie huśtanie nie przeszkadza. I wiesz co jeszcze? Nate powiedział, że mogę z nim pływać, kiedy tylko zechcę. Mogę? Zgadzasz się?

Jak wszystkie matki, Megan przyzwyczajona była do informacji przekazywanych jednym tchem.

- Zgadzam, kochanie.

- Wiesz, że wieloryby dobierają się w pary na całe życie? I chociaż żyją w wodzie, to tak naprawdę wcale nie są rybami. Są ssakami, tak jak ludzie, słonie i psy. Potrzebują powietrza. Dlatego wypływają na powierzchnię.

Nathaniel pojawił się na schodach w trakcie wykładu. Zatrzymawszy się w progu, przez dłuższą chwilę

przyglądał się Megan. Stała uśmiechnięta, z Delią wspartą na biodrze, trzymając syna za rękę.

W tym momencie Nate uświadomił sobie, czego tak naprawdę chce w życiu. Zrozumiał, że chce być nie tylko mężem Megan, ale i ojcem Kevina. Że pragnie stworzyć z nimi kochającą się rodzinę.

Megan przeniosła na niego spojrzenie. Zamierzała podziękować za opiekę nad synem, ale coś w oczach Nate'a sprawiło, że nagle zaschło jej w gardle. Odruchowo cofnęła się o krok. Zanim zorientowała się, co się dzieje, Nate był już przy niej. Najczulej jak potrafił pocałował ją w usta.

Niemowlę roześmiało się zachwycone i złapało Nate za włosy.

- No dobrze, ślicznotko. - Wziął Delię na ręce i uniósł wysoko nad głowę; dziewczynka zapiszczała radośnie. Po chwili, przytuliwszy ją do piersi, popatrzył na Kevina. - Przeszkadzałoby ci, gdybym od czasu do czasu pocałował twoją mamę? - spytał.

Megan wydała z siebie jakiś przytłumiony jęk. Kevin wbił oczy w podłogę.

- Nie wiem - mruknął.

- Jest bardzo ładna, nie sądzisz?

Chłopiec, rumieniąc się, wzruszył ramionami.

- Chyba tak. - Nie wiedział, jak zareagować. Wielu mężczyzn całowało jego matkę. Dziadek, wujek Sloan, Holt, Trent, Maks. Ale z Nathanielem sytuacja przedstawiała się inaczej. Czuł to. W końcu trochę się orientował, bądź co bądź miał już dziewięć lat. - Czy to znaczy, że byłbyś jej chłopakiem?

Nate zerknął na Megan. Jej spojrzenie zdawało się mówić: sam się wplątałeś, sam się wyplątaj.

- Można to tak powiedzieć - odparł. - Miałybyś mi za złe?

- Nie wiem.

Widząc, że Kevin nie zamierza podnieść wzroku, Nate - wciąż trzymając na rękach Delię - kucnął, aby ich twarze znalazły się na jednym poziomie.

- Posłuchaj, masz mnóstwo czasu, żeby spokojnie się nad tym zastanowić. Nikt cię nie będzie poganiał. Dobrze?

- Dobrze. - Kevin popatrzył na matkę, po czym przeniósł spojrzenie na Nate'a. Podszedł krok bliżej i spytał go na ucho: - Czy ona to lubi?

Z trudem tłumiąc wesołość, Nate odpowiedział z powagą:

- Lubi.

Po dłuższej chwili chłopiec skinął głową.

- W takim razie możesz ją całować. Nie będzie mi przeszkadzało.

- Dziękuję.

Kevin uściśnął wyciągniętą w swoją stronę dłoń. Poczuli się bardzo dorosły.

- Ja też dziękuję - powiedział, zdejmując czapkę.

- Za dzisiejszą wycieczkę. I za kapitańską czapkę.

Nathaniel nasadził ją chłopcu z powrotem na głowę.

- Możesz ją zatrzymać.

Oczy Kevina rozbłysły radością.

- Naprawdę?

- Tak.

- O rany! Dzięki, Nate. Zobacz, mamusiu, co dosta-

łem! Pójdę pokazać ją cioci Coco. - Odwrócił się i pobiegł na górę, tupiąc głośno nogami.

Kiedy Nathaniel wyprostował się, Megan wpatrywała się w niego z zaciekawieniem.

- O co cię Kevin zapytał?

- To nasza męska tajemnica. Kobiety nie rozumieją takich rzeczy.

- Czyżby?

Zanim zdołała się oburzyć lub wyrazić sprzeciw, przyciągnął ją do siebie.

- Mogę cię całować do woli. Dostałem pozwolenie - oznajmił i zgarnął ją w ramiona, pilnując się, aby nie zgnieść małej Delii.

- Pozwolenie? - spytała Megan, kiedy znów mogła swobodnie oddychać. - Od kogo?

- Od twoich mężczyzn. - Przeszedłszy do salonu, położył Delię na miękkim dywanie, obok jej ulubionego pluszowego misia. - Zwróciłbym się również do twojego ojca, ale niestety go tu nie ma.

- Od moich mężczyzn? Masz na myśli Kevina i Sloana? - Zaskoczona, usiadła na oparciu fotela. - Rozmawiałeś o nas z moim bratem?

- O mało się nie pobiliśmy. - Czując się w Wieżach jak u siebie w domu, podszedł do barku i nalał sobie szklaneczkę whisky. - Ale na szczęście, zanim doszło do bójki, wszystko sobie wyjaśniliśmy.

- Ty i mój brat? A ja? Żadnemu z was nie przyszło do głowy, żeby porozmawiać ze mną?

- Jakoś nie. Sloan był wściekły, że spędziłaś u mnie noc.

- To nie jego sprawa - rzekła przez zęby Megan.
 - Jego nie jego, teraz to już nieważne. Nie masz się o co złościć.

- Nie złość się. Po prostu nie rozumiem, dlaczego bez konsultacji ze mną dyskutujesz o tym, co nas łączy, z moją rodziną. - Chociaż się do tego nie przyznała, zaskoczył ją również wyraz uwielbienia, jaki widziała w oczach swojego syna, kiedy rozmawiał z Nate'em.

Kobiety, pomyślał Nate, jednym haustem wypijając whisky.

- Miałem dwie możliwości - dodał. - Wyjaśnić Sloanowi sytuację albo pozwolić, żeby rozkwasił mi nos.

- Przesadzasz.

- Nie było cię przy tym.

- No właśnie. - Odrzuciła w tył głowę. - Nie cierpię, jak mówi się o mnie za moimi plecami. Przez wiele lat musiałam to znosić.

Nate odstawił szklanekę.

- Posłuchaj, kotku, jeśli znowu wracamy do Dumonta.

- Nie wracamy. Po prostu stwierdzam fakt.

- Ja też. Powiedziałem twojemu bratu, że cię kocham, i na tym się skończyło.

- Powinieneś był... - Nagle urwała i zbladła. - Powiedziałaś Sloanowi, że mnie kochasz?

- Tak. A ty mi zaraz powiesz, że tobie pierwszej powinienem był to wyjawić.

- Sama nie wiem, co powiedzieć...

- Na ogół w takiej sytuacji mówi się: „Ja ciebie też, najmilszy”. - Przez chwilę czekał, ignorując ból, który

wolno wkradał mu się do serca. - Ale to dla ciebie za trudne, prawda?

- Nate... - Nie denerwuj się, powtarzała w myślach. Bądź spokojna, opanowana, logiczna. - To wszystko dzieje się za szybko. Parę tygodni temu nawet cię nie znałam. Nie spodziewałam się, że jeszcze kiedykolwiek... Wciąż jestem zaskoczona tym, co się stało. Oczywiście darzę cię ogromnym uczuciem, inaczej nie mogłabym zostać u ciebie na noc...

- Ale...?

- Do miłości trzeba dojrzeć. Nie można angażować się pochopnie. Nie chcę skrzywdzić ciebie, nie chcę sama cierpieć, nie chcę narażać na rozczarowanie Ke-vina.

- Naprawdę sądzisz, że najważniejszy jest czas? Nie to, co czujesz, ale właśnie czas? Że będziesz miała pełną jasność dopiero za kilka tygodni czy miesięcy, kiedy przestudiujesz wszystkie dane i zrobisz bilans?

Spięła się.

- Tak, potrzebuję czasu.

- W porządku. - Podeszedłszy do niej, podciągnął ją na nogi i pocałował ją w usta. - Wiem, że czujesz to, co ja.

Zadrżała. Miał rację - i tego się właśnie bała.

- To jeszcze o niczym nie świadczy.

- Świadczy o wszystkim. - Nie spuszczał oczu z jej twarzy. - Zrozum, Meg, ja też nie szukałem miłości, Byłem całkiem zadowolony z życia, jakie wiodłem. Ale poznałem ciebie i wszystko się zmieniło. I czy chcesz tego, czy nie, będziesz musiała znaleźć dla mnie miejsce

w swoim poukładanym świecie. Kocham cię i nie zamierzam zrezygnować ani z ciebie, ani z Kevina. Przemysł to sobie - powiedział, po czym skierował się do wyjścia.

Przez całą drogę od Wież do „Bryzy” wymyślał sobie od kretynów i idiotów. Psiakrew! Znalazł nowy sposób na zdobycie serca kobiety: krzykiem, drwiną i stawianiem żądań. Pięknie. Czy może być skuteczniejsza metoda?

Dotarli na miejsce, z tylnego siedzenia wyjął Psa, który w nagrodę dokładnie wylizał mu twarz.

- Upijemy się? - spytał wijącą się kulę futra. - Nie? Masz rację. To nie najlepszy pomysł.

Po wejściu do firmy postawił Psa na ziemi i rozejrzał się wkoło, zastanawiając się, co z sobą począć.

Uznał, że praca to rozsądniejszy wybór od butelki, toteż zajął się naprawą silnika. Po pewnym czasie usłyszał znajomy ryk syreny - Holt wrócił z ostatnią grupą turystów.

Wciąż w podłym nastroju, wyszedł na zewnątrz, żeby pomóc zacumować statek.

- Z okazji Święta Niepodległości mamy wzmożony ruch - oznajmił Holt, kiedy pasażerowie opuścili pokład. - Interes kwitnie.

- Nienawidzę tłumów - burknął Nate, spoglądając na grupki ludzi krążące po przystani.

- Przecież to był twój pomysł. Ty rozwiesiłeś ogłoszenia.

- Potrzebujemy pieniędzy. - Nate ruszył z powro-

tem do budynku. - Nie znaczy to, że lubię pływać z tłumem na pokładzie.

- Kto ci nadepnął na odcisk?

- Nikt. - Przytknął zapałkę do cygara. - Po prostu znudziło mi się życie na lądzie.

Holt podejrzewał, że zły humor przyjaciela bierze się z innej przyczyny, ale wiedział, że nie ma sensu dociekać prawdy.

- Widzę, że silnik jest już prawie skończony...

- Mogę wypłynąć w każdej chwili - kontynuował Nate. - Nic mnie tu nie trzyma. Wystarczy wrzucić parę rzeczy do worka i zamustrować się na jakiś statek handlowy...

Holt westchnął głęboko.

- Chodzi o Megan?

- Nie prosiłem się o nią.

- Słuchaj...

- Ja pierwszy tu zapuściłem korzenie. - Chociaż zdawał sobie sprawę, że wygaduje bzdury, nie umiał się pohamować. - Ona nawet nie jest w moim guście. Nigdy nie pociągały mnie kobiety w eleganckich kostiumikach, ze skórzanymi teczkami. Zresztą czy ja kiedykolwiek mówiłem, że do końca życia chcę mieszkać w Bar Harbor? Odkąd skończyłem osiemnaście lat, ciągle jestem w ruchu. Nigdzie nie zagrzałem miejsca dłużej niż miesiąc.

Holt dłubał w silniku, udając, że coś naprawia.

- Rozkręciłeś interes, wzięłeś kredyt na dom. Już ponad pół roku razem pracujemy.

- To nic nie znaczy.

- Czy Megan zaczęła przebąkiwać o ślubie?

- Nie - warknął Nate. - Ja zacząłem.

Klucz francuski, który Holt trzymał w ręce, upadł z brzękiem na podłogę.

- Poczekaj. Czegoś tu chyba nie rozumiem. Chcesz się żenić, a jednocześnie gadasz o zaciągnięciu się na statek?

- Wcale do tego nie dążyłem. Jakoś samo tak wyszło. - Nate wydmuchał z ust kłęby dymu. - Psiakrew, Holt! Zrobiłem z siebie idiotę.

- Nie ty pierwszy i nie ostatni. Pokłóciliście się?

- Powiedziałem, że ją kocham. Ona się wściekła.

- Zaczął przemierzać warsztat, z trudem powstrzymując się, żeby czegoś nie kopnąć. - Dawniej to kobiety parły do ślubu, próbowały usidlić faceta.

- Nie żyjemy w osiemnastym wieku.

Nate roześmiał się, co Holt potraktował jako dobry znak.

- Megan uważa, że wszystko dzieje się za szybko.

- No to zwolnij tempo - poradził mu przyjaciel. - Nie ponagłaj jej.

- Łatwo powiedzieć. - Rozmowa z Holtem podziałała na niego uspokajająco. - Suzanna też się sporo wycierpiała przez Dumonta. Jak pokonałeś jej nieufność wobec mężczyzn, strach przed nowym związkiem?

- Pamiętam, że na nią krzyczałem.

- Stosowałem tę metodę.

- Przynosiłem kwiaty. One je uwielbia. - Mówiąc to, przypomniał sobie, aby wstąpić po drodze do kwiatciarni.

- Też dawałem kwiaty.
- Próbowalesz paść na kolana i błagać?
- Nie. - Nate zmrużył oczy. - A ty błagałeś?

Holt zaczął bardzo intensywnie przecierać silnik.

- Rozmawiamy o tobie, stary. Może wyrecytuj jej parę wierszy. W końcu lubisz poezję. Albo... Cholera, nie wiem. Nie jestem zbyt romantyczny.

- Ale zdobyłeś Suzanne.

- To prawda. - Holt uśmiechnął się szeroko. - A ty zdobądź Megan.

Nathaniel pokiwał z namysłem głową i zgasił cygaro.

- Zamierzam.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Nate wrócił do domu po zachodzie słońca. Od rozstania z Megan zreperował silnik łodzi i dokonał kilku drobnych napraw w kadłubie, ale to nie pomogło. Wciąż miał paskudny humor. Przypomniawszy sobie cytaty, chyba z Horacego, że złość to chwilowa niepoczytalność. Jeżeli stan niepoczytalności trwa dłużej, człowiek ląduje w zakładzie zamkniętym. Ponura wizja.

Żeby do tego nie dopuścić, należy stawić czoło zagrożeniu. Postanowił doprowadzić się do ładu, po czym udać się do Wież i jeszcze raz porozmawiać z Megan.

- Nie pozwolimy jej chować głowy w piasek, prawda? - zwrócił się do szczeniaka. - Dobrze ci radzę, Piesku. Wystrzegaj się kobiet, które mają więcej rozumu niż zdrowego rozsądku.

Pomachawszy ogonem na znak zgody, Pies żwawym krokiem ruszył w stronę żywopłotu; najwyraźniej miał tam interes do załatwienia. Nate tymczasem zatrzasnął drzwi wozu i skierował się do domu.

- Fury?

Przystanął. Mrużąc oczy, usiłował dojrzeć ukrytą w półmroku sylwetkę,

- O co chodzi?

- Nathaniel Fury?

Krepy umięśniony byczek o twarzy pokrytej bruzdami, ubrany w spłowiałe dżinsy, spłowiała koszulę dżinsową i brudną od smaru czapkę nasuniętą nisko na czoło, wyłonił się z mroku.

Nathaniel znał takie typy; widywał je w portach na całym świecie. Instynktownie przybrał pozycję bojową.

- Zgadza się. Czym mogę panu służyć?

- Niczym. - Mężczyzna uśmiechnął się. - Przyszedłem w całkiem innym celu.

Zanim Nate zdążył cokolwiek powiedzieć czy zrobić, ktoś brutalnie wykręcił mu do tyłu ręce. Wtedy facet stojący z przodu wymierzył mu cios w brzuch. Nate jęknął z bólu. Drugi cios otrzymał w zęby. Zgiął się wpół.

- Zupełnie jak baba - oznajmił drwiąco głos za jego plecami. - Myślałem, że większy z niego twardziel.

Jednym płynnym ruchem Nate wyprostował się, odrzucił w tył głowę i z całej siły huknął czaszką w nochal napastnika. Potem, opierając się o faceta, skoczył i oboma nogami grzmotnął w klatkę piersiową jego kolegi.

Miał tylko kilka sekund na to, aby rozejrzeć się, ocenić szkody wroga i własne szanse.

Obaj mężczyźni byli solidnie zbudowani; jednemu krew lała się z nosa, drugi charczał, usiłując złapać oddech.

Nate odwinął się, waląc zakrwawionego gościa łokciem w szczękę. Rzucili się na niego jak psy.

Jednego napastnika powalił kilkoma sprawnie zadanymi ciosami. Mężczyzna osunął się nieprzytomny na ziemię.

- No dobra, szanse się wyrównały. - Nathaniel wytarł krew z wargi i zmierzył wzrokiem jego koleżkę.
 - Na co czekasz?

Drugi napastnik zaczął się wycofywać. Widać było, że wolałby mieć przeciwko sobie wilka szczerzącego kły niż tego szaleńca, który pozbawił czucia jego przyjaciela. Zerknął za siebie, szukając najlepszej drogi ucieczki.

I nagle oczy mu zabłyśły.

Chwycił jedną z desek, których Nate nie zdążył przybić do tarasu, i wymachując nią niczym kijem baseballowym, ruszył do ataku. Deska świsnęła koło ucha Nate'a a potem huknęła go w ramię. Zwarci niby zapaśnicy, wpadli na drzwi i wtoczyli się do domu.

- Pożar! - krzyknął Ptak, trzepocząc gwałtownie skrzydłami. - Ratuj się kto może!

Drewniany stolik zawalił się pod ich ciężarem. Walka była brzydka, brutalna, ciosy mocne. Słysząc było świst, sapanie, brzęk tłuczonego szkła, trzask łamanych mebli.

Wtem, pomiędzy zapach potu i krwi, wdarła się nowa woń. Woń strachu. Rozpoznawszy ją, Nathaniel poczuł, jak wstępuje w niego siła.

Zacisnął ręce na masywnej szyi przeciwnika, wbijając mu kciuki w tchawicę. Mężczyzna przestał się miotać; charczał, krztusił się. Uszła z niego chęć walki.

- Kto cię przysłał? - spytał Nate. Chwycił faceta za włosy i grzmotnął jego głową o podłogę.

- Nikt.

Wykręcił mu ramię.

- Pęknie jak sucha gałąź. Potem złamię ci drugą rękę, następnie kolejno nogi. Kto cię przysłał?

- Nikt - powtórzył mężczyzna i ryknął z bólu. - Nie znam jego nazwiska! Przysięgam! - Ponownie zażył. Łzy popłynęły mu po twarzy. - Jakiś gość z Bostonu. Dał nam pięć stów na łebka, żebyśmy cię poturbowali.

Nate wciąż naciskał kolanem na kręgosłup wroga i wciąż wykręcał mu do tyłu ramię.

- Opisz go.

- Wysoki, ciemne włosy, elegancki garnitur. Do jasnej cholery! - zaklął napastnik. Każdy ruch, jaki wykonywał, powodował wzmożony ból. - Ostrożnie, bo mi złamiesz rękę.

- Mów dalej! - warknął Nate. - W nagrodę ograniczę się tylko do ręki.

- Przystojny jak gwiazdor filmowy. Powiedział, że będziemy cię odwiedzić. I że zapłaci nam podwójną stawkę, jeśli wylądujesz w szpitalu.

- Obawiam się, że premii nie zarobisz. - Nathaniel chwycił faceta za koszulę i podciągnął na nogi. - A teraz słuchaj uważnie. Wrócisz do Bostonu i powiesz swojemu przystojnemu kumplowi, że wiem, kim on jest i gdzie go szukać.

Wypchnął wroga za drzwi.

- Powiedz mu jeszcze, żeby nie oglądał się przez ramię, bo jeżeli zechcę go dopaść, zrobię to w najmniej oczekiwanym przez niego momencie. Kapujesz?

- Tak.

- Dobrze. A teraz zabieraj swojego kumpla— skinał

głową na leżącego na trawie łobuza, który usiłował dźwignąć się o własnych siłach - i won mi stąd!

Nie potrzebowali dalszej zachęty. Przyciskając rękę do żeber, Nathaniel stał na tarasie i patrzył, jak dwie kuśtykające sylwetki oddalają się pośpiesznie. Dopiero gdy znikli za zakrętem, jęknął z bólu i, powłócząc nogą, wrócił do domu przez rozwalone drzwi.

- Jeszcze nie jestem gotów do walki - oznajmił Ptak.,

- I tak marny miałbym z ciebie pożytek - mruknął Nate.

Marzył o zimnym kompresie, o aspirynie i szklaneczce whisky. Zrobił krok w stronę kuchni. Nagle zakręciło mu się w głowie. Przystanął, bluzgając cicho. Pies, który podczas bijatyki leżał skulony w kącie, usiadł koło stóp swojego pana i zaskomlał żałośnie.

- Zaraz wszystko będzie dobrze - rzekł Nate, usiłując się pocieszyć, ale raptem ściany przechyliły się w bok. - O psiakrew! - jęknął, po czym zwałił się nieprzytomny na podłogę.

Pies polizał go po twarzy, trącił mokrym nosem, rozejrzał się niepewnie. Przypuszczalnie jednak przeszkadzał mu zapach krwi, bo po paru sekundach wybiegł na dwór.

W tym samym momencie, gdy odzyskał przytomność, usłyszał zbliżające się kroki. Krzywiąc się z bólu, podciągnął się do pozycji siedzącej. Wiedział, że jeżeli napastnicy postanowili wrócić, rozprawią się z nim bez najmniejszego wysiłku.

- Człowiek za burtą! - zawołał Ptak.

Nate syknął, próbując uciszyć ptaszysko.

Holt stanął w drzwiach i zaklął siarczyście.

- Kto cię tak załatwił?

Po chwili był u boku przyjaciela, pomagając mu wstać.

- Dwie nędzne kanalie - odparł Nate.

Wsparł się na Holcie, zbyt słaby, żeby iść o własnych siłach. Przyszło mu do głowy, że zwykła aspiryna nie wystarczy.

- Przyłapałeś ich na próbie włamania?

- Nie. Przybyli z wizytą. Żeby poprzetrzącać mi gnaty.

- Chyba im się udało - mruknął Holt. Czekał, żeby Nathaniel odzyskał równowagę. - Powiedzieli dla czego?

- Tak. - Nate poruszył szczęką, sprawdzając, czy nie jest złamana. Zrobiło mu się ciemno przed oczami. - Dumont im zapłacił.

Patrząc na poturbowanego, ociekającego krwią przyjaciela, Holt ponownie zaklął. Wiele by dał, żeby dopaść drani, którzy go tak urządzili.

- Chociaż im się przyjrzałeś?

- No pewnie. Obaj nieźle ode mnie oberwali. Kazałem im przekazać wiadomość dla Dumonta.

Holt, który szedł w stronę wyjścia, zatrzymał się w pół kroku.

- Wyglądasz jak wyglądasz, a mimo to twierdzisz, że to oni oberwali? - spytał.

Nathaniel burknął coś w odpowiedzi.

- Powinienem był się domyślić. - Informacja, że napastnicy ponieśli jeszcze większe szkody, poprawiła Holtowi humor. - Zawiozę cię do izby przyjęć.

- Nie! - zaprotestował Nate. Nie zamierzał dać Dumontowi tej satysfakcji. - Skurwiel obiecał im premię, jeśli wylądują w szpitalu.

- A zatem szpital odpada. Ale dobrze by było, żeby zbadał cię lekarz.

- E tam, nic mi nie jest. Na szczęście kości mi nie połamali. - Przynają rękę do obolałych żeber. - Chyba nie połamali. Wystarczy kompres.

- Akurat! - Jednakże, sam będąc mężczyzną, Holt doskonale rozumiał niechęć przyjaciela do gabinetów lekarskich. - Dobra, już wiem, gdzie pojedziemy. - Pomógł Nate'owi wsiąść do samochodu. - Ostrożnie, powoli...

- Szybko nie mógłbym, nawet gdybym chciał.

Strzeliwszy palcami, Holt rozkazał Psu, aby wskoczył na tylne siedzenie, po czym zwrócił się do Nate'a:

- Za chwilę wrócę. Muszę zadzwonić do Suzanny i powiedzieć jej, co się dzieje.

- Przy okazji nakarm Ptaka - poprosił Nate. Zagryzając zęby z bólu, czekał na powrót Holta. - Co cię skłoniło, żeby tu przyjechać? - spytał, kiedy ten zajął miejsce za kierownicą.

- Nie co, a kto. Twoje psisko. - Holt przekręcił klucz w stacyjce. - Zabawiło się w Lassie.

- Serio? Kto by pomyślał? - Dumny z Psa, Nate z trudem odwrócił się i pogłaskał zwierzę po łbie. - To gdzie jedziemy?

- Zgadnij - odparł Holt, skręcając w stronę Wież.

Na widok Nate'a, który wsparty o ramię przyjaciela wszedł do kuchni, Coco przyłożyła dłonie do policzków i krzyknęła przerażona.

- Och, ty biedaku! Co się stało? Miałeś wypadek?
- Małe zderzenie - odparł Nate, siadając na krześle.
- Coco, oddam ci duszę i wszystkie dobra doczesne za jeden worek lodu.
- Mój Boże.

Odsunawszy Holta na bok, pochyliła się i dokładnie przyjrzała pokiereszowanej twarzy Nate'a. Siniaki, otarcia, pod jednym okiem głęboka rana, drugie oko - nabiegłe krwią, powieka spuchnięta. Dość szybko zorientowała się, że owo zderzenie, o którym mówił, musiało nastąpić z czyjąś pięścią.

- Nie martw się, skarbeńku, zaraz się tobą zajmiemy. Holt, leć na górę do mojego pokoju. W apteczce znajdziesz opakowanie silnych środków przeciwbólowych.

- Dzięki - szepnął Nate.

Siedział z zamkniętymi oczami, wsłuchując się w odgłosy krzątania. Nagle podskoczył - Coco zimną ścierką zaczęła mu omywać ranę pod okiem.

- Jeszcze chwilka. Wiem, że boli, ale trzeba to oczyścić, żeby nie wdało się zakażenie. No, zaciśnij zęby.

Zapominając o rozciętej wardze, uśmiechnął się.

- Uwielbiam cię, Coco.

- Ja ciebie też, kochaniutki.

- Ucieknijmy razem. Jeszcze dziś. Pobierzmy się.

Delikatnie przytknęła usta do jego czoła.

- Nie powinieneś wdawać się w bójki, Nate. To niczego nie rozwiązuje.

- Wiem.

Do kuchni wpadła zziębnięta Megan.

- Holt powiedział... O Chryste! - Podbiegła do Nate i tak mocno chwyciła go za spuchniętą rękę, że z trudem powstrzymał okrzyk bólu. - Powinieneś być w szpitalu. Bardzo cierpisz?

- Miewałem większe sińce w życiu.

- Holt powiedział, że zaatakowało cię dwóch mężczyzn.

- Dwóch? - Coco zeszywniała. - Dwóch na jednego? - W jej oczach pojawił się lodowaty błysk. - To podłe. Ktoś powinien dać im nauczkę, w końcu w walce też obowiązują pewne zasady.

Nie zważając na rozciętą wargę, Nate ponownie się uśmiechnął.

- Spokojna głowa, Coco. Nauczkę już dostali.

- Mam nadzieję, że będą potrzebować szwów. - Odetchnąwszy głęboko, wzięła się z powrotem do pracy. - Megan, kochanie, przygotuj torbę z lodem. Oko coraz bardziej mu puchnie.

Megan posłusznie wykonała polecenie. Niepokoiły ją obrażenia na twarzy Nate'a, a także fakt, że odkąd weszła do kuchni, ani razu na nią nie spojrział.

Przyłożyła mu do oka zimny okład, Coco tymczasem zaczęła czyścić poobcierane do krwi kłytkie.

- Sam mogę potrzywać - powiedział, biorąc torbę z lodem. - Dzięki.

- W szafce po lewej jest środek dezynfekujący...

Megan, bliska płaczu, ruszyła do szafki.

Drzwi ponownie się otworzyły i do kuchni wtoczył się tłum przejętych domowników. Początkowe speszenie Nathaniela ustąpiło miejsca rozbawieniu. Mieszkańcy Wież zadawali dziesiątki pytań, głośno wyrażali oburzenie, obmyślali zemstę, złorzeczyli.

Nagle ponad wszystkimi głosami rozległ się głos seniorki rodu:

- Biedak nie ma czym oddychać. Odsuńcie się!

Wszyscy rozstąpili się niczym przed królową. Colleen Calhoun zmierzyła Nate'a uważnym wzrokiem.

- Trochę cię poturbowali.

- Trochę.

- Dumont? - spytała cicho, by tylko Nate ją usłyszał.

- Uhm - przyznał.

- Tak myślałam. No dobrze, zostawiam cię w kompetentnych rękach. - Spojrzała na Coco. - Niedługo wrócę. Muszę zadzwonić.

Stukając laską, skierowała się do holu. Jakże pożyteczne bywają znajomości, pomyślała z zadowoleniem. Zamierzała poprosić któregoś ze swoich wpływowych przyjaciół, aby uzmysłowił Dumontowi, że sam zacisnął pętlę wokół własnej szyi. Jeszcze jeden nierozważny krok i na zawsze pożegna się z karierą polityczną.

Ona, Colleen Calhoun, nie pozwoli, aby ktokolwiek krzywdził jej rodzinę.

Odprowadziwszy Colleen wzrokiem, Nate odrzucił w tył głowę i połknął tabletkę, którą Coco mu podała. Ten drobny ruch sprawił, że na nowo przeszył go ból.

- A teraz pozbędziemy się podartej koszuli - oznajmiła Coco, chwytając za nożyczki.

W miarę jak ukazywał się fioletowy od sińców tors, w kuchni robiło się coraz ciszej.

- Mój biedaku - szepnęła Coco. Łzy ścisnęły ją za gardło.

- Przestańcie się nad nim litować. - Do kuchni wszedł Holender, trzymając dwie butelki, jedną z whisky, drugą z płynem odkażającym. Spojrzawszy na Nate'a, zacisnął zęby. - To nie dziecko, tylko dorosły facet - kontynuował tym samym nonszalanckim tonem. - Napij się, kapitanie.

- Przed chwilą wziął proszek - sprzeciwiła się Coco. Holender spiorunował ją wzrokiem.

Nate przystawił butelkę do ust. Zapiekła go rozcięta warga, ale ból w innych częściach ciała zdecydowanie się zmniejszył.

- Dzięki, stary.

- Nie wstyd ci? - Holender zamoczył chustkę przyniesionym przez siebie płynem odkażającym. - Pięści nie masz, czy co? Jak można dać się tak wygarbować?

- Było ich dwóch - mruknął Nate.

- Co z tego? - spytał Van Horne, delikatnie przecierając sińce. - Tracisz kondycję, skoro z dwoma nie umiesz sobie poradzić.

- Sprawilem im niezły łomot. - Nate ostrożnie przysunął język do przedniego zęba i odetchnął z ulgą: ząb się nie ruszał.

- I bardzo dobrze. - W głosie Holendra pojawiła się nuta dumy. - Chcieli cię okraść?

Nate zerknął na Megan.

- Nie.

- Żebra potłuczone... - Ignorując przekleństwa, które miotał jego przyjaciel, Holender raz po raz dźgał go w bok, dopóki nie nabrał pewności. - Ale na szczęście nie połamane. - Kucnąwszy przed nim, spojrzał mu w oczy. - Zemdlałeś?

- Chyba tak - odparł niechętnie Nate; wolałby dostać parę ciosów w brzuch niż przyznać się do utraty przytomności. - Ale na krótko.

- Masz zamglony wzrok? Mroczki przed oczami?

- Nie, panie doktorze.

- Nie wygłupiaj się. Ile palców widzisz? - Podniósł dwa grube paluchy.

- Osiemdziesiąt siedem.

Nate wyciągnął rękę po butelkę whisky, ale Coco była szybsza.

- Alkohol i proszki przeciwbólowe to złe połączenie.

- Baby! - warknął Holender. - Wydaje im się, że są najmądrzejsze. - Posłał jednak Coco uspokajające spojrzenie, jakby chciał ją zapewnić, że pacjentowi nic nie będzie. - No dobra, stary - zwrócił się ponownie do Nate'a. - A teraz ciepła kąpiel i lulu. Tylko się ze mną nie kłóć. Zanieść cię do łóżka?

- Tego by brakowało! - oburzył się Nate, po czym pocałował w dłoń Coco. - Dzięki, kochana. Gdybym wiedział, że tak się o mnie będziesz troszczyć, częściej wdawałbym się w bójki. - Popatrzył na Holta. - Odwiesz mnie do domu?

- Wykluczone! - zawołała Coco. - Zostaniesz tu, pod naszą opieką. Może doznałeś wstrząśnienia mózgu? Będziemy cię budzić co parę godzin, żebyś nie zapadł w śpiączkę.

- Baby! - mruknął ponownie Holender, ale ustawiwszy się za Nathanielem, skinął aprobująco głową.

- Pościelę łóżko w pokoju gościnnym - oznajmiła Amanda. - C C , napełnij Nate'owi wody do wanny, a ty, Lilah; weź od niego torbę z lodem.

Nie miał siły protestować.

- Chodź, bohaterze-rzekła Lilah, całując go w czoło. Sloan delikatnie ujął Nate' a pod pachę.

- Więc powiadasz, że było ich dwóch?

- I to większych od ciebie - odparł Nate. Podtrzymywany przez Sloana i Maksa, kuśtykał po schodach na górę-

- Daj, ściągnę ci spodnie - rzekła Lilah, kiedy już siedział na łóżku.

- To niesprawiedliwe. Nie gniewaj się, Maks, ale w dawnych czasach, kiedy ją podrywałem, nigdy mi tego nie zaproponowała.

Maks roześmiał się dobrodusznie, po czym schylił się, żeby zdjąć Nate'owi buty. Wiedział, jak to jest, kiedy trafia się pod opiekuńcze skrzydła sióstr Calhoun. Wiedział też, że kiedy minie mu ból, Nate poczuje się jak w niebie.

- Pomóc ci wejść do wanny?

- Dzięki, nie trzeba.

- Krzyknij, gdybyś potrzebował pomocy. - Sloan stanął w drzwiach, czekając, aż pozostali wyjdą z poko-

ju. - Kiedy wypoczniesz, chciałbym, żebyś mi dokładnie o wszystkim opowiedział.

Zostawszy sam, Nathaniel wyciągnął się w wannie. Ból zaczął powoli ustępować; ciepła woda działała wyjątkowo kojąco. Kiedy po paru minutach sięgnął po ręcznik, czuł się bez porównania lepiej.

Nieopatrznie zerknął do lustra - i przeraził się. Plaster pod lewym okiem, gnijący pomidor zamiast prawego oka, mnóstwo siniaków, spuchnięta warga, paskudne otarcie na brodzie. Wyglądał jak strach na wróble.

Owinięty w pasie ręcznikiem, wszedł do sypialni w tym samym momencie co Megan.

- Przepraszam... - Tak wiele chciała mu powiedzieć, ale nie była to odpowiednia pora na rozmowę o życiu. - Amanda mówi, że może przyda ci się druga poduszka i większy ręcznik.

- Dzięki.

- Z westchnieniem ulgi położył się na łóżku.

- Niczego nie potrzebujesz? Może przynieść ci więcej lodu? Albo talerz zupy?

- Nie, tak jest dobrze.

- Proszę cię... Chciałabym jakoś pomóc. - Nie mogąc się dłużej powstrzymać, pogładziła go po policzku.

- Tak strasznie cię pokiereszowali.

- To tylko sińce.

- Przestań. Nie oszukasz mnie. - Popatrzyła mu w oczy. - Wiem, że jesteś na mnie zły, ale błagam, pozwól mi...

- Chodź tu, Megan. - Poklepał materac. Kiedy

usiadła, wziął ją za rękę. On również nie mógł powstrzymać się przed dotykiem. - Płakałaś?

- Trochę. - Opuściła wzrok; kłykcie miał poobcierane do krwi. - Na dole w kuchni czułam się taka bezradna, taka niepotrzebna. Coco się tobą zajmowała, a ty... ani razu na mnie nie spojrzales. - Łzy ścisnęły ją za gardło. - Nie chcę cię stracić, Nate. Po prostu znamy się tak krótko i... boję się popełnić kolejny błąd.

- Znow wracamy do Dumonta?

- Nie, tu chodzi o mnie.

- Raczej o to, co on ci zrobił.

- Dobrze, masz rację. - Przynęła dłoń do jego policzka. - Proszę cię, nie odtrącaj mnie. Kiedy Holt powiedział, że jesteś ranny, serce mi zamarło. Jeszcze nigdy w życiu nie czułam takiego strachu. Nawet nie wiesz, ile dla mnie znaczysz, Nate. Pozwól mi się tobą opiekować, dopóki nie wyzdrowiejesz.

- Hm. - Odgarnął jej z twarzy kosmyk włosów. - Może tym razem Dumont mi się przysłużył...

- Co? Nie rozumiem.

Środek przeciwbólowy i alkohol musiały go odurzyć. Owszem, Megan miała prawo wiedzieć, kto nasłał na niego bandytów, ale prawda mogła jeszcze chwilę poczekać.

- Ci dwaj faceci, którzy mnie dziś napadli... Dumont ich wynajął.

Krew odpłynęła jej z twarzy.

- To znaczy zapłacił im, żeby cię pobili? Żeby...

- Żeby dali mi nauczkę. Był wściekły, że wrzuciłem go do wody, i postanowił się zemścić. Oczywiście ma-

drzej by postąpił, gdyby opłacił zawodowców. Ci dwaj to byli marni amatorzy.

- Baxter cię tak urządził? - Pociemniało jej przed oczami. Na moment przymknęła powieki. - Boże, to wszystko moja wina!

- Przestań. Nie wolno ci tak myśleć. Dumont zachował się podle wobec ciebie, Suzanny, dzieciaków. Nędzny tchórz! Nawet płaci innym, żeby się za niego bili. Hej... - Pociągnął ją za kosmyk. - Głowa do góry. To ja wygrałem. A on wyrzucił forszę w błoto.

- Czy to ważne, kto wygrał?

- Dla mnie tak. Posłuchaj. Jeżeli naprawdę chcesz mi pomóc, zapomnij o tym skurwielu.

- Jest ojcem Kevina - szepnęła. - Na samą myśl o tym robi mi się słabo.

- Jest skurwielem. Połóż się koło mnie - poprosił.

Wyciągnęła się obok na łóżku, po czym delikatnie uniosła głowę Nate'a i oparła ją na swojej piersi.

- Śpij - powiedziała. - Nie myślmy teraz o niczym. Śpij.

Westchnąwszy głęboko, przymknął powieki.

- Kocham cię, maleńka.

- Wiem.

Leżała z otwartymi oczami, gładząc go po włosach i wsłuchując się w jego równomierny oddech.

Żadne z nich nie zauważyło chłopca, który stał w drzwiach, blady i wystraszony.

Obudził go przenikliwy ból, który rozsadzał mu czaszkę, pulsował w lewej skroni, przeszywał żebra i ramię.

Zaciskając zęby, wolno podciągnął się do pozycji siedzącej. Zaklął w, duchu; był sztywny jak trup od tygodnia leżący w kostnicy. Niezdarnie wygramolił się z łóżka. Głowa go bolała, ale przynajmniej świat nie wirował mu przed oczami. Krzywiąc się z bólu, począł do łazienki. Pocieszał się, że jego dwaj napastnicy na pewno cierpią bardziej od niego.

Stanął pod strumieniem wody i niemal natychmiast tego pożałował. Każda kropla była niczym dźgnięcie sztyletem. Dopiero po minucie czy dwóch ból zelżał, stał się bardziej przytłumiony. Po wyjściu spod prysznicza Nate napełnił umywalkę lodowatą wodą. Wziąwszy głęboki oddech, zanurzył w niej twarz. Na znieczulające działanie chłodu nie musiał długo czekać.

Wrócił do sypialni. Na fotelu zobaczył czystą koszulę i spodnie. Miotając przekleństwa, w końcu zdołał się ubrać. Zaburczało mu w brzuchu. Pomyślał o tym, że trzeba zejść na dół, coś przekąsić, napić się kawy, łyknąć aspirynę, kiedy raptem drzwi się otworzyły.

- Co ty robisz? - Coco, niosąc przed sobą tacę ze śniadaniem, zmarszczyła gniewnie czoło. - Rozbieraj się i wskakuj z powrotem do łóżka.

- Kochana, całe życie czekam na te słowa!

Coco parsknęła śmiechem.

- Widzę, że lepiej się czujesz.

Postawiła tacę na stoliku nocnym i poprawiła fryzurę. Obserwując znajomy gest, Nate'owi przemknęło przez myśl, że co najmniej ze dwa tygodnie nie zmieniała koloru włosów.

- W porównaniu z wczoraj? O niebo lepiej.

- Biedaczysko. - Delikatnie pogładziła jego pokrytą sińcami twarz. Wyglądał dużo gorzej niż wczoraj, ale nie miała serca mu tego mówić. - Przynajmniej usiądź i zjedz.

- Czytasz w moich myślach. - Podeszedł do fotela.

- Muszę przyznać, że obsługa jest tu znakomita.

- Jakże by inaczej? - Coco przysunęła specjalny stoliczek na kółkach, następnie podała Nate'owi serwetkę.

- Megan powiedziała mi, co się stało. Że to Baxter opłacił tych oprychów. Wiesz, aż mnie korci, żeby pojechać do Bostonu i porachować łajdakowi kości.

Z jej oczu bił żar. Nathaniel uśmiechnął się. Wyglądała jak celtycka bogini szykująca się do walki z wrogiem.

- Nie miałby z tobą żadnej szansy. - Skosztował jajecznicę; uwielbiał pyszne, proste dania. - No nic, poczekamy, zobaczymy.

- Poczekamy? Czyś ty oszalał! Musisz iść na policję. Wprawdzie wolałabym, żebyście w trzech lub czterech złożyli Dumontowi niespodziewaną wizytę, ale... Ale to oczywiście nie wchodzi w grę. - W jej głosie pojawiła się nuta żalu. - Koniecznie jednak trzeba zawiadomić policję.

- Mylisz się. - Przełknął kolejny kęs. - Dla Dumonta większą karą będzie życie w strachu. Niech się bydlak ogląda przez ramię, niech się zastanawia, kiedy i jak się na nim zemszczę.

- Może masz rację...

- Na pewno mam. A policjanci... Zaczęliby zadawać Megan pytania. Po co narażać ją i Kevina na nieprzyjemności?

- Słusznie. - Coco delikatnie pogładziła go po włosach. - Tak się cieszę, że Megan ma ciebie.

- Szkoda, że ona nie podziela twojego entuzjazmu.

- Podziela. Tylko się boi. Zrozum, ona wiele w życiu przeszła. A ty...

- Co ja?

- Nic. Powiedz, jak się czujesz? Wciąż cię wszystko boli? Dać ci tabletkę przeciwbólową?

- Wystarczy zwykła aspiryna.

- Tak myślałam. - Z kieszeni fartucha wyjęła plastikową buteleczkę. - Popij sokiem.

- Dobrze, pani doktor. - Po chwili wrócił do jedzenia. - To co? Widziałaś się rano z Megan?

- Tak. Nie chciała cię zostawić. Już prawie świtało, kiedy w końcu udało mi się ją przekonać, żeby poszła spać.

Wiadomość ta sprawiła mu niekłamana radość.

- Naprawdę?

- A jak na ciebie patrzyła! - Coco poklepała go po ręce. - Kobieta dostrzega takie rzeczy. Zwłaszcza kobieta, która sama jest zakochana. - Na jej policzkach wykwiły rumieńce. - Pewnie wiesz, że Niels i ja... że mamy się ku sobie.

W odpowiedzi Nate mruknął coś pod nosem. Coco i Holender byli mu ogromnie bliscy. Traktował ich niemal jak rodziców. A żadne dziecko, nawet trzydziesto-trzyletnie, nie chce myśleć o tym, że jego rodziców łączy jakakolwiek namiętność.

- Dawno nie czułam się taka szczęśliwa - ciągnęła.

- Moje małżeństwo należało do wyjątkowo udanych,

pozostało mi z tego okresu mnóstwo cudownych wspomnień. Po śmierci Arthura miałam kilka satysfakcjonujących związków, ale z Nielsem... - W jej oczach znów pojawił się wyraz rozmarzenia. - Z Nielsem czuję się młoda, powabna, pełna życia. I nie chodzi o sam seks.

- Coco, błagam cię. - Pociągnął łyk kawy. - Daruj mi szczegóły.

Roześmiała się cicho.

- Wiem, jacy jesteście sobie bliscy, ty i Niels.

- Owszem, jesteśmy - przyznał Nate. - Wiele lat spędziliśmy razem na statkach. Traktuję Holendra jak...

- Ojca. Wiem. Dlatego chcę ci powiedzieć, że bardzo go kocham. I że zamierzamy się pobrać.

- Co? - Widelec wysunął mu się z ręki i upadł z brzękiem na talerz. - Naprawdę chcecie się pobrać?

- Tak. - Zaczęła bawić się naszyjnikiem. Nie była pewna, czy twarz Nate'a wyraża przerażenie, czy zwykłe zdziwienie. - Mam nadzieję, że nie jesteś zły.

- Zły? - Przez moment nie wiedział, o co jej chodzi. A potem nagle zobaczył palce Coco nerwowo zaciskające się na naszyjniku i niepokój w oczach. Odsunawszy stolik od fotela, wstał. - Po prostu nie mieści mi się w głowie, że taka piękna, elegancka babka jak ty mogłaby się zakochać w takim swarliwym przyku jak Niels. Jesteś pewna, że nie wsypał ci jakiegoś afrodyzjaku do zupy?

Coco odetchnęła z ulgą.

- Jeśli nawet wsypał, bardzo się z tego cieszę. Czyli mamy twoje błogosławieństwo?

Ujął jej dłonie w swoje ręce.

- Odkąd sięgam pamięcią, marzyłem o tym, żeby być twoim synem.

- Och, Nate. - Łzy podeszły jej do oczu.

- I wreszcie moje marzenie się spełni. - Pocałował ją najpierw w jeden policzek, potem w drugi. - Powiedz mu, że ma być dla ciebie dobry. Bo jak nie, będzie miał ze mną do czynienia.

- Jestem taka szczęśliwa. - Przytuliła się do Nate'a i wybuchnęła płaczem. - A najsmieszniejsze jest to, że tej miłości nie dostrzegłam ani w kartach, ani w fusach herbacianych, ani w kryształowej kuli. Pojawiła się całkiem nieoczekiwanie.

- No widzisz?

- Chciałabym, żebyś ty też był szczęśliwy. - Wyciągnęła z kieszeni chusteczkę do nosa. - Czekaj na Megan, Nate. Ona cię potrzebuje. Kevin także.

- To samo jej powiedziałem. - Uśmiechając się, wyjął Coco z rąk chusteczkę i sam delikatnie otarł jej łzy. - Ale mi nie uwierzyła.

- Nie zrażaj się, Nate. Powtarzaj Megan, że ją kochasz, że chcesz z nią być. Powtarzaj tak długo, aż wreszcie ci uwierzy. No, czas na mnie... - Przycesała włosy, poprawiła spodnie. - Mam tysiące rzeczy do zrobienia. A ty odpoczywaj i nabieraj sił, żebyś mógł z nami obejrzeć fajerwerki.

- Całkiem dobrze się czuję.

- A wyglądasz tak, jakbyś wpadł pod ciężarówkę. - Podeszła do łóżka, wygładziła prześcieradło, poprawiła poduszki. - Prześpij się jeszcze ze dwie godziny.

A jak nie jesteś śpiący, to posiedź sobie na tarasie. Kiedy Megan się obudzi, powiem jej, żeby zrobiła ci masaż pleców.

- O, to mi się podoba! W porządku, idę na taras.

Zanim jednak doszedł do drzwi, usłyszał, jak ktoś biegnie korytarzem.

Do pokoju wpadła Megan.

- Nie mogę znaleźć Kevina! Od rana nikt go nie widział.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Stała blada jak kreda, próbując zachować spokój. Nie wierzyła, że jej dziewięcioletni syn mógłby uciec z domu. Pomysł był po prostu nedorzeczny, absurdalny.

- Od rana nikt go nie widział - powtórzyła, przytrzymując się klamki. - Brakuje części jego ubrań. I plecaka.

- Zadzwoń do Suzanny - poradził Nathaniel. - Pewnie jest u niej i bawi się z Alekssem.

- Nie. - Potrząsnęła wolno głową. Bała się, że jeśli puści klamkę lub wykona jakikolwiek gwałtowniejszy ruch, zwali się nieprzytomna na podłogę. - Aleks i Jenny są tutaj. Suzanna również. Nie widzieli Aleksa. Ja spałam. - Wymawiała dobitnie każde słowo, jakby miała kłopoty ze zrozumieniem samej siebie. - Spałam dłużej niż zazwyczaj. Kiedy się obudziłam, zajrzałam do jego pokoju. Zawsze to robię. Pokój był pusty. Pomyślałam, że Kevin jest na dole albo w ogrodzie. Ale kiedy zeszłam na dół, okazało się, że od paru minut Aleks bezskutecznie go poszukuje. - Strach przebiegł jej po skórze. - Obeszliśmy razem cały ogród, potem wróciłam na górę. I właśnie wtedy zauważyłam, że brakuje... że plecak...

- Spokojnie, kochanie, nie denerwuj się. - Coco przytuliła Megan do siebie. - Jestem pewna, że Kevin bawi się z nami w chowanego. I w domu, i w ogrodzie jest tyle wspaniałych kryjówek...

- Wczoraj wieczorem był taki podniecony. Nie mógł się doczekać ranka. Z Alekssem i Jenny zaplanowali na dziś wojnę o niepodległość. Kevin miał się wcielić w postać Daniela Boone'a...

- Nie martw się, znajdziemy go - powiedział Nate.

- Oczywiście, że znajdziemy - poparła go Coco. - Zaraz zorganizujemy akcję poszukiwawczą. Kevin będzie zachwycony.

Godzinę później zaczęli dokładnie sprawdzać cały dom, wszystkie zakamarki i kryjówki. Megan, próbując nie ulec panice, ruszyła na wieżę; potem kolejno sprawdzała pokoje na każdym piętrze.

Musi gdzieś tu być, przekonywała samą siebie. Lada moment się odnajdzie. Przecież nie rozpląnął się w powietrzu. Urządził sobie zabawę, ot co. Postanowił zwiedzić kąty, do których na ogół nie zaglądał. Uwielbiał ten dom. Dom, który nazywał zamkiem. Ciągle go rysował, a rysunki wysyłał do Oklahomy, aby dziadkowie i koledzy zobaczyli, w jak wspaniałym mieszkam miejscu.

Tak, znajdzie Kevina za najbliższym rogiem. Za następnymi drzwiami. Powtarzała to niczym litanie, przechodząc z pokoju do pokoju.

Chociaż przez okna wpadały promienie słoneczne, żąb przenikał ją do szpiku kości. W jednym z krętych korytarzy natknęła się na Suzanne.

- Nie odpowiada na moje wołanie - powiedziała cicho. - Wołam go, wołam, i nic.

- To duży dom. - Suzanna usiłowała ją pocieszyć. - Kiedyś, jak byliśmy małe, bawiliśmy się w chowanego. Szukałyśmy Lilah przez trzy godziny. A ona weszła do szafy w pokoju na piętrze i najspokojniej w świecie zasnęła.

- Tak, ale... - Megan wzięła głęboki oddech. Nie było sensu się dłużej oszukiwać. - Brakuje jego dwóch ulubionych koszulek, brakuje obu par tenisówek. A także czapki baseballowej. I pieniędzy ze skarbonki. Jego tu nie ma, Suzanno. On uciekł.

- Usiądź, kochanie.

- Nie, ja... Muszę coś zrobić, zadzwonić na policję... Boże! - Przycisnęła dłonie do twarzy. - Coś złego mogło mu się stać. Kevin ma zaledwie dziewięć lat, to jeszcze dziecko. Nawet nie wiem, kiedy zniknął. Nic nie wiem. - Z oczu popłynęły jej łzy. - Pytałaś Aleksa i Jenny? Może coś im mówił, może...

- Naturalnie, że pytałam - odparła łagodnie Suzanna. - Nic im nie wspominał, że planuje ucieczkę.

- Dokąd mógł pójść? I dlaczego? Może... może postanowił wrócić do Oklahomy? Tak, to najbardziej prawdopodobne! Może był tu nieszczęśliwy? I tylko udawał, że mu się tu podoba?

- Nie udawał, Megan. Ale oczywiście zadzwonimy do Oklahomy. Chodź, zejdziemy na dół.

- Sprawdziłem wszystkie zakamarki. Szafki, spiżarnie, magazyny, nawet chłodnię. Trent z Maksymem prze-

szukują pomieszczenia, w których odbywa się remont, a Maks z Holtem krążą po ogrodzie, zaglądając pod każdy krzak. - W oczach Holendra malował się niepokój. - Wydaje mi się, że gdyby dzieciak słyszał te nawoływania, już dawno wyszedłby zobaczyć, co się dzieje.

- Dwukrotnie obeszliliśmy cały dom. - Nate pokręcił głową. - Amanda i Lilah sprawdziły część hotelową. Kevina tu nie ma, Niels.

- Nic z tego nie pojmuję. Chłopak czuł się w Wieżach jak ryba w wodzie. Był radosny, uśmiechnięty. Codziennie przychodził do mnie do kuchni, płatał mi się pod nogami, prosił, żebym mu opowiedział o jakiejś przygodzie na morzu.

- Musiał się czegoś wystraszyć - rzekł Nate, patrząc na skaliste wybrzeże. Ciarki przeszły mu po plecach. - Dlaczego dzieci uciekają z domu? Jedne dlatego, że źle się w nim czują, inne dlatego, że się boją, a jeszcze inne dlatego, że ktoś je krzywdzi.

- Ale chyba żaden z tych powodów nie odnosi się do Kevina.

- Też bym tak sądził.

W dzieciństwie Nathaniel wielokrotnie podejmował próby ucieczki. Źle się czuł w domu, bał się ojca, starał się schodzić mu z drogi. Podejrzewał, że rozpoznałby u Kevina oznaki cierpienia czy niezadowolenia, nawet gdyby chłopiec usiłował niczego po sobie nie okazać.

Ciarki znów przeszły mu po plecach i znów powiódł wzrokiem po nabrzeżnych skałach.

- Mam dziwne przeczucie... - szepnął.

- Że co?
- Nic. Niedługo wrócę. Muszę coś sprawdzić.

To było tak, jakby jakaś tajemnicza siła ciągnęła go w stronę skał. Nie próbował z nią walczyć. Chociaż każdy krok po nierównym terenie wzmagał ból w żebrach, Nate wędrował dalej. Przyciskając rękę do boku, dokładnie omiatał wzrokiem skały i rosnące w dole krzewy.

Wiedział z doświadczenia, że takie miejsca działają na wyobraźnię dziecka. Jego, gdy był mały, też fascynowała ta okolica. Zresztą wciąż zachwycało go dziewicze piękno nadmorskiego krajobrazu.

Słońce świeciło wysoko na niebie. Morze miało odcień szafiru, jedynie przy samym brzegu, gdzie fale z hukiem rozbijały się o skały, było białe od piany. Nate'owi stanął przed oczami obraz chłopca wędrującego wąską kamienistą ścieżką; chłopiec potyka się i spada.

Nie! Nic złego nie przytrafiło się Kevinowi. On, Nathaniel Fury, nie pozwoli na to, aby spotkała go jakakolwiek krzywda. Sapiąc z wysiłku, wspinał się coraz wyżej. Cały czas uważnie rozglądał się dookoła. Co chwila wołał chłopca.

Raptem jego uwagę przykuła śnieżnobiała mewa. Pełna gracji niczym baletnica zniżyła lot, potem, wydając niemal ludzkie odgłosy, zatoczyła łuk i przeleciała Nate'owi nad głową. Patrzył na nią jak zahipnotyzowany. Gotów był przysiąc, że ślepie ptaka są zielone, zielone jak szmaragdy.

Mewa sfrunęła niżej, przysiadła na skalnej półce i spojrzała w górę, jakby wzywała go do siebie.

Nie zważając na przenikliwy ból, na poobijane żebra i poranione ręce, ruszył w jej stronę. W głowie szumiało mu od huku spienionych fal.

Gdy dzieliły go od niej dwa metry, mewa poderwała się do lotu i po chwili dołączyła do swego towarzysza. Przez kilkanaście sekund dwa urokliwe stworzenia o alabastrowobiałym upierzeniu tańczyły na tle nieba, głośno i radośnie prowadząc z sobą rozmowę. Potem odleciały w kierunku morza.

Nathaniel dotarł zziębnięty do skalnej półki i tam ujrzał chłopca wciśniętego w płytka szczelinę.

Miał ochotę chwycić go w ramiona i mocno przytulić, ale powstrzymał się. Nie był pewien, czy to przypadkiem nie z jego powodu Kevin uciekł z domu.

Usiadł więc obok i powiedział cicho:

- Ładny stąd widok.
- Postanowiłem wrócić do Oklahomy - rzekł chłopiec, patrząc przed siebie. - Chyba pojedę autobusem.
- Autobusem? To niegłupie. Będziesz mógł oglądać zmieniający się za oknem krajobraz. Ale jednego nie rozumiem. Wydawało mi się, że podoba ci się w Bar Harbor.
- Podoba.
- Więc co się stało? Ktoś ci dokuczał?
- Nie.
- Pokłóciłeś się z Alekssem?
- Nie. Po prostu postanowiłem wrócić. Ale wczoraj było za późno, nie zdążyłbym na autobus. Uznałem, że

przeczekam tu noc i rano pojedę. - Wzruszył ramionami. - Chyba zasnąłem. - Ani razu nie spojrzął na Nate'a. - Nie zmusisz mnie do powrotu.

- Jestem większy od ciebie, więc gdybym chciał, to bym zmusił - powiedział łagodnie Nate i pogładził chłopca po głowie. Ten natychmiast się odsunął. - Ale nie będę cię do niczego zmuszał, przynajmniej dopóki nie dowiem się, co wpłynęło na twoją decyzję.

Siedzieli w milczeniu, obserwując morze i wsłuchując się w szura wiatru. Po kilku minutach Nate wyczuł, że chłopiec nie jest tak spięty jak na początku.

- Wiesz, mamusia bardzo się o ciebie martwi. Wszyscy inni również. Może powinieneś wrócić, żeby się z nimi pożegnać?

- Wtedy mama już mnie nie puści.

- Bo cię kocha.

- Niepotrzebnie mnie urodziła. - W głosie chłopca brzmiała gorycz.

- Co za bzdury wygadujesz? Jeśli coś ci się nie podoba, masz prawo być zły, ale nie wygaduj głupot.

Kevin poderwał głowę. Twarz miał brudną, mokrą od łez. Nate poczuł bolesne ukłucie w sercu.

- Gdyby mnie nie miała, byłoby jej o wiele łatwiej. Ona udaje, że wszystko jest w porządku, ale to nieprawda.

- Skąd wiesz?

- Bo nie jestem dzieckiem. Wiem, co on zrobił. Przez niego mamusia zaszła w ciążę, a potem ją zostawił. Nigdy się nami nie interesował. Wyjechał do Bar Harbor, ożenił się z Suzanną, a potem ją też zostawił.

I Aleksa z Jenny. Mamy tego samego tatę, dlatego jesteśmy rodzeństwem przyrodnim.

Oho, pomyślał Nate, poruszamy się po grząskim terenie. Trzeba bardzo ostrożnie nawigować.

- O tych sprawach, chłopcze, powinieneś porozmawiać z mamą.

- Rozmawiałem. Mówiła mi, że czasem ludzie nie mogą się pobrać i być razem, nawet jeśli mają dzieci. Ale on mnie nie chciał, od samego początku nie chciał. Nienawidzę go.

- Masz do tego prawo - rzekł Nate. - Nie zamierzam go usprawiedliwiać. Ale pomyśl o mamie. Ona kocha cię nad życie i to się chyba bardziej liczy. Jeżeli wrócisz do Oklahomy, serce pęknie jej z bólu.

Kevinowi wargi zadrżały.

- Mogłaby mieć ciebie. Zostałbyś z nią, gdyby nie ja-

- Obawiam się, że nie rozumiem...

- On... on kazał cię po... pobić - wykrztusił chłopiec. - Słyszałem, jak... wczoraj rozmawialiście, ty i mama. Mamusia powiedziała, że to jej wina, ale ja wiem, że wszystko stało się przeze mnie. Bo to mój ojciec. I teraz ty też mnie nienawidzisz i zostawisz nas, tak jak on.

- Ty głuptasie! - Nie panując nad emocjami, Nate obrócił chłopca do siebie i potrząsnął za ramiona. - Uciekłeś z domu, bo ktoś mi nabił parę siniaków? Czy ja wyglądam na faceta, który nie umie sobie dać rady w życiu? Ci dwaj, którzy mnie zaatakowali, ledwo mogli się z ziemi podnieść.

- Naprawdę? - Kevin pociągnął nosem i otarł łzy.
-Ale...

- Żadne ale. Nie miałeś nic wspólnego z moim pobiciem. Powiniennem ci złożyć skórę za to, że tak okropnie nas dzisiaj wystraszyłeś.

- Ale on jest moim ojcem - upierał się Kevin. - A to znaczy...

- To nic nie znaczy. Mój ojciec był pijakiem, który prawie codziennie lał mnie bez powodu.

W oczach Kevina znów wezbrały łzy.

- Myślałem, że mnie przestaniesz lubić. Że wyjedziesz, bo nie będziesz chciał być moim nowym tatą.

Nathaniel przytulił do siebie szlochającego chłopca.

- Źle myślałeś, marynarzu. Za karę chyba zwieszę cię z bukszprytu.

- Zbuk-czego?

- Bukszprytu. - Przytulił chłopca mocniej. - Nie przyszło ci do głowy, że marzę o tym, aby mieć takiego syna jak ty? Że chcę, żebyśmy zamieszkali razem i byli rodziną?

- Naprawdę?

- Sądziłeś, że w jakim celu uczę cię sterować? Z nudów?

- Nie wiem. Nie zastanawiałem się.

- Szukałem cię, Kevin. Od lat szukałem takiego fajnego chłopaka na syna.

- Wiesz, Nate, okropnie się bałem. Ale potem pojawił się ptak.

Nate przypomniał sobie białą mewę.

- I wtedy poczułem się raźniej. Usiadł nieopodal

i przez całą noc dotrzymywał mi towarzystwa. Wciąż tu był, kiedy się rano obudziłem. Potem przyleciał po niego inny ptak i razem odfrunęły. A chwilę później ty się pojawiłeś. Jak myślisz, czy mama będzie na mnie zła?

- Chyba tak.

Kevin westchnął ciężko.

- No to mam przechlapane.

- Bierz swoje rzeczy i wracajmy. Złości mamy trzeba dzielnie stawić czoło.

Chłopiec podniósł z ziemi plecak i ufnym gestem wyciągnął rękę do Nate' a.

- Bardzo cię boli? - spytał, wpatrując się w jego twarz.

- No pewnie.

- Pokażesz mi swoje siniaki?

- Jasne. Niektóre są naprawdę imponujące.

Najpierw musieli wspiąć się po stromym, skalnym zboczu, żeby dojść do ścieżki, a potem ruszyli ścieżką w dół do niewidocznego za drzewami domu. Wszystko Nate'a bolało, każdy mięsień, każde żebro, każde ścięgno. Co chwila zaciskał powieki i syczał z bólu, ale warto było. Cierpienia wynagrodził mu widok ulgi na twarzy Megan.

- Kevin! - Biegła przez trawnik, szczęśliwa i zapłakana.

- No idź. - Nate pchnął lekko chłopca. - Zanim mama zrobi ci burę, najpierw na pewno będzie chciała cię wyczałować.

Kevin cisnął plecak na ziemię i rzucił się matce w ramiona.

- Synku, syneczku... - Klęczała na trawie, tuląc chłopca do siebie. Zanosila się głośnym szlochem, ale były to łyzy radości.

- Gdzieś go znalazł? - spytał cicho Trent.

- Na szczycie wzgórza. W szczeliny skalnej.

- Chryste! - CC aż się wzdrygnęła. - Spędził tam całą noc?

- Chyba tak.

- Skąd wiedziałeś, gdzie iść?

- Miałem dziwne przeczucie. Nie umiem tego wytłumaczyć.

- Dziwne przeczucie? - Trent z żoną wymienili porozumiewawcze spojrzenie. - Czasem bywa pomocne. Przypomnij, to ci kiedyś opowiem, jak znalazłem Freda, kiedy był jeszcze szczeniakiem.

Maks poklepał Nate' a po plecach.

- Zawiadomię policję, że zguba się znalazła.

- Pewnie jest głodny - rzekła Coco, przełykając łyzy.

- Przygotujemy mu z Nielsem coś do jedzenia.

- Przyprawdźcie chłopaka do kuchni, jeśli Megan go wcześniej nie zadusi. - Holender zakasłał, usiłując ukryć wzruszenie. - Baby, psiakrew! Trudno z nimi wytrzymać.

- No dobra, chodźmy. - Suzanna pociągnęła za ręce swoje dwie pociechy.

Aleks był niepocieszony.

- Chciałem spytać Kevina, czy widział duchy.

- Później go spytasz. - Holt wziął chłopca na barana, tym samym zapobiegając jego protestom.

Megan, odsunawszy się od syna, ujęła jego twarz w dłonie.

- Nic ci nie jest, misiaczku?

- Nic, mamusiu - odparł Kevin. Było mu wstyd, że przyrodnie rodzeństwo widziało jego łzy. Nie powinien płakać, w końcu ma już dziewięć lat.

- Jeżeli mi jeszcze raz wytniesz taki numer, złoję ci skórę! - Przemiana z rozpaczającej matki w zagniewanego rodzica nastąpiła tak nieoczekiwanie, że Nathaniel przetarł oczy ze zdumienia. - Wszyscy się o ciebie martwiliśmy. Od kilku godzin chodzimy i cię szukamy, nawet ciocia Colleen. Zawiadomiliśmy policję.

- Przepraszam, mamusiu.

- To nie wystarczy, młody człowieku.

Kevin wbił wzrok w ziemię. Kiedy matka zwracała się do niego „młody człowieku”, nie wróżyło to nic dobrego.

- Już nigdy więcej nie ucieknę z domu. Przyrzekam.

- Teraz też nie powinienesz być uciekać. Ufałam ci, a ty... - Szloch ponownie wstrząsnął jej ciałem. Zamknawszy oczy, przycisnęła głowę syna do piersi. - Mój maleńki, tak strasznie się bałam. Kocham cię najbardziej na świecie. Dokąd chciałeś pojechać?

- Nie wiem. Chyba do babci.

- Nie podoba ci się w Bar Harbor?

- Podoba. Bardzo.

- To dlaczego uciekłeś? Czy to ja ci się czymś narażam?

Potrząsnął przecząco głową, po czym spuścił wzrok.

- Myślałem, że gniewacie się na mnie, ty i Nate. Ale Nate wytłumaczył mi, że jego pobicie to nie moja wina

i że ty wcale się na mnie nie gniewasz. To prawda, mamusiu? Nie gniewasz się?

Tuląc syna do piersi, z przerażeniem w oczach popatrzyła na Nate'a.

- Och nie, mój maleńki, nie gniewam się. Nikt się na ciebie nie gniewa.

Ponownie ujęła twarz chłopca w dłonie.

- Pamiętasz, jak ci powiedziałam, że czasem ludzie nie mogą być razem? Należało raczej powiedzieć, że czasem nie powinni być ze sobą. Na przykład ja i...

- Wciąż nie potrafiła mówić o Dumonczie jako o ojcu Kevina. - Ja i Baxter.

- Ale ja byłem pomyłką. Nie planowaliście dziecka. Pocałowała go w oba policzki.

- Nie, misiaczku, nie byłeś żadną pomyłką. Pomyłką to coś, czego się nie chce i czego się żałuje. Ty byłeś najwspanialszym darem, jaki można sobie wymarzyć. Zapamiętaj to sobie raz na zawsze, bo jeśli kiedykolwiek zapomnisz, opakuję cię w kolorowy papier i przewiążę wstążką.

Kevin parsknął śmiechem.

- Dobrze, mamusiu. I przepraszam.

- Ja ciebie też, malutki. A teraz chodź, musimy cię umyć. - Podniósłszy się z kucek, wzięła syna za rękę i spojrzała na Nate'a. - Dziękuję.

Kevin, jak to dziecko, szybko zapomniał o strachu, jaki czuł, kiedy siedział samotnie na skale. Przez jeden dzień był bohaterem, przynajmniej w oczach swojego przyrodniego brata i siostry, którzy z wypiekami na

twarzy słuchali jego opowieści o czarnym jak sadza niebie, o rozbijających się z hukiem falach i o białym ptaku z zielonymi ślepiami.

Sadie i Fred na zmianę ganiały ze swoimi szczeniakami po rozległym trawniku, bawiły się z dziećmi i odpoczywały w cieniu. Maluchy to spały w kojcach, to domagały się, aby je huściano, to wyciągały rączki, aby je wzięto na kolana. Do rozstawionych w ogrodzie stołów, przy których zebrała się rodzina, podchodzili goście hotelowi, zaintrygowani salwami śmiechu.

Nathaniel z żalem zrezygnował z udziału w meczu baseballowym, wychodząc z założenia, że jedno mocniejsze odbicie piłki lub dotarcie ślizgiem do bazy może go drogo kosztować. Zamiast tego mianował się sędzią; wyklócał się z pałkarzami, bo oczywiście każda z drużyn uważała, że faworyzuje przeciwnika.

Kiedy zarządzono przerwę na posiłek, podszedł do stołu, przy którym siedziała Megan.

- Niezła jesteś w te klocki - pochwalił ją.

- W Oklahomie trenowałam drużynę Kevina... - Odruchowo odszukała syna wzrokiem. - Chyba te ostatnie wydarzenia nie odcisnęły na nim piętna?

- Chyba nie. A ty, jak się czujesz?

- Już dobrze. - Zniżyła głos. - Jakoś nie sądziłam, że on ma problem z Baxterem. Nie najlepiej to o mnie świadczy, prawda?

- Chłopcy lubią mieć tajemnice, nawet przed własną matką.

- Pewnie tak. - Dzień był za piękny, aby marnować

go na ponure rozważania. - Słuchaj, cokolwiek powie-
działeś tam na górze Kevinowi, musiało trafić mu do
przekonania. To dla mnie bardzo wiele znaczy.

Popatrzyła mu w oczy.

- Ty dla mnie bardzo wiele znacysz.

Pociągnął łyk piwa.

- Do czegoś zmierzasz, ale nie jestem pewien do
czego.

- No dobrze. A więc wczoraj po twoim odjeździe
spędziłam mnóstwo czasu na rozmyślaniach. Zastana-
wiałam się, co bym czuła, gdybyś nie wrócił. I doszłam
do wniosku, że w moim życiu pojawiłaby się pustka.
Może kiedyś byłabym ją w stanie częściowo zapełnić,
ale czegoś by mi brakowało.

- Czego, Megan?

- Ciebie, Nate. - Pochyliwszy się, pocałowała go
w usta. - Po prostu ciebie.

Kiedy niebo przybrało odcień granatu, a nad morzem
zawisł księżyc, wszyscy z zapartym tchem zaczęli oglą-
dać popis sztucznych ogni. Zieleń stawała się czerwie-
nią, czerwień przechodziła w barwę pomarańczową,
w iskrzącą się biel. Raz po raz barwny deszcz iskier
opadał nad wodę. W ten sposób świętowano wolność,
nadzieję, nowy początek.

Dzieci z wytrzeszczonymi oczami i rozdziawionymi
buziami obserwowały następujące po sobie eksplozje
barw. Oczywiście najwspanialszy był sam finał: niebo
mieniło się fioletem, złotem, błękitem, oszałamiające
spirale znikały, ich miejsce zajmowały wstęgi i węże,

które mknąc ku ziemi, rozpadały się na tysiące malutkich punkcików.

Jeszcze długo po tym, jak skończyły się fajerwerki, a dzieci leżały w łózkach, Megan czuła, jak krew pulsuje jej w uszach. Stojąc przed toaletką, wyszczotkowała włosy, potem ubrana w szlafrok otworzyła cicho drzwi balkonowe i przeszła na palcach do pokoju gościnnego.

Nathaniel bez protestu zgodził się zostać w Wieżach jeszcze jedną noc. Po dniu pełnym wrażeń był zmęczony, obolały i nie miał ochoty siadać za kierownicą. Przez kilka minut moczył się w wannie. Liczył na to, że ciepła kąpiel go odpręży, ale tak się nie stało. Był spięty, w dodatku ciągle widział przed oczami twarz Megan oświetloną blaskiem sztucznych ogni.

Potem wszedł do sypialni, a tam czekała na niego prawdziwa Megan ubrana w błękitny szlafrok z jedwabiu, który zmysłowo opinał jej ciało. Włosy miała lśniąca, spojrzenie płomienne i tajemnicze.

- Pomyślałam sobie, że dobrze zrobi ci masaż. - Uśmiechnęła się nieśmiało.

Na moment wstrzymał oddech.

- Skąd to masz? - Wskazał głową na szlafrok.

Speszona, pogładziła śliski materiał.

- Pożyczyłam od Lilah. Uznałam, że bardziej ci się spodoba niż mój stary z frotte.

- Zawsze do masażu wkładasz jedwabny szlafrok?

- Podszedł do łóżka i pogłaskał ją po policzku.

- Zawsze. Połóż się. Na brzuchu. - Kiedy Nate wykonał polecenie, nalała na dłoń odrobinę olejku, po

czym zajęła wygodną pozycję. - Powiedz, jeśli będzie bolało.

Zaczęła od ramion. Miał ciało wojownika, twarde, umięśnione, pokryte śladami walki.

- Chyba dziś, z tą wspinaczką po skałach, trochę przeholowałaś.

Mruknąwszy coś pod nosem, zamknął oczy. Nie chciał wdawać się w rozmowę; zamierzał rozkoszować się dotykiem dłoni, muśnięciami szlafroka o gołą skórę, przebijającym przez woń olejku zapachem perfum.

Chłonał masaż wszystkimi zmysłami. Ból powoli zanikał.

- Lepiej? - spytała, przyciskając usta do jego szyi.
- Nie boli?

- Boli straszliwie. Nie przerywaj.

Roześmiewszy się, zsunęła mu ręcznik z bioder i zaczęła masować kręgosłup na odcinku lędźwiowym.

- Żeby masaż odniósł skutek, powinienes się bardziej rozluźnić.

Jęknął cicho.

- Już bardziej nie mogę.

- Masz takie piękne ciało. - Oddychała coraz szybciej - Uwielbiam na nie patrzeć, dotykać je. - Pochyliwszy się, zaczęła obsypywać go drobnymi pocałunkami. - Przewróć się na wznak - szepnęła mu do ucha.
- Przd też ci rozmasuję.

Jej usta czekały na niego, głodne, rozpalone. Pragnął, by pocałunek trwał bez końca, ale w pewnym momencie, gdy zbyt mocno się oparła się o jego tors, jęknął. Megan natychmiast się poderwała.

- Ale cię wytatuowali - szepnęła. Nalała sobie na rękę kilka kropli olejku.

- Nie pozostałem im dłużny.

- Mój dzielny pogromco bandziorów. Nie ruszaj się. Trzeba pocałować ranę, wtedy sama zniknie.

Tak też zrobiła. Zaczęła całować kolejno wszystkie zadrapania, otarcia i sińce na jego twarzy, ramionach, klatce piersiowej, kłykciach, brzuchu.

Serce waliło mu jak młotem. Oddech miał urywany, przyspieszony. Dotychczas jeszcze żadna kobieta nie dokonała tego, aby jednocześnie czuł się całkowicie bezradny, totalnie wyzuty z sił i tak ogromnie podniecony.

- Nie wytrzymam, Megan. Muszę cię dotknąć, objąć...

Pociągnęła lekko za koniec paska. Jedwabny szlafrok zsunął się jej z ramion.

Przymknęła powieki, odrzuciła w tył głowę. Znow strzelały fajerwerki, przed oczami migotały jej gwiazdy, a świat drżał w posadach. Tym razem jednak świętowali tylko we dwoje.

Potem opadła zziębnięta na łóżko i oparła głowę na klatce piersiowej Nate'a.

- Nie sprawiłam ci bólu?

Nie miał siły unieść ramienia, aby przytulić ją do siebie.

- Sprawiaś radość i rozkosz.

- Nate... - Podniosła głowę i przycisnęła wargi do jego dudniącego serca. - Zapomniałam ci wczoraj o czymś powiedzieć.

- O czym?

- Że ja też cię kocham.

Otworzył oczy. Zobaczyła w nich uśmiech i nadzieję.

- To dobrze. - Wstąpiła w niego nowa siła. Objął Megan tak, jakby nie zamierzał jej nigdy puścić

- Nie wiem, czy to wystarczy, ale...

Zamknął jej usta pocałunkiem.

- Na dziś wystarczy. Nic więcej nie mów. - Na moment zamilkł. - Zostaniesz ze mną do rana?

- Tak.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Hucznie i uroczyście obchodzono w Wieżach czwartego lipca, święto narodowe Ameryki, lecz przyjęcie z okazji zaręczyn Cordelii Galhoun i Nielsa Van Hornem zapowiadało się sto razy huczniej.

Brano pod uwagę różne pomysły: a to bal maskowy, a to nocny rejs po zatoce i morzu, ale w końcu stanęło na kolacji w ogrodzie i tańcach w świetle księżyca. Kiedy do przyjęcia został zaledwie tydzień, każdemu z rodziny przydzielono konkretne zadania.

Codziennie w przerwach od pracy Megan polerowała srebra, czyściła od lat nie używane kryształy, sprawdzała liczbę i stan obrusów.

- Boże, ile zamieszania! - Stukając laską, Colleen Calhoun podeszła do Megan zajętej liczeniem serwetek.
- Kiedy kobieta w wieku Coco postanawia wyjść za mąż, powinna mieć na tyle rozumu, żeby zrobić to w sposób skromny, cichy i dyskretny.

Megan przerwała pracę; zresztą i tak straciła rachubę.

- Nie lubisz przyjąć, ciociu Colleen? - spytała.

- Lubię, ale wtedy, kiedy jest powód do świętowania. Oddanie się w niewolę mężczyźnie za takowy nie uważam.

- Coco nie oddaje się wcale w niewolę. Holender ją uwielbia.

- To się okaże. Na ogół bardzo szybko po ślubie szydło wychodzi z worka. Mężczyzna nie musi dłużej niczego udawać. - Zmrużywszy oczy, przez chwilę uważnie wpatrywała się w Megan. - Ale ty to wiesz, prawda? Dlatego boisz się powiedzieć „tak” swojemu barczystemu marynarzowi.

- Wcale się nie boję. - Megan odłożyła na bok stos serwetek. - Zresztą rozmawiamy o Coco i Holendrze, nie o mnie i Nathanielu. Uważam, że należy jej się odrobina szczęścia w życiu.

- Każdy ma to, na co zasługuje - stwierdziła starszka. - Sama najlepiej o tym wiesz.

Megan powoli zaczynała tracić cierpliwość.

- Nie rozumiem, do czego zmierzasz, ciociu. Coco chodzi rozpromieniona. Ja od rana do wieczora mam ochotę śpiewać i tańczyć. Myślę, że Nathaniel też nie narzeka na swój los.

- Masz ochotę tańczyć, powiadasz. Ale nie na własnym ślubie?

- Nie każdy musi dążyć do małżeństwa. Ty, na przykład, nie szukasz męża.

- Bo mam zbyt dużo rozumu, aby wpaść w tę pułapkę. Pod tym względem chyba jesteśmy do siebie podobne. Mężczyźni przychodzą i odchodzą. Być może ten wymarzony też odejdzie, ale nie będziemy rozpaczać. Bo w głębi duszy wiemy, że on jest taki sam jak reszta. - Nie spuszczała oczu z twarzy Megan. - Mężczyźni... Jacy są? Samolubni, bezwzględni, zakła-

mani, amoralni. Raz na jakiś czas pojawia się ktoś, kto wydaje się inny. Lecz my, kobiety mądre, rozsądne, nie decydujemy się mu zaufać. Żyjąc samotnie, przynajmniej wiemy, że żaden nie ma nad nami władzy i nie może nas skrzywdzić.

- Nie żyję samotnie - zaprotestowała Megan.

- To prawda, masz syna. Któregoś dnia jednak chłopiec dorośnie, wyfrunie z gniazda, założy własną rodzinę.

Przez moment na twarzy starszej pani malował się wyraz tak dojmującego smutku, że Megan odruchowo wyciągnęła do niej dłoń.

- Ty zaś będziesz miała satysfakcję, że umknęłaś pułapki małżeństwa. Sądzisz, że nikt mnie nigdy nie prosił o rękę? - Nie czekając na odpowiedź, staruszka ciągnęła: - Był taki jeden. Uśpił moją czujność. W ostatniej chwili się zreflektowałam. Odrzuciłam jego oświadczenia. Nie chciałam żyć w takim piekle, jakie stało się udziałem mojej matki.

Colleen Calhoun zamilkła. Przez chwilę rozpamiętywała przeszłość.

- Ojciec starał się ją złamać, zniszczyć. I w końcu ją zabił, a potem sam zwariował. Nie z powodu wyrzutów sumienia. Raczej ze złości, że stracił coś, czego bardzo pragnął, a co ciągle wymykało mu się z rąk. Dlatego pozbył się z domu wszystkiego, co należało do matki. To był jego sposób na samooczyszczenie.

- Współczuję... - szepnęła Megan.

- Niepotrzebnie. Tamto wydarzyło się wieki temu. A wracając do terażniejszości... Człowiek uczy się na własnych błędach. Dlatego ty i ja nie ufamy mężczy-

znom, dlatego boimy się ryzyka. Niech Coco cieszy się z małżeństwa, a my cieszymy się wolnością.

Po tych słowach starsza pani odwróciła się na pięcie i odeszła, postukując laską.

Megan pograżyła się w zadumie. Colleen się myli, przekonywała samą siebie, przekładając serwetki z kąta, w kąt. Wcale nie była osobą zimną, zamkniętą w sobie; bojącą się miłości. Przecież zaledwie parę dni temu powiedziała Nate'owi, że go kocha. Przeszłość nie rzuca cienia na jej teraźniejszość i przyszłość.

Nie rzuca? Megan westchnęła głęboko i oparła się o framugę drzwi. Wiedziała, że się okłamuje. Dawno temu kochała Baxtera. Jej uczucie do Nate'a było prawdziwsze, pełniejsze, znacznie silniejsze. Ale skoro tamta pierwsza miłość skończyła się tak wielkim rozczarowaniem, skąd mogła mieć pewność, że z tą będzie inaczej?

W wolnej chwili będzie musiała się nad wszystkim spokojnie zastanowić. Przeanalizować dane, sporządzić listę plusów i minusów...

Zdegustowana sobą, rzuciła serwetki na półkę. Chyba oszalała! Miłość to nie równanie matematyczne. A ona traktowała uczucia jak szyfr, który musi złamać, aby poznać stan swojego serca.

Tak dłużej być nie może. Jeżeli nie potrafi wejrzeć w głąb samej siebie, jeżeli...

Błądziła myślami, to odpływała gdzieś, to wracała, i nagle coś ją tknęło.

Szyfr! Zostawiając bałagan w szafce, rzuciła się pędem do swojego gabinetu.

Księga Fergus'a leżała na biurku. Megan chwyciła ją i w podnieceniu zaczęła kartkować.

Rzędy cyfr nie musiały oznaczać notowań giełdowych, cen akcji ani numerów kont. Zresztą znajdowały się w dziwnym miejscu, na samym końcu księgi. Ostatni zapis, dokonany przez Fergus'a dzień przed śmiercią Bianki, dzieliło od tajemniczych cyfr co najmniej kilkanaście pustych stron.

Może, przemknęło jej przez myśl, była to zaszyfrowana wiadomość? Może Fergus chciał coś zanotować, ale tak, by nikt tego nie odczytał? Może było to przyznanie się do winy? Albo prośba o wybaczenie?

Usiadła i wzięła kilka głębokich oddechów. Była księgową; cyfry nigdy nie miały przed nią tajemnic. Prędzej czy później pozna odpowiedź.

Minęła godzina, potem dwie. Na biurku rósł stos pomiętych, niekiedy porwanych kartek. W trakcie krótkich przerw, kiedy dawała chwilę wytchnienia swoim oczom i głowie, zastanawiała się, czy przypadkiem nie popada w szaleństwo. Bo czy ktoś przy zdrowych zmysłach szukałby w cyfrach zaszyfrowanej wiadomości?

Brnęła dalej. Nie potrafiła się poddać. W oddali usłyszała, jak przepływający statek wyciem syreny pozdrowia mieszkańców Wież. Cienie wydłużały się. Słońce powoli chyliło się ku zachodowi.

Z każdym kolejnym niepowodzeniem rosła jej determinacja. Znajdzie klucz do zagadki. Choćby miała tkwić przy biurku całą noc.

Nagle znieruchomiała. Zmarszczywszy czoło, ponownie wbiła wzrok w zapisaną cyframi kartkę. Tak,

o to chodzi! Skupiona, w miejsce cyfr zaczęła wpisywać litery.

Pierwszym słowem, jakie się wyłoniło z zaszyfrowanego tekstu, było imię: Bianca.

- Boże. - Megan przycisnęła rękę do ust. - A więc mam rację.

Wykreślała, podmieniała i tak krok po kroku, litera po literze, słowo po słowie, budowała zdania. Starła się zachować spokój. Wiedziała, że jeśli ulegnie emocjom, zacznie się spieszyć, a z pośpiechu wynikną błędy.

Co pewien czas obraz przed oczami stawał się niewyraźny, zamazany. Wtedy zaciskała powieki, oddychała równo i czekała, aż umysł jej się przejaśni.

Wreszcie miała gotowy tekst.

„Bianca mnie prześladowuje. Nie daje mi spokoju. Wszystko, co do niej kiedykolwiek należało, muszę schować, zniszczyć, sprzedać. Czy duchy chodzą po ziemi? Czy uprzykrzają innym życie? Nie, to jakaś bzdura. Ale ciągle widzę jej oczy - zielone jak szmaragdy. Patrzyła na mnie, kiedy wypadła z wieży, i wciąż patrzy. Szmaragdy - zostawię jej tę jedną pamiątkę. Może wreszcie dziś zasną”.

Zafascynowana Megan czytała dalej. Podane przez Fergusa wskazówki były czytelne i dokładne.

Wsunąwszy kartkę do kieszeni, opuściła pośpiesznie gabinet. Nie zamierzała o niczym informować mieszkańców Wież. Chciała wszystko sprawdzić sama. Z części domu, gdzie trwał remont, wzięła potrzebne narzędzia: łom, dłuto, taśmę mierniczą. Tak zaopatrzona, krętymi żelaznymi schodami wspięła się na wieżę.

Wiedziała, że Bianca lubiła tu przychodzić, stać przy

oknie i wypatrywać Christiana. To tu wylewała łzy, tu marzyła i tu zginęła.

Dzięki siostrze Calhoun pomieszczenie znów nabrało charakteru. Na ławie pod oknem leżały kolorowe poduszki, obok stał obity aksamitem fotel i nieduży, zgrabny stolik, a na nim wazon z bukietem suszonych kwiatów; z sufitu zwisała kryształowa lampa.

Bianca byłaby zachwycona.

Megan zamknęła za sobą solidne drzwi. Używając taśmy, starała się dokładnie przestrzegać podanych przez Fergususa instrukcji. Dwa metry na wprost od drzwi, trzy metry od północnej ściany. Nie myśląc o zniszczeniu, jakie poczyni, zrolowała spłowiały dywan, po czym w szparę między deski wsunęła dłuto.

Nie spodziewała się, że będzie to tak ciężkie, męczące zajęcie. Pracowała niemal bez wytchnienia. Pchała, ciągnęła, stukała, podważała. Odłożyła narzędzia dosłownie dwa razy; raz - gdy musiała rozmasować obolałe mięśnie, drugi raz - gdy zrobiło się ciemno i wstała, żeby zapalić lampę.

Wreszcie pierwsza deska ustąpiła; towarzyszył temu straszliwy zgrzyt. Megan poczuła, jak pot spływa jej po plecach. Była zła, że zapomniała wziąć latarkę. Powtarzając sobie, że nie ma tu żadnych pajaków ani innych paskudztw, wetknęła rękę w powstały otwór.

Miała wrażenie, że coś tam jest, że wystarczy sięgnąć odrobinę głębiej... Robiła, co mogła, niestety bez rezultatu. Zaciskając ponuro wargi, przystąpiła do podważania kolejnej deski.

Po pewnym czasie, wściekając się z powodu drzazg

i obolałych mięśni, odniosła sukces: druga deska ustąpiła. Odrzuciwszy ją na bok, wyciągnęła się na brzuchu i znów zaczęła grzebać w otworze.

Wtem zahaczyła paznokciem o metalową powierzchnię. Z wrażenia o mało się nie rozpłakała. Ręce miała wilgotne, uchwyt wyslizgiwał się, ale w końcu wydobyła pudło na wierzch.

Miało ze trzydzieści centymetrów długości, trzydzieści szerokości, ważyło około dwóch kilogramów i było czarne od brudu. Powolnym, delikatnym ruchem Megan starła grubą warstwę kurzu. Jej palce zatrzymały się przy zameczku. Korciło ją, aby zajrzeć do środka.

Z trudem przezwyciężyła tę pokusę.

- Nie wiem, gdzie się podziewa. - Amanda wróciła do salonu, rozkładając bezradnie ręce. - Nie ma jej w gabinecie, w sypialni...

- Liczyła serwetki, kiedy ją widziałam. - Colleen Calhoun podniosła do ust kieliszek. - Ale, na miłość boską, jest dorosłą kobietą. Może poszła na spacer.

- Tak, ale... - Suzanna urwała. Nie było sensu niepokoić Kevina. To, że Megan nigdy dotąd się nie spóźniała, nie musi oznaczać, że stało się coś złego. - Może jest w ogrodzie. - Uśmiechając się, podała niemowlę Holtowi. - Sprawdź.

- Nie, ja pójdę. - Nathaniel wstał od stołu. Byli umówieni na kolację. Nie wierzył, że Megan o tym zapomniała. - Jeżeli przyjdzie, jak mnie nie będzie...

- zaczął, lecz w tym momencie usłyszał jej kroki.

Włosy miała potargane, oczy lśniące z podniecenia,

twarz brudną, ubranie zakurzone, ale uśmiechała się promiennie.

- Przepraszam za spóźnienie...

- Megan, gdzieś ty była? - Sloan popatrzył na nią w osłupieniu. - Wyglądasz, jakbyś czołgała się po ziemi.

- Nie, nie czołgałam się. - Przygładziła ręką włosy.

- Ale straciłam rachubę czasu. Aha, pożyczyłam od ciebie kilka narzędzi. Zostawiłam je w wieży.

- Gdzie?

Nie odpowiedziała. Przeszła na drugi koniec salonu i kucnąwszy przed staruszką, położyła jej na kolanach wydobytą spod podłogi metalową kasetkę.

- Ciociu, znalazłam coś, co należy do ciebie.

Colleen skrzywiła się na widok zakurzonego pudełka, ale serce zaczęło jej mocno bić.

- Dlaczego uważasz, że to należy do mnie? - spytała.

Megan ujęła ją delikatnie za rękę.

- Po śmierci Bianki Fergus schował to pod podłogą.

W jej wieży.

W pokoju nastała cisza jak makiem zasiał.

- Napisał, że Bianca go prześladowuje.

Wyjęła z kieszeni odszyfrowaną wiadomość i położyła na kasetce.

- Bez okularów nie widzę - powiedziała niecierpliwym tonem starsza pani.

- To ja przeczytam - zaoferowała Megan, sięgając po kartkę.

- Nie, poczekajmy na Coco.

Megan podeszła do Nathaniela.

- To była zaszyfrowana wiadomość - rzekła, po

czym odwróciła się twarzą do reszty zgromadzonych w salonie członków rodziny. - Te rzędy cyfr na końcu; książki. Nie wiem, dlaczego wcześniej na to nie wpadłam. - Uśmiechnęła się. - Pewnie za bardzo się starałam. Ale dziś... nagle doznałam olśnienia. Powinnam była wam powiedzieć, jak tylko rozszyfrowałam tekst, nie pomyślałam o tym. Pognałam na górę...

- Słusznie postąpiłaś- przerwała jej Lilah. - Gdyby któremuś z nas pisane było znalezienie tej kasety, już dawno by ją znalazł.

Zza drzwi dobiegł ich głos Coco złoszczącej się na Amandę, która ciągnęła ją do salonu.

- Kochanie, naprawdę nie mam teraz czasu. To pora kolacyjna i nasi goście...

- Siadaj i milcz - rozkazała jej Colleen. - Megan chce nam przeczytać list. - Popatrzyła na CC. - Na wszelki wypadek nalej Coco coś do picia. Mnie również, z łaski swojej. W porządku, moje dziecko. Czytaj.

Megan podniosła kartkę do oczu. Słyszała, jak Coco wciąga gwałtownie powietrze. Sama ledwo panowała nad wzruszeniem.

- Więc poszłam na górę - wyjaśniła, odkładając na bok kartkę z rozszyfrowaną wiadomością - podważyłam kilka desek w podłodze i znalazłam tę kasetkę.

Wszyscy w milczeniu obserwowali, jak Colleen przysuwa do zamka chudą, pomarszczoną dłoń. Metalowa pokrywa odskoczyła. Wargi staruszki zaczęły drżeć, oczy wezbrały łzami. Po chwili wyjęła ze środka szerniałą ze starości, owalną ramkę.

- Zdjęcie - oznajmiła ochrypłym głosem.-Zdjęcie

mojej matki ze mną, Ethanem i Seanem. Zrobione rok przed jej śmiercią. Pamiętam, pozowaliśmy do niego w ogrodzie w Nowym Jorku.

Delikatnie pogładziła je palcem i podała Coco.

- O Boże. To jedyna fotografia, na której jesteście wszyscy razem.

- Mama trzymała ją u siebie na toaletce. Ale czekajcie, to nie wszystko... - Colleen ponownie sięgnęła do kasety. - Tomik poezji. Yeats. Mama uwielbiała wiersze, zwłaszcza Yeatsa. Mówiła, że czytając je, wraca myślami do Irlandii. Broszka...

Wyjęła emaliowany prostokąt ozdobiony fiolkami.

- Często ją nosiła. To prezent gwiazdkowy ode mnie i Seana. Oczywiście niania pomogła nam ją kupić, bo sami byliśmy za młodzi.

Następnie wydobyła z kasetki zegarek, po nim kolejną broszkę w kształcie kokardy i rzeźbionego psa z nefrytu w rozmiarze kciuka.

Były jeszcze inne skarby: gładki biały kamyk, dwa ołowiane żołnierzyki, zasuszony kwiat. A także czarny aksamitny woreczek, a w nim kolia składająca się z czterech sznurów pereł.

- Dostała te perły w prezencie ślubnym od swoich rodziców. Obiecała, że podaruje mi je w dniu mojego ślubu. On nie lubił, kiedy je wkładała. Zbyt pospolite, mawiał. Mama przechowywała kolię właśnie w tym czarnym woreczku. Często mi ją pokazywała. Tłumaczyła, że perły ofiarowane z miłością są znacznie cenniejsze od brylantów. Prosiła, żebym o nie dbała i często je nosiła, bo...

Głos się jej załamał. Sięgnęła po szklanke i wypita łyk wody. Po chwili dokończyła:

- Bo perły potrzebują ciepła. - Zamknęła oczy. - Myślałam, że je sprzedał. Że pozbył się ich, tak jak reszty rzeczy po mamie.

- Ciociu... - Suzanna podeszła do staruszki. - Może odprowadzę cię na górę? Jesteś zmęczona...

- Nie rób ze mnie kaleki. - Colleen uściśnęła dłoń bratanicy. - Jestem stara, ale sił mi nie brakuje. A teraz, moje kochane, chciałabym wam ofiarować parę rzeczy. To jest dla ciebie. - Wsunęła Suzannie do ręki broszkę. - Włóż ją od czasu do czasu.

- Ależ, ciociu Colleen...

- Przypnij. I nie dyskutuj ze mną. - Podniosła z kolan tomik poezji. - Ty, Lilah, ciągle bujasz w obłokach. Niech te wiersze dodadzą ci skrzydeł.

- Dziękuję. - Lilah pocałował ciotkę w policzek.

- Dla ciebie, Amando, przeznaczam zegarek, bo stale pytasz o godzinę. Ty, C C, dostaniesz do swojej kolekcji bibelotów tę nefrytową figurkę psa. - Nagle staruszka popatrzyła na Jenny. - Co, moja panno, czekasz na swoją kolej?

Dziewczynka wyszczerzyła ząbki w uśmiechu.

- Nie, babciu.

- Weź to. - Podała małej biały kamyczek. - Byłam młodsza od ciebie, kiedy podarowałam go mojej mamie. Uważałam, że jest magiczny.

- Jaki śliczny! - zawołała Jenny. Zachwycona, potarła nim o policzek. - I jaki gładki. Położę go u siebie na parapecie.

- Bianca by się ucieszyła. Też go trzymała na parapecie - powiedziała cicho staruszka, po czym chrząknęła. - Dla was, chłopcy, są te żołnierzyki. Tylko ich nie zgubcie. Należały do mojego brata.

- Ale fajny. - Aleks z nabożną czcią wpatrywał się w zabawkę. - Dziękuję.

- Ja też - powiedział Kevin, uśmiechając się radośnie. - Ta kasetka to jak skrzynia pełna skarbów! A czy... czy Coco coś dostanie?

- Owszem. Fotografie.

- Ciociu Colleen... - Wzruszona Coco sięgnęła po chusteczkę. - Niepotrzebnie...

- Daję ci ją w prezencie ślubnym.

- Dziękuję. Nie wiem, co powiedzieć.

- Oczywiście ramkę, żeby znów błyszczała. - Starsza pani wstała z fotela i podpierając się na lasce, popatrzyła na Megan. - Masz taką minę, jakbyś była z siebie ogromnie zadowolona.

Megan skinęła głową. Radość rozpierała jej serce.

- I słusznie - rzekła Colleen. - Jesteś osobką mądrą, bystrą, zaradną. Kogoś mi przypominasz... - Na moment zamilkła. - Tak, w twoim wieku byłam bardzo do ciebie podobna. - Podniosła ze stołu perły.

Megan podeszła bliżej i wyciągnęła rękę.

- Daj, ciociu. Pomogę ci je zapiąć.

- Nie, moje dziecko. Są dla ciebie. Perły potrzebują młodego ciała.

Megan, całkiem oszołomiona, stanęła w pół kroku.

- Nie mogę ich przyjąć. Bianca chciała, żebyś to ty je nosiła.

- Chciała, żeby przechodziły z pokolenia na pokolenie.
 - Ale w rodzinie. Powinnaś ofiarować je Coco albo...
 - Ofiaruję je, komu zechcę - oznajmiła Colleen to-
 nem nie znoszącym sprzeciwu.

- Tak nie powinno być. - Megan rozejrzała po poko-
 ju, oczekując wsparcia, ale zobaczyła same rozpromie-
 nione twarze.

- Ciocia ma rację - rzekła Suzanna. - Jak sądzisz,
 Amando?

- Absolutnie.

- W stu procentach - dodała Coco, wycierając chu-
 steczką nos.

- Też tak uważam - poparła je CC. - Lilah?

- Zgadzam się.

- A zatem... - Suzanna popatrzyła pytająco na męż-
 czyzn. Wszyscy skinęli głowami. - A zatem, Megan,
 postaćś przegłosowana.

- Ha! - Chociaż była dumna z postawy bratanic,
 Colleen zmarszczyła groźnie czoło. - Prosiłam was
 o pomoc, czy co? Perły należą do mnie; mogę z nimi
 robić, co mi się żywnie podoba. Trzymaj. - Wepchnęła
 je Megan do ręki. - A teraz marsz na górę i pod prysz-
 nic, bo wyglądasz jak kominiarz. Kiedy zejdziesz, chcę
 widzieć kolię na twojej szyi.

- Ciociu Colleen...

- Och, przestań nudzić!

- Chodź. - Suzanna ujęła Megan pod łokieć i popro-
 wadziła ku drzwiom. - Pomogę ci.

Starsza pani usiadła z powrotem i zastukała laską
 w podłogę.

- To gdzie jest mój drink?

Późnym wieczorem, kiedy księżyc zawisł na niebie, Megan wyszła z Nathanielem na spacer. Morze szumiało cicho, gałęzie kołysały się łagodnie, w powietrzu unosił się zapach kwiatów.

Miała na sobie prostą niebieską sukienkę dopasowaną u góry, szeroką w dole, którą co rusz rozdymał wiatr. Cztery sznury pereł oplatały jej szyję.

- Wiesz, Nate, wciąż nie mogę w to uwierzyć. Ona wszystko rozdała! A przecież wszystkie te rzeczy miały dla niej ogromną wartość sentymentalną.

- Tak, to niezwykła kobieta.

Usiadłszy obok siebie na głazie, wpatrywali się w fale rozbryzgujące się o skały.

- Zauważyłaś, że każdy prezent był idealnie dobrany? Jakby osiemdziesiąt lat temu Fergus Calhoun przewidział, co komu przypadnie w udziale? Broszka z fiołkami dla Suzanny, zegarek dla Amandy, wiersze Yeatsa dla Lilah, nefrytowa figurka dla C C , fotografia rodzinna dla Coco...

- Dziwny zbieg okoliczności. I jeszcze te perły...

- Tak, jeszcze te perły - powtórzył z rozbawieniem Nate, gładząc je lekko palcem. - Są symbolem rodziny, siły, niewinności. Pasują do ciebie.

- Powinam była znaleźć sposób, żeby ich nie przyjąć. Ale kiedy Suzanna zapięła mi je na szyi, nagle poczułam się tak, jakby od dawna były moje.

- Bo są. Pomyśl tylko. Całymi latami nikt o niczym nie miał pojęcia. Ty się pojawiłaś i nagle znalazła się

księga Fergusa. Rzędy cyfr, które w niej figurowały, okazały się zaszyfowaną wiadomością. Ty jedna potrafiłaś ją odczytać. Przypadek? Czary-mary?

Roześmiała się.

- Sama nie wiem. Magiczny kamień dla Jenny, ołowiane żołnierzyki dla chłopców... Chyba jednak czary-mary. - Zamknęła oczy i oparła głowę o ramię Nate'a. - Aż trudno mi uwierzyć, że jeszcze parę dni temu odchodziłam od zmysłów. Gdzieś tu znalazłeś Kevina, prawda?

- Niedaleko stąd. - Uznał, że nie ma sensu mówić jej o stromej ścieżce prowadzącej w dół do półki skalnej. - Ptak wskazał mi drogę.

- Ptak? - Wyprostowała się. - To dziwne. Kevin też wspominał o ptaku. Biały z zielonymi oczami, który przez całą noc dotrzymywał mu towarzystwa. Mój syn ma bujną wyobraźnię.

- Ten ptak to nie wymysł. On naprawdę tu krążył. Śnieżnobiała mewa o szmaragdowych ślepiach. Szmaragdowych jak oczy Bianki.

- Ale...

Otoczył ją ramieniem.

- Mam coś dla ciebie. - Wydobył z kieszeni plik kartek. - Chociaż obawiam się, że w tym świetle niczego nie dojrzysz.

- Co to? - spytała zaskoczona. - Kolejne faktury?

- Nie. Polisa ubezpieczeniowa.

- Czyś ty zwariował? Tego nie wolno nosić przy sobie. Polisa powinna leżeć schowana w bezpiecznym miejscu. Najlepiej w sejfie albo...

- Nie denerwuj się. Oprócz ubezpieczenia na życie - kontynuował - jest tu również ubezpieczenie zdrowotne, list z banku o przyznaniu mi kredytu na kupno domu, kilka obligacji oszczędnościowych i zaświadczenie o przystąpieniu do funduszu emerytalnego.

Megan pokręciła z niedowierzaniem głową.

- Zrobiłeś to dla mnie?

- Chciałem ci pokazać, że umiem twardo stąpać po ziemi. Że potrafię zapewnić ci poczucie bezpieczeństwa. Dla ciebie, Meg, jestem gotów na wszystko.

- Wstał i odszedł parę kroków. - Wolisz, żebym oszczędzał zamiast walczyć ze smokami? Będę oszczędzał...

- Ty swoje smoki pokonałeś dawno temu, Nate. To ja z moimi wciąż mam problemy.

Podeszła do niego i wsunęła mu do kieszeni plik kartek.

- Odbylaś dziś interesującą rozmowę z ciocią Colleen. Chwaliła mnie. Mówiła, że jestem zbyt inteligentna, aby podejmować ryzyko. Zbyt mądra, żeby pozwolić na to, aby jakikolwiek mężczyzna miał nade mną władzę. Że lepiej jest żyć samotnie, niż komuś zaufać, a potem się rozczarować. Przyznam się, że mnie wystraszyła. Dopiero po pewnym czasie zrozumiałam, że właśnie o to jej chodziło. Żebym dobrze się sobie przyjrzała. I stawiała czoło swoim lękom.

- I co? Przyjrzałaś się sobie?

- Tak. Wiele rzeczy mi się nie podoba. Zawsze uważałam się za osobę silną, samodzielnią. A mimo to pozwalałam, aby ktoś taki jak Baxter wpływał na moje

życie. Myślałam, że chronię siebie i Kevina, ale myliłam się.

- Moim zdaniem, jako matka wykonałaś kawał dobrej roboty.

- Wiem, ale niepotrzebnie się zamykałam. Niepotrzebnie izolowałam. - Wyciągnęła rękę i pogładziła go po policzku. - A potem spotkałam ciebie. I nadal próbowałam się izolować. Bałam się tego, co do ciebie czuję. Ale już się nie boję. Kocham cię, Nate. I wszystko mi jedno, co zadziało: czary-mary, przypadek czy przeznaczenie. Po prostu cieszę się, że cię znalazłam. - Przywarła ustami do jego ust. Po chwili jednak dodała: - Nie potrzebuję zabezpieczenia emerytalnego ani polisy ubezpieczeniowej. Co nie znaczy, że tobie się nie przydadzą. To ważne, żeby... Dlaczego się śmiesz?

- Szaleję za tobą. - Nie przestając się śmiać, chwycił ją w pasie i zaczął z nią wirować w kółko.

- Zakręci ci się w głowie i spadniemy do morza!

- Nie spadniemy. Nie dzisiaj. Dziś nie może przydarzyć się nam nic złego. - Postawił ją na ziemi i z całej siły przytulił do siebie. - Kocham cię, Meg. Ale nie padnę przed tobą na kolana.

Zesztywniała.

- Nate, myślę, że...

- Nic nie myśl. Słuchaj. Opłynąłem świat kilka razy; w ciągu tych dziesięciu lat widziałem więcej, niż inni widzą w ciągu całego życia. Ale musiałem wrócić do domu, żeby odnaleźć ciebie. Nie, nic nie mów. Usiądź. - Podprowadził ją do głazu, na którym niedawno siedzieli. - Poza polisami mam dla ciebie coś jeszcze. -

Wyjął z kieszeni pudełeczko. - Otwórz. Po prostu jesteśmy sobie przeznaczeni.

Drżącą ręką uniosła wieczko. Po chwili, zdumiona, wbiła wzrok w twarz Nate'a.

- Z perłą - szepnęła.

- Zamierzałem kupić tradycyjny pierścionek z brylantem. Ale zobaczyłem ten i nie mogłem mu się oprzeć.

- Wyjął pierścionek z pudełka. - I co? Zbieg okoliczności?

- Nie mam pojęcia. Kiedy to kupiłeś?

- W zeszłym tygodniu. Przypomniałem sobie, jak pierwszy raz spacerowaliśmy po ogrodzie. Na niebie świecił księżyc, a wokół niego lśniło mnóstwo gwiazd.

- Spojrzał na pojedynczą perłę otoczoną maleńkimi brylancikami. - Księżyc i gwiazdy. Właśnie to ci pragnę ofiarować, Meg.

- Nate... - Jakiś wewnętrzny głos mówił jej, żeby jeszcze się wstrzymała, bo postępuje zbyt pochopnie, ale zignorowała go. - Jest przepiękny.

Pocałował ją w usta.

- Jesteśmy sobie pisani, Meg. Wyjdź za mnie. Zostań moją żoną i matką moich dzieci. Pozwól mi być ojcem dla Kevina. Pozwól mi się zestarzeć u twojego boku.

Nie potrafiła znaleźć ani jednego logicznego powodu, dlaczego miałyby się nie zgodzić.

- Tak, dobrze, tak! - Śmiejąc się radośnie, objęła Nate'a za szyję.

Odetchnął z ulgą.

- Jesteś pewna? Nie chcesz postawić mi żadnych warunków?

- Jestem pewna. I kocham cię bezwarunkowo. - Po chwili wyciągnęła lewą rękę. - A teraz daj mi księżyc i gwiazdy. Daj mi siebie.

Włożył pierścionek na jej palec.

- Masz mnie. Na zawsze.

EPILOG

- Mamusiu, wróciliśmy!

Megan podniosła głowę znad biurka i zdumiała się na widok syna w marynarce i krawacie.

- No, no, ale przystojnie wyglądasz.

- Kazałaś mi się ładnie ubrać, bo dziś są urodziny cioci Colleen. - Wsunął palec za kołnierzyk koszuli, jakby chciał rozluźnić krawat. - Sam zawiązałem - pochwalił się. - Tata pokazał mi, jak to się robi.

- Jesteś bardzo zdolny, misiaczku. - Z trudem powstrzymała się, aby nie poprawić węzła. - Jak się udał dzisiejszy rejs?

- Świetnie. Pogoda była wymarzona: spokojne morze, lekki, orzeźwiający wiaterek.

Pocałowała syna w czubek nosa.

- Gdybym nie chodził do szkoły, mógłbym pomagać tacie i Holtowi codziennie, a nie tylko w soboty.

- Gdybyś nie chodził do szkoły, niczego byś się nie nauczył. Przykro mi, ale musisz się zadowolić sobotami.

Nie oczekiwał, że mama pozwoli mu rzucić naukę. Prawdę mówiąc, całkiem lubił szkołę. A najbardziej dumny był z tego, że chodził do wyższej klasy od Aleksa

- Wszyscy już przyjechali. - Uśmiechnął się. - A kiedy pojawią się nowe maluchy?

- Myślę, że pierwsze mniej więcej za miesiąc, a ostatnie na przełomie starego i nowego roku.

- A jak sądzisz - przejechał palcem po jej biurku.

- Kto urodzi pierwszy? C.C. czy Suzanna?

- Bo co? - Zmrużyła oczy. - Kevin, zabraniam ci robić zakłady!

- Ale, mamusiu...

- Zabraniam. - Stłumiła śmiech. - Biegnij na dół. Ja zaraz przyjdę. Muszę tylko dodać dwie kolumny.

- Pospiesz się. Przyjęcie już się zaczęło.

- Za moment... - A właściwie dlaczego za moment, pomyślała i zamknęła rejestr. - Godziny urzędowania się skończyły, idziemy!

- Hura! - Chłopiec chwycił ją za rękę i zaczął prowadzić do drzwi. - Aleks powiedział, że Holender upiekł ogromny tort. I że będzie na nim sto świeczek.

- Trochę mniej niż sto. - Kiedy zbliżyli się do skrzydła rodzinnego, odruchowo zerknęła do góry. - Kochanie, sprawdź na górze, czy...

- Czy co? - Nathaniel szedł po schodach, trzymając w ramionach różowe zawiniątko.

- Powinnam była wiedzieć, że ją obudzisz.

- Nie spała. Prawda, moja śliczna? - Pochyliwszy głowę, pocałował córkę w policzek. - Pytała o mnie.

- Czyżby?

- Ona nie umie jeszcze mówić - poinformował ojca Kevin. - Ma dopiero sześć tygodni.

- Jest wyjątkowo rozwinięta jak na swój wiek. I mądra jak jej mamusia.

Megan popatrzyła na nich z czułością. Tworzyli piękny

obrazek: wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna z dziesięcioletnim chłopcem u boku i niemowlęciem na rękach.

- Chodź, Luno. Chodź do mamusi.

- Ona chce iść na przyjęcie - oznajmił Kevin, głaszcząc siostrę po główce.

- Jasne, że chce. Sama mi to mówiła.

- Oj, tato!

Nate potargał włosy syna.

- No, mógłbym chyba zjeść stado wielorybów.

A pan, panie kapitanie, nie jest głodny?

- Jestem, i to jak! - zawołał chłopiec, kierując się w stronę salonu. - Pośpieszcie się, wszyscy czekają!

- Dobrze. Ale najpierw muszę coś zrobić. - Pochyliwszy się nad córeczką, Nathaniel pocałował Megan.

- Boże! Dorośli! - Krzywiąc się z niesmakiem, Kevin ruszył tam, skąd dobiegały wesołe głosy.

- Co się tak uśmiechasz? - spytała Megan.

- Bo mam piękną żonę, wspaniałego syna i fantastyczną córę. - Delikatnie pogładził palcem kokię zdołbiącą jej szyję. - O nic więcej nie mógłbym prosić. A ty? Jesteś szczęśliwa?

- Bardzo. - Ująwszy go pod brodę, odwzajemniła pocałunek. - Dałeś mi księżyc i gwiazdy.